

nie nadzieję, lecz pewność, że zdołają się w obecnej krytycznej epoce na tę pożądaną jedność. Nie czas na domowe poswarki, gdy wróg trąbi pobudkę do ataku. Bracia wielkopolscy muszą być dziś jako ów lud, który Skarga za przykład stawił: — «Wszyscy się zebrali, jako jeden mąż i człowiek jeden, z jednym sercem i z jedną radą».

Zapowiedź walki, butnie rzucona przez rząd pruski, nie wzbudziła lęku w sercach obywateli wielkopolskich. Zdają sobie sprawę z niebezpieczeństwa, lecz otuchy i mężstwa nie tracą. Czwierć miljarda marek, przeznaczonych na wykupienie ziemi i ogłodzenie ludności polskiej, to nie fraszka! Ale miłość do ziemi ojców i świadomość obowiązków narodowych, to granit, którego nie nadkruszą zęby napastników.

Spokojna ludność polska walki nie chciała. Wyzwanie przyjąć musi. Na szali jest byt narodowy. Pod jeden sztandar obrony narodowej muszą się zapisać wszyscy obywatele. A skoro walka jest nieunikniona, trzeba zawczasu się do niej gotować.

Przedewszystkiem należy stwierdzić fakt: każda pięćdziesiąta część ziemi, która przejdzie z rąk polskich do Niemców, będzie stratą niepowetowaną. Będzie bitwą przegraną. Ilość bitew przegranych stanowi o losach wojny.

W społeczności wielkopolskiej wyrobiła się zdrowa opinia ogółu, która każdą sprzedaż własności polskiej na rzecz komisji kolonizacyjnej piętnuje surowo. Obecnie surowość tej opinii musi uczynić się jeszcze bezwzględniejszą. Oddanie ziemi polskiej Niemcom będzie równo się zdradzie narodowej.

Lecz jeśli wyjątkowe warunki nakładają tak ciężkie obowiązki na właścicieli rolnych w Wielkopolsce, to równocześnie dają im pewne prawa. Mają oni prawo domagać się od ogółu polskiego pomocy, któraby im wytrwanie umożliwiła.

Tę pomoc należy zorganizować zawczasu. Instytucje odpowiednie istnieją. Bank ziemski, spółki parcelacyjne, związek ziemian, wszystkie polskie instytucje rolnicze, przemysłowe i handlowe, powołane są do walki. Armja jest tęgą i wyćwiczona. Posiada doświadczenie i znajomość warunków. Posiada wypróbowanych wodzów i dzielnych szeregowców. Armji tej wszakże na potrzeby wojenne należy dać właściwy rynsztunek.

Poznańskie instytucje finansowe,

nie dość uposażone w czasach normalnych, w dobie obecnej rozporządzają stanowczo zbyt małymi środkami pieniężnymi. Na skutek tego nie są w stanie rozwinąć takiej działalności, jaka jest obecnie konieczną. Obowiązkiem ogółu polskiego jest wzmocnić te szanse jak najprędzej.

Błędem atoli byłoby sądzić, iż ta pomoc ma być tylko aktem filantropji patriotycznej. Tak nie jest. Poznańska «Praca» słusznie stwierdza fakt, iż «społeczeństwo wielkopolskie wyzwoliło się z dawnej lekomyślności, nieopatrzności i niezdolności do kalkulacji kupieckich», że «coraz więcej zaczyna sobie przyswajając zdolności i nabierać zmysłu ekonomicznego». Instytucje zarobkowo-finansowe prowadzone są rozumnie, trzeźwo i uczciwie. Wyrobił się spory zastęp finansistów z zawodu, fachowców, którym bez trwogi powierzyć można największe nawet kapitały.

Obowiązkiem ogółu polskiego jest poprzeć te instytucje poznańskie, które bronią zachodnich kresów przed potopem niemieckim. Lecz to poparcie nie będzie złym interesem, nie będzie bezpowrotną ofiarą. Najlepszym dowodem Bank ziemski, który od początku swego istnienia daje akcjonariuszom corocznie 4-proc. dywidendę, odpisując przytem zaw sze spore sumy na fundusze rezerwowe i emerytalne. Jeszcze pomyślniejsze są wyniki działalności banku włościańskiego i spółek zarobkowych. Świeżo zreorganizowany «Związek ziemian» rokuje niemniej piękne widoki na przyszłość.

Bezlitosna walka, jaką wypowiedział rząd pruski ludności polskiej, ma toczyć się głównie na polu ekonomicznym. Cały ogół polski musi stanąć mężnie do walki na tem polu. Hasło «Dziennika Pozn.» brzmi: jednością silni! Najwyższy czas, by ogół polski tę jedność okazał czynem.

Gordon.

W wagonie na linii Wrocław-Poznań.

Wygodny pociąg kurjerski, t. zwany *D-Zug*, mknął szybko ku Poznaniu. Na jednej z większych stacyj wysiadło towarzystwo niemieckie, wypełniające przedział hałaśliwym szwargotem. Zostałem sam z moim towarzyszem, jedynym ze znanych i bardzo poważanych obywateli wielkopolskich. Wraz rozmowa nasza uczyniła się swobodniejszą.

O czemże dziś mówi się w Poznaniu? Przed chwilą z rąk naszych wypadły dzienniki, rozstrząsające szeroko

projekt nowej ustawy przeciwpolskiej. Czwierć miljarda marek, rzuconych na pogrzebie i ogłodzenie ludności polskiej! Społeczność wielkopolska nadto jest zahartowana w walce z nieubłaganim wrogiem, ażeby zapowiedź nowego ciosu wytrącała ją z równowagi umysłowej i pozbawiała zimnej krwi. Przetrawialiśmy tyle, przetrwamy i więcej! W zdaniu tem tkwi nie przechwałka, ale rezygnacja, połączona z ufnością w ostateczną sprawiedliwość. Tem niemniej ów najświeższy zamach brutalnej siły na prawo nieci w sercach gorczy i gniewem tem potężniejszy, że spokojny. Mój towarzysz mówił:

— Ledwie parę dni temu po całej prasie niemieckiej rozeszła się pogłoska, że projekt przeciwpolski nie będzie przedłożony sejmowi w tej sesji. Wydawało się to nawet Niemcom zupełnie słusznym i naturalnym. Czas jest późniony. I oto nagle rozchodzi się wiadomość, że projekt już znajduje się w sejmie, że w d. 27 b. m. postawiony zostanie na porządek dzienny. Zkądże tak gwałtowny pośpiech, tak bezprzykładna niecierpliwość?...

Wielkopolanin zamilkł na chwilę, pogładził brodę, lśniąca tu i owdzie srebrnym włosem i ciszej dodał:

— Ja mam wrażenie, że ów pośpiech jest w pewnej łączności z przyjazdem cesarza Wilhelma do Poznania.

— Jak pan to rozumie?

— Przedewszystkiem zastrzegam się, że jest to tylko moje osobiste «wrażenie»... Niech pan posłucha. Coraz częściej słyszymy o szczegółach wrześnieowych odwiedzin cesarza. W dziennikach poznańskich ozwały się już głosy o tem, jak się ma zachować podczas tych odwiedzin ludność polska. Sprawa atoli zbyt jest drażliwa, by można było o niej swobodnie dyskutować. To, co się przedostało do prasy polskiej, jest nader małą częścią ożywionych rozpraw, jakie w tej kwestji toczyły się i toczą prywatnie.

Dziś najbardziej ostrożni taktycy polityczni przyznać muszą, iż temat do dyskusji upada. Wiadomo panu dobrze, kto obecnie kieruje polityką w Berlinie. Hr. Bülow jest tylko «człowiekiem słomianym». Rządzą sam cesarz.

Cóż wobec tego oznacza to przyspieszone wniesienie do sejmu obecnego projektu? Ludność polska miała dowiedzieć się jasno i stanowczo, jakie zamiary i uczucia żywi ku niej teraz król pruski i cesarz niemiecki. *Point de reveries*, ażeby pobyt monarchy w Poznaniu miał być aktem życzliwości wobec ludu polskiego, zamieszkującego od wieków stary gród Przemysława. Hakatystyczni doradcy cesarza postarali się, aby rozchwiać ostatnie złudzenia...

— Czy pan sądzi, że wpłynie to również na usposobienie ludności polskiej?

— Niewątpliwie. Polscy mieszkańcy Poznania są nazbyt dojrzały politycznie, iżby pozwolili sobie na jakiś wyryk nieczesny, który mógłby sięgnąć na cały kraj nowe klęski. Nie, tego obawiać się nie potrzeba. Ale nie zapomną o godności narodowej, ta zaś, według słusznego określenia «Dziennika Poznańskiego», nakazuje nam w danym wypadku rzucić się otwartą szczerością, daleką od wszelkiej wiernopoddańczej obłudy, któ-

raby kłam zadawała legalnie opozycyjnemu stanowisku społeczeństwa.

Pociąg zwalniał biegu, by niebawem zatrzymać się na stacji. Szarpnięte mocno drzewczki od wagonu roztrworzyły się i do przedziału weszło kilku opasyłych prusaków, w małych czapeczkach podróżnych i miękkich pantoflach na tłustych nogach. Spojrzeli na porzucane wokół nas dzienniki polskie i obrzucili nas chmurnym wzrokiem. My poczęliśmy mówić o rzeczach obojętnych.

Bart.

Głosy prasy polskiej.

Prasa polska w dzielnicach pruskich, aczkolwiek zdaje sobie sprawę ze znaczenia nowego olbrzymiego funduszu kolonizacyjnego, przyjmuje cios ze spokojem. Nie traci ufności w słuszną sprawę, nie wątpi o ostatecznym zwycięstwie. Lecz nawet rozważny «Dziennik Poznański» stwierdza, iż

«to nowe łamanie kardynalnej zasady konstytucji pruskiej o równości wszystkich obywateli państwa w obliczu prawa, wywoła takie rozgoryczenie i oburzenie we wszystkich warstwach społeczeństwa, uczucie doznawanego krzywd tak się w nich pogłębi, że między ciemienionymi a ciemieniami stanie na wieki mur nieprzebytej, aż kiedyś wybijie godzina sprawiedliwości. *Deus mirabilis, fortuna variabilis!*»

«Kurjer Poznański» napomina, że «im większy napór przeciwności, im silniejsza fala germanizacyjna, pragnąca zalać naszą ojczyznę, tem bardziej powinniśmy pamiętać o obowiązku stałości w postanowieniach i poważnego traktowania sprawy narodowej».

I dalej:

«Cuda są łaską, nie prawem człowieka. Cudów więc się nie spodziewajmy. Lecz spodziewajmy się wiele, bardzo wiele, po owocach prawdziwej, spokojnej a wytrwałej pracy. Ile w tej mierze u nas nagrzeszono i dotąd się grzeszy, zbytecznym byłoby raz więcej stwierdzać; ile jeszcze dotąd niewyżyskanego pola do pracy społecznej, ekonomicznej i narodowej, również jest jasnym. Więc gdy nowy nas spotyka cios—niech nie skarga boleści zabrzmi z naszych ust, ani też jęk poddania się, lecz zdrowe, energiczne słowa: żyć chcemy, żyć będziemy i nie damy się wam!»

Niemniej energicznie odzywa się «Oreodownik»:

«My się oczywiście tej ustawy nie ulęknemy, jakeśmy już niejednokrotnie zaznaczyli. Nowych sił doda nam, owszem, przekonanie, iż rząd, chcąc nas narodowo i ekonomicznie zgniebić, nie waha się chwycić środków, których zapewne sam za sprawiedliwe uznać nie może. W społeczeństwie zaś naszym poczucie strasznej krzywdy sprawi, że coraz silniej będzie stało przy sztandarze narodowym i bronilo tego kawałka ziemi ojczystej, na którego wykupienie nowe miliony rząd wyznacza».

Do podobnych wniosków dochodzi «Dziennik Berliński»:

«Nas owe 250 milionów nie przestraszą; nie wyparli polskość 200 milionami, nie wyprą też jej 450 milionami. Przekonywamy się tylko, że walka o nasze istnienie z tak potężnym wrogiem wymaga od nas tem bacniejszej uwagi, tem większej łączności i jednolitości. Nie wolno nikomu z nas przypatrywać się obojętnie lub ustępować przed naporem wroga, lecz pracować usilnie nad powiększeniem szeregów pracowników przez budzenie do życia narodowego obo-

jętnych dotąd mas ludu. Im więcej narodo-wo uświadomiony będzie lud, tem silniej będziemy, i nie zlamie nas nigdy wróg, choćby jeszcze raz tyle milionów miał do dyspozycji. Pracujemy usilnie a wytrwale, gdyż bardzo jeszcze duże są ugory na niwie naszej».

Wszystkie inne pisma wielkopolskie przemawiają w tym samym duchu.

Głosy niemieckie.

W prasie niemieckiej projekt nowego funduszu kolonizacyjnego wywołał ożywione dyskusje.

«Niekóre dzienniki, jak na przykład „Freisinnige Zeitung“, utworzyły oddzielną rubrykę, w której projekt jest codziennie szeroko omawiany. Woluomyjny organ Richtera jest stanowczo przeciwny podobnym sposobom „wzmocnienia niemczyzny“. Nie-równie ostrzej wyszydza projekt „Vorwaerts“ w artykule p. t.: „Kupno Polski“. Zaznacza, iż sto lat pracy germanizacyjnej zgola inny wywołało skutek, niż miały go na celu usiłowania rządu pruskiego. Narodowość polska dziś jest silniejsza, niż kiedykolwiek. Teraz Prusy muszą *wykupować* kraj, który rzekomo uważają od wieku za własny. Większego *fiasca*, jak w polityce przeciwpolskiej, nigdy nie poniosła sztuka rządzenia sławetnych pruskich mężów stanu. Demokracja „Berliner Ztg“ stwierdza, że polacy nie dostaną „gęsiej skóry“ na widok tej najnowszej broni z ruskiego arsenału; jeśli zdrowo przetrwali dokiegozasowa politykę pruską, to i obecna im nie zaszkodzi. Oficjalny organ katolików niemieckich „Die Korrespondenz für Centrumsblaetter“ oznajmia, iż „centrum będzie głosowało przeciw ustawie, ponieważ jest ona wprost niezgodna z konstytucją. Niezgodna dlatego, że z ogólnych zasobów podatkowych chce rząd wyciągnąć pieniądze w celu dania korzyści pewnej liczbie obywateli kosztem i z krzywdą innych“. Oświadczenie to jest bardzo ważne, ponieważ daje zapewnienie o stanowisku, jakie zajmie centrum wobec rozpraw nad projektem w sejmie».

Natomiast prasa rządowo-hakatystyczna wyje z radości: „Die neue Polenverlage ist da!“—woła „Deutsche Ztg“ i wznosi hymny na cześć „znakomitego“ projektu. „Posmer Tageblatt“ konstatuje, że „wielka radość opanowała wszystkich Niemców w Księstwie z tej przyczyny, iż rząd domaga się od sejmu uchwalenia wielkich środków na dalsze nabywanie posiadłości ziemskiej“. Polityczno-rządowy organ poznański dodaje przytem, że „nowy projekt liczby ustaw przeciwpolskich wcale nie wyczerpuje».

Tego samego zdania jest przywódca wszechniemców, poseł Hasse, który przed paru dniami w publicznej mowie w Lipsku domagał się, aby rząd wziął się do wywłaszczania polskich posiadaczy ziemi z ich ojcowizny! Zaznaczamy w końcu, że niektóre nieprzyjazne polakom pisma, jak np. «Koelnische Ztg», «Berliner Tagblatt», «Taegliche Rundschau» etc. wyrażają powątpiewanie, czy nowy fundusz kolonizacyjny przyniesie spodziewane korzyści—czy zamiast wyzuć polaków z ziemi, nie stanie się pastwą zrujnowanych junkrów niemieckich, którzy znajdują sposobność sprzedaży swych majątków w Poznaniu za znacznie wyższą cenę.

G.

ZJAZD SŁOWIAŃSKI W LUBLANIE.

Porządkowa liczba zjazdu: *czwartą* posiada niemałą doniosłość. Świadczy ona bowiem, że myśl zblizenia do siebie prasy słowiańskiej w monarchji habsburskiej, zamieniona w czyn przez urządzenie pierwszego zjazdu w Pradze czeskiej, nabrała trwałości mimo wszelkich przeszkód. Kto uczestniczył we wszystkich poprzednich zjazdach i zna dokładnie ich przebieg, może zaświadczyć, że przeszkód tych było wiele i że zwalczono je dzięki wzajemnemu bliższemu poznaniu się uczestników.

Na tem też polega główna wartość zjazdów. W początkach byli jedni drugim niemal zupełnie obcy. Zbliżali się po przyjacielsku napozór, lecz w sercach ich kryły się podejrzania, obawy i różne uprzedzenia, które, gdy się zapoznano lepiej, wciąż malały i nikły. Za pośrednictwem też swoich przedstawicieli dziennikarskich poznały się bliżej ludy słowiańskie, a to stanowi niezbędną warunek dla praktycznego stosowania słowiańskiej wzajemności tam, gdzie ona łatwo objawiać się może i powinna, mianowicie w dziedzinie życia duchowego. Przed zjazdami obecna była życie społeczne ludów pobratymczych, stosunki, twórczość duchowa, zwyczaje i obyczaje, ziemia i wogóle wszystko. Odbywanie zjazdu raz na ziemi czeskiej, to znowu polskiej, chorwacko-dalmackiej i słoweńskiej było praktycznym kursem ludoznawstwa pobratymczego, a obrazy wspaniałe, roztaczające się przed oczyma naszymi, budziły podziw i zarazem miłość, bo wszędzie, mimo odległości i pozornej różnorodności, znajdowaliśmy i rozpoznawaliśmy cechy pochodzenia plemiennego: tu w zwyczajach i obyczajach, tam w podaniu lub pieśni, stroju życia ludowego i dźwiękach jego gwary, a wszędzie w tej czułości serc i szczerzej gościnności, właściwej tylko ludom słowiańskim.

Zjazd lublański zasługuje tem bardziej na uwagę, że w całym jego przebiegu nie było najmniejszego dysonansu, bez czego, niestety, nie obeszło się na poprzednich zjazdach. Drugim jego bardzo znamionym objawem był stosunkowo liczny udział przedstawicieli galicyjskiej partji staroruskiej. Prawie cała redakcja «Halyczanina» na zjazd się stawiła. Przyczem przedstawiciele staroruscy zachowywali się wszędzie bardzo taktownie, a nawet pojednawczo wobec polaków, co na wszystkich innych słowian sprawiło jaknajlepsze wrażenie. Natomiast z młodorusinów, tak zw. «ukraińców», nie było nikogo na zjeździe, zarówno jak i serbów, których gdzieś wogóle niema, gdzie są chorwaci.

Zjazd lublański był najliczniejszy ze wszystkich dotychczasowych. Miał bowiem przeszło 150 uczestników, wśród których najwięcej, bo około 40, było Czechów.

Prasę polską reprezentowali pp.: Chyliński, redaktor «Czasu», dr. Ostaszewski, redaktor «Dziennika Polskiego», prof. dr. Zdziechowski, Prokesh, Inlender, Laskownicki, Biełkowski, Karcz, Smólski, Kwaszewski, Stasiak, ks. Jabłoński, dr. Włodzimierz Lewicki, poseł dr. Danielak, Alfred Szczepański, dr. Koneczny, ks. Stojalowski i Stohandl — razem 18.

Słowacy mieli 11 przedstawicieli. Chorwatów z Krocacji i Dalmacji było 22.

Lublana przyjęła uczestników zjazdu nader serdecznie i wykwintnie. Miasto przystroilo się w uroczyste szaty, wywieszając w główniejszych ulicach las chorągwi w rozmaitych barwach. Na dworcu kolejowym witał przybyłych prezes komitetu miejscowego, dr. Treller i żupan (burmistrz) lublański, p. Hribar, któremu dziękował redaktor Chyliński słowami:

„Poznaliśmy się poprzednio. Teraz przybyliśmy do was, by was poznać w domu, by poznać wasze życie, stosunki, waszą walkę. Dzięki jej rozwinęliście się na polu politycznym, społecznym, gospodarczym, literackim. Zbieramy się tu w myśli, która naszym zjazdowi przyświeca, a której treścią jest równoprawienie narodów, monarchję zamieszkujących. Życzymy wam z serca dalszego rozwoju i postępu w każdym kierunku. Niech żyją słowianie!”

Okrzyk powtórzono trzykrotnie w siedmiu językach słowiańskich. Chyliński, jako przewodniczący ostatniego zjazdu w Dubrowniku, był nim i tu, aż do wyboru nowego prezesa, którym został słowak dr. Dula, zaś jego zastępcami: Franciszek Hovorka i Babicz-Gjalski.

Prawie zbytecznym wydaje mi się zaznaczyć, że bankiety i zebrania towarzyskie stały wciąż na porządku dziennym przez cały czas trwania zjazdu, od d. 17 aż do 20 maja włącznie, że mowy we wszystkich językach słowiańskich płynęły wzebranym szeroko potokiem, że niebrakowało im ciepła, dobrych chęci i pięknych myśli.

Koncert czeskiego Towarzystwa śpiewaków «Smetana» z Pilzna rozpoczął szereg uroczystości. Jest to chór śpiewaków, który nietylko nas zachwycał mistrzowskim wykonaniem pieśni narodowych, lecz już poprzednio, na wielkim międzynarodowym turnieju śpiewaków na wystawie powszechnej w Paryżu, zdobył sobie wieniec wawrzynowy. Po koncercie wieczornica w «Domu narodnim» z licznymi mowami toaśtowymi. Z polaków przemawiali: dr. Ostaszewski-Barański i dr. Włodzimierz Lewicki, z rusinów: Monczalowski i dr. Wergun. Rzewnym

głosem odezwał się słowak Dula, skarżąc się na ucisk narodowościowy, zapierający dech w piersi.

Dzień 18 maja był głównym dniem obrad. Porządek dzienny bardzo obfity, a czas dla jego załatwienia nader szczupły — kilka godzin. Najważniejszą sprawą, bo mającą praktyczną doniosłość, jest, moim zdaniem, utworzenie związku słowiańskich stowarzyszeń dziennikarskich. Jest to piękny owoc zjazdów, a zarazem trwała podstawa organizacyjna dla wszystkich zjazdów przyszłych. Sprawozdawcą był Hovorka.

Zapowiedziano wykład prof. Zdziechowskiego p. n.: «Idea słowiańska w Polsce», którą jednak referent, zapewne dla skrócenia zbyt obfitego porządku dziennego, sam cofnął. Zbliżony treścią do powyższego wykład wygłosił dr. Włodzimierz Lewicki: «Idea słowiańskiego braterstwa, jako przewodnia myśl wieszczów narodowych», zakończony wniesieniem następującej rezolucji:

„Czwarty zjazd dziennikarzy słowiańskich, składając hold wieszczom słowiańskim, którzy wszyscy uznawali znaczenie idei słowiańskiej, wyraża przekonanie, że głównym zadaniem dziennikarstwa słowiańskiego jest stałe i systematyczne zaznajamianie czytelnictwa z życiem umysłowym, kulturowym i politycznym narodów słowiańskich. W tej myśli czwarty zjazd dziennikarzy słowiańskich zaleca bezwzględne utworzenie powszechnej słowiańskiej Macierzy, której celem będzie wydawanie i rozszerzanie popularnych i taniach dzieł o życiu, dziejach i piśmiennictwie narodów słowiańskich.

„W celu powołania do życia powszechnej słowiańskiej Macierzy, czwarty zjazd dziennikarzy słowiańskich w Lublanie wybierze komitet wykonawczy, który zajmie się wdrożeniem i zorganizowaniem akcji we wszystkich krajach słowiańskich w kierunku utworzenia związków, stowarzyszeń i komitetów i przeprowadzenia wewnętrznej organizacji Macierzy, oraz obmyśli sposób zebrania funduszy na wydawnictwa. Komitetowi temu służyć będzie jaknajszersze prawo kooptacji. Z wyników działania zda wybrany komitet sprawę na przyszłym zjeździe dziennikarzy słowiańskich.

„Czwarty zjazd dziennikarzy słowiańskich w Lublanie wyraża życzenie, aby redakcje wszystkich dzienników słowiańskich, ogłaszając te rezultaty, ogłosiły również jaknajgorętsze wezwanie do dobrowolnych składek na fundusz wydawniczy powszechnej słowiańskiej Macierzy”.

Prokop Gregr, wydawca i redaktor «Narodnich Listów», przedstawił rzecz o potrzebie utworzenia słowiańskiego biura korespondencyjnego (agencji telegraficznej). Nie mogąc atoli sam przybyć na zjazd, wyrażał się w sprawozdaniu p. Hrubym. Sprawozdanie donosi, że filja czeska takiego biura już istnieje. Dr. Preiss, redaktor «Narodnich listów» mówił o «sprawach ekonomicznych słowiańskich i jakie należy dziennikarstwu słowiańskiemu zająć wobec nich stanowisko».

To były główne przedmioty obrad zjazdu, który jednomyślnie uchwalił wnioski sprawozdawców i bezzwłocznie przystąpił do utworzenia związku dziennikarzy słowiańskich.

Wieczorem odbył się bankiet w wielkiej sali «Narodniego domu». Zasiadło do stołu około 200 osób. Zebranych powitał serdecznymi słowami żupan miasta p. Hribar, najprzód po słowacku, następnie po czesku, polsku, chorwacku i po rusku. Na bankiecie byli też obecni posłowie sejmowi i rada miasta Lublany. Ze strony polaków przemawiał prof. Zdziechowski i dr. Danielak, pierwszy zaczynając po polsku, a kończąc po słowacku. Mowę prof. Zdziechowskiego przyjęło burzą oklasków. Poseł dr. Danielak mówił o germanizacji — retrospektywnie wysuwając wątek tego, co się obecnie dzieje w tym kierunku, z przeszłości dziejowej, a dowodząc na podstawie faktów, że proces germanizacyjny trwa od lat tysiąca bez przerwy, zmieniając tylko i przystosowując do czasu i okoliczności sposób działania i swoją zewnętrzną formę. Ostro, w tym samym mniej więcej sensie, przemawiał poseł sejmowy czeski dr. Baxa. Poseł Kłofacz zaś mówił o «koniecznej potrzebie unarodowienia robotników i ruchu społecznego».

Dwa dni następane: 19 i 20 maja, poświęcone były wycieczkom zbiorowym do Górnej Krainy, nad uroczyste jezioro Bled (Veldes See), do słynnej groty w Postojnie (Adelsbergu), a ztamtąd do Trjestu, w odwiedziny do tamtejszych słowianów. Chociaż pogoda niezupełnie dopisała, wycieczki udały się wybornie. Około 200 osób wyruszyło o godzinie 7 z rana osobnym pociągiem z Lublany do Jawornika, z kąd odbyli się wędrowką pieszą przez wązki rzeki Radolny i górę Ventgar, poczem pojechaliśmy wozami do Bledu.

Po drodze, przy każdej stacji kolejowej, gdzie tylko pociąg stawał, witali nas żupani (burmistrz) miejscowi w otoczeniu radnych i tłumów ludności. Nadobne dziewczęta wiejskie, w barwnych strojach narodowych, obrzucały nas kwiatami, a dla dodania blasku przyjęcia powitalnego, występowały w pełnej paradzie ochotnicze strażnice ogniove i sokoły, stowarzyszenia ze sztandarami i muzyką; na wzgórzach strzelano z moździerzy. O serdeczniejszym przyjęciu trudno pomyśleć. Na przemowy powitalne odpowiadał wszędzie prezes zjazdu, dr. Dula.

Jezioro Bled jest czarujące: otaczają je piękne, cieniście drogi, parki i ogrody, a wśród nich elegancie wille kilku ogromnych hotelów, na sposób szwajcarski urządzone, słowem, jest to zaciszny raj dla wygodnego i przyjemnego wypoczynku letniego. W lecie bywa tu około 2 tys. gości, a w tej liczbie kilkudziesięciu Polaków. Słynny Rickli, «słoneczny Pryszyć», jak

go zowią, ma nad jeziorem znany zakład leczniczy «kąpieli słonecznych», dość licznie nawiedzany. Jezioro ujęte jest jakby w ramy przez wiele malownicze stoki Karawanek, podobne do naszych Tatr, różniąc się od nich nieco łagodniejszym kolorytem i brakiem może tej romantycznej grozy i przyrodzonej dzikości, naszym góróm właściwej.

Gmina Bled przyjęła nas bramą tryumfalną, serdeczną mową żupana w otoczeniu całego dostojnictwa miejscowego, a następnie bankietem w tarasowej sali nad jeziorem «Hotelu Toplice». Żupan Bledu, wieśniak w stroju narodowym, zajął miejsce naczelnego przy stole, a po obu jego stronach zasiadli prezesi zjazdu. Chóry wiejskie wykonywały śpiewy, przepłatanie mowami biesiadników. Między innymi przemawiało tu dwóch Polaków: ks. Jabłoński i dr. Włodzimierz Lewicki. Sędziwy przywódca Słowaków, dr. Mudroň, zabrał także głos, a mowa jego była może najlepszą ze wszystkich, jakie na zjeździe wygłoszono. Mówił z zaprawą dowcipu o bardzo smutnej rzeczy, o martyrologii słowackiej, spokojnym, niemal cichym głosem, bez żadnych frazesów i bez bicia na efekt.

„Zbudowaliście sobie — mówił — sierocym gromem ludu matkę w św. Marcinie Turczańskim; nie mamy do niej przystępu, bo mądjarowie nam ją zamknęli; ufundowaliście sobie tym samym gromem sierocym trzy gimnazja narodowe; nie mamy do nich przystępu, bo zamknięto je nam także. Nauka i pielęgnowanie własnego macierzyńskiego języka zowią się u mądjarów «panslawistyczna agitacja», więc odejmują nam bezprawnie wszelką oświatę narodową. My, słowacy, zowieśmy siebie także «słowiankami», to nas zbliża szczególnie z wami, prawdziwymi słowiankami. Was jest coś około 1,200 tys., nas więcej niż dwa razy tyle; wy jesteście w pełnym słowa znaczeniu narodem, a my? — my jesteśmy nieczem. Jeśli piję za pomyślność narodu słowackiego, to nikt nie zrozumie tego dwuznacznie, jakobym pił może na pomyślność własnego ludu — narodem bowiem słowackim, chociaż my zowieśmy się tak samo, jesteście tylko wy, my zaś, jako rzekłem — nieczem”.

Nazajutrz zwiedzono groty w Postojnie. I tu uroczyste a serdeczne przyjęcia, biesiady i mowy toastowe, z których zasługuje na uwagę mowa dziennikarza lwowskiego, p. Laskownickiego i mowa d-ra Werguna. Pierwszy określał stanowisko Polaków wobec wzajemności słowiańskiej. Niezbędnym warunkiem ostatniej jest poszanowanie i nienaruszalność indywidualizmów narodowościowych i zupełne równoprawienie narodowe. Bez tego wzajemność słowiańska musi pozostać frazesem lub nieokreślonym pojęciem, nie mogącym mieć żadnej praktycznej doniosłości. Taka była główna myśl tej mowy. Dr. Wergun zaś wyrażał gorące sympatie dla Polaków, nazywając ich «kochanymi braćmi».

PRZEMYSŁ W KRÓLESTWIE.

Kiedy «Kraj» po raz pierwszy wyraził powątpiewanie o możebności bojkotowania Prusaków, rzucono na niego kamieniem. I pokazało się znowu, że rzucając kamieniem nie zabija się myśli, będącej wyrazem szczerych przekonań. W warszawskim Towarzystwie popierania przemysłu i handlu odezwał się wymownymi słowami p. Stanisław Kempner, dowodząc, że Królestwo nie zdolałoby dzisiaj odciąć się całkowicie od Niemiec. W tym samym duchu odzywało się kilkakrotnie warszawskie «Słowo». Po okresie feljetonowych zachwyty nad wojną handlową z sąsiadami zachodnimi, nastąpiła chwila krytycznego otrzeźwienia.

Rzecz oczywista, że nad kwestją, poruszającą umysły do głębi, nie zaprzestano dyskusji odrazu. Przeciwnie, dyskusja zatoczyła kręgi szersze, dotknęła wiele zagadnień innych.

Pierwotnie debatowano tylko nad tem, czy jesteśmy dosyć silni, dosyć samodzielni, dosyć pod względem przemysłu dojrzały, by rzucić rękawicę Prusakom? W ostatnich dniach natomiast spotykaliśmy się w prasie warszawskiej z artykułami, poświęconymi pytaniu: ileśmy wogóle warci, jako przemysłowcy?

Zauważyć wypada, że te rozprawy publicystyczne toczą się właśnie w dobie, w której społeczeństwo uczuwa na sobie skutki dotkliwego przesilenia ekonomicznego. Po epoce rozwoju, nastąpił czas niepowodzenia. Po łatwych i taniach zachwytych nad własną doskonałością, nadeszła epoka pesymizmu. Zamiast poematów na temat zbawczej siły przemysłu, czyta się gorzkie zale.

Krytycyzm nie zaszkodzi nigdy, o ile nie jest tendencyjny, a opiera się na faktach. Sądźmy więc, że i obecna dyskusja wyjdzie społeczeństwu na zdrowie.

Korzystne warunki handlowe i celne wywołały w Królestwie taki rozwój przemysłu, jakiego nie przewidywali najśmielsi marzyciele. Prof. Załęski obliczył, że wartość produkcji przemysłowej, która w połowie w. XIX wynosiła zaledwie 42 milj. rb., równała się dziesięć lat temu 228 milj. rb., a następnie wzrastała tak szybko, iż w r. 1897 osiągnęła 505 milj. rb. Społeczeństwo korzystało z tego rozwoju, miasta upiększały się i wzbogacały, ale nie wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, że okoliczności zewnętrzne więcej tu działy, niż wrodzone zalety i skłonności narodu. A jednak rzut oka na Galicję mógł przekonać każdego, że społeczeństwo polskie, znajdując się w innych wa-

runkach ekonomicznych, nie może samo z siebie przemysłu fabrycznego wytworzyć.

Przesilenie otworzyło ludziom oczy. Pokazało się, że porywczosć, fantazja, chęć łatwego zysku wystarczają do rozwoju przemysłu w latach pomyślnych; by atoli przetrwać bez strat i ruin lata niedobre, potrzeba na to cnót innych: potrzeba pracowitości, oszczędności, słowności, wielkiej znajomości obranego interesu i wielkiej ścisłości obliczeń. Tem nie odznaczyliśmy się nigdy. Przykładać więc należy słowom autora, podpisanego pseudonimem: *Lel*, gdy powiada w warszawskim «Słowie»:

„Bojkot, jest to zaiste usprawiedliwiony sentyment, ale sentyment; bez przemysłu krajowego nie nie zdziałamy. Nauczylismy się podziwiać objawy naszej rzutności, szukajmy dzisiaj innej cechy, by ją podziwiać, a mianowicie charakteru, gdyż, jak się sprawiedliwie odezwał przed laty jeden z żyjących już, poważniejszych ludzi: „brak nam charakterów — a inteligencji *vel* rzutkości mamy chyba — zanadto”.

Równocześnie, mówiąc o projekcie założenia fabryki machin rolniczych, odzywa się p. Suwald w «Głosie» temi słowami:

„W rozmowie z jednym z naszych najlepszych finansistów potrącał mi ten temat. „Sercem robią — mówił do mnie — nie głową i rachunkiem; wstępują w ślady Steinkeleńców i Szczepanowskich, ludzi o najlepszym sercu i intencjach, którzy jednak, mimo wszystkiego, zadawali mimowoli ciosy tym, którym nieba chcieli przychylić”.

Przytoczywszy te słowa, powiada p. Suwald trafnie, że czas przestać dmuchać w zmurszałe rogi dziejowe «dumy narodowej» przy zakładaniu fabryk.

Wystrzegając się wszakże tych dawnych błędów, wystrzegajmy się równocześnie przesady w krytyce. Wiemy dziś, że w przemyśle polskim nie wszystko było, jak być powinno. Bywała niekiedy rzutkość bez charakteru, bywał innym razem idealizm bez rachunkowości kupieckiej. Nie obala to atoli faktu, iż owe lata rozwoju dały krajowi zaścianek przemysłowców-Polaków, jakich przedtem nie było. Odliczmy niedość i blagierów, odliczmy ludzi o bardzo gęstym sumieniu i ludzi o bardzo słabej głowie, a pozostanie nam zawsze jeszcze grono, złożone z jednostek, umiających łączyć rzutkość z przezornością, wiedzę fachową z miłością współbraci, a godziwą chęć zysku z dbałością o dobre imię. Kto zna społeczeństwo, ten wie, że tacy są między nami. Wtenczas zaś dopiero będziemy mogli stawiać czoło przesileniom, a inne ludy śmiało wzywać w zapasy, gdy te zalety szczupłego grona staną się udziałem ogółu.

P. Mycielski o Rosji i Polsce.

Wybitny obywatel z Wielkopolski, Józef Mycielski, zamieścił niedawno w «Kurjerze Poznańskim» list na temat zbliżenia się polsko-rosyjskiego. Temat ten w ostatnich czasach niejednokrotnie poruszała z różnych punktów widzenia prasa poznańska, czyniąc to zwykle bardzo ostrożnie. P. Mycielski obecnie przeprowadza polityczną i kulturalną analizę idei tego zbliżenia:

„O ile chodzi o zbliżenie polityczne, może być mowa jedynie o Polakach, żyjących pod berłem rosyjskiem. Wszyscy inni są, na mocy międzynarodowych traktatów, poddani innymi mocarstwami, a zaledwie mają doświadczenia i polityczny zmysł, by się w jakiegokolwiek mierze przyczynić do naruszenia status quo. Wszelkie zmiany tego status quo mogą nastąpić jedynie wskutek odmiennych konstatacji politycznych, na mocy nowych traktatów.

„Polacy w żadnej mierze nie będą wpływać na bieg wypadków, ani w razie wojny brać w niej innego udziału, jak ten, do jakiego ich zobowiązywać będzie przynależność do odnosnych armii. A zatem o żadnej politycznej akcji Polaków, poddanych innym berłom, w celach zbliżenia się do Rosji, mowy być nie może. Również wykluczone jest wywieranie wpływu na Polaków, poddanych rosyjskich. Im bowiem wyłącznie samemu rozstrzygać wolno, jakie im wobec rządu należy zajmować stanowisko.

„Natomiast, na mocy tych samych międzynarodowych traktatów, które stwierdziły przynależność dzielnic polskich do ościennych krajów, pozostał Polakom węzeł jednolitości narodowej. Utrzymanie jej poczucia i staranie się o zachowanie spójni społecznej i ekonomicznej stanowią, wedle brzmienia traktatów, działalność legalną, i to daleko więcej legalną, jak np. solidaryzowanie się Niemców austriackich z Niemcami cesarstwa.

„Wykluczając zatem zasadniczo wszelkie polityczne stosunki Polaków, poddanych austriackich i pruskich, z Rosją, jako mocarstwem; wolno nam jednakowoż mówić o stosunkach narodu polskiego do narodu rosyjskiego. Dwa te narody łączą pokrewieństwo rasy i analogia warunków ekonomicznych, a rozłączają: przeszłość historyczną, system polityczny, wyznanie i rodzaj cywilizacji. Rozwój dziejowy nie stanowi nieprzezwyciężonej zapory. Wojowniczość dąży do Litwy i Rusi, a jednak zbrataliśmy się w końcu.

„I systemy polityczne ulegają zmianom. Rosja jest państwem w pełnym rozwoju. Daleko jej do „saturacji“ państw zachodnich. Gdy dojdzie do warunków, do których dąży, wskutek naturalnego rozwoju zmienić będzie mogła u siebie niejedno, co dziś dla niej jeszcze potrzebne.“

Autor sądzi, że różnice wyznawane będą stanowić coraz mniejszą przeszkodę, w miarę, jak zbliżać się będą coraz więcej kościoły chrześcijańskie:

„Większą przeszkodą jest odmiennosc kierunków cywilizacji. Polska czerpała oświatę z Włoch i Francji, a chociaż ona w pierwszych wiekach dochodziła nas po części drogą na Niemcy, była jednak kulturą zachodnią i południową. Polska w rozkwicie już się bez pośrednictwa Niemiec obywatela, a nowoczesna germańska kultura żadnego na niej nie wyćmięła piętna. Do Rosji płynęło światło ze Wschodu. Ztąd wiel-

ka różnica ustroju społecznego. Lecz może nadejść czas, gdy i te różnorodności cywilizacyjne zdolają się zamalgamować. Rozłączają nas zatem warunki przejściowe, a zato łączy pokrewieństwo wieczne.

„Duchowa łączność wielkiej rzeszy słowiańskiej konieczną jest dla zachowania równowagi cywilizacji europejskiej, a w słowiańskiej rodzinie nie może naród polski grać roli biernej, ani podrzędnej. Liczne jego rozrozdzenie, świetna przeszłość, a przedewszystkiem bogata cywilizacja, muszą mu, owszem, zapewnić miejsce nieposłednie. Dlatego, pomijając wszelkie kombinacje polityczne, każdą słowiańską rękę chętnie uściśnemy, skoro nam podaną zostanie szczerze i z uwzględnieniem przynależnego narodowi naszemu we wspólnej rodzinie stanowiska.“

List p. Mycielskiego przytaczamy jako próbę czysto teoretycznego rozumowania o idei zbliżenia. Nie powołuje się on na żadne konkretne fakty, a podkreśla tylko dziejową możliwość oraz cywilizacyjną dogodność zbliżenia.

POBYT EM. LOUBETA W ROSJI.

W przeglądzie wojsk na Krasno-sielskiem polu wojennym 8 (21) maja, w obecności Ich Cesarskich Mości i prezydenta Loubeta, brały udział 56 i pół batalionów, 36 szwadronów i 12 setni, 230 dział artylerji pieszej i 36 konnej. Przeglądem dowodził Wielki Książę Mikołajewicz.

Po paradzie, odbyło się w Cesarskim namiocie jadalnym śniadanie. Miejsce prezydenta francuskiego znajdowało się z prawej strony Jego Cesarskiej Mości. Na prawo od Prezydenta siedziała Najjaśniejsza Pani Marja Teodorówna, a obok Najjaśniejszego Pana z lewej strony siedziała Najjaśniejsza Pani Aleksandra Teodorówna. Podczas śniadania Najjaśniejszy Pan wygłosił następujący toast po francuzku:

«Panie prezydencie! Wojska Moje, których defiladę pan widziałeś, są szczęśliwe, że mogły oddać honory wysoce szanownemu Naczelnikowi państwa zaprzyjaźnionego i sprzymierzonego. Żywe sympatje, jakie ożywiają armję rosyjską względem dzielnej armji francuskiej są panu znane. Stanowią one rzeczywiste braterstwo broni, jakie My możemy stwierdzić z tem większym zadowoleniem, że ta siła imponująca nie jest bynajmniej przeznaczona do popierania zamysłów zaczepnych, lecz przeciwnie, do wzmocnienia i utrzymania pokoju powszechnego i do obrony szacunku dla wzniosłych zasad, które są rękojmnią dobrobytu i sprzyjają postępowi narodów. Wznoszę puhar za pomyślność i za chwałę dzielnej armji francuskiej.»

Na toast Jego Cesarskiej Mości prezydent francuzki odpowiedział toastem następującym:

«Najjaśniejszy Panie! Dziękuję Waszej Cesarskiej Mości za sprawienie mi wielkiej przyjemności podziwiania tych pięknych wojsk, których dzielna posta-

wa, choć marsowy i dokładne ruchy świadczą, że armja rosyjska w nieustającym postępie utrzymuje dzielnie swą głośnie sławę. Jak wspólne sympatje i wyższe interesy łączyły dwa narody, tak sławne braterstwo broni i wzajemny szacunek wiąże ściśle dwie armje. Ta siła imponująca nie jest dla nikogo groźbą, ale pozwała Rosji i Francji widzieć w niej rękojmnię używania swych praw, ochronę, pod którą mogą z całym spokojem oddać się pracy owocnej, która, czyniąc je szczęśliwsi, wzmocni ich potęgę i ich wpływ prawowity. W imieniu armji francuskiej, która nie zapomiała zaszczytu, jaki jej Wasza Cesarska Mość wyrządził Swą obecnością na jej manewrach, piję za pomyślność i za chwałę dzielnej armji rosyjskiej.»

Prezydent Rzeczypospolitej francuskiej spędził dzień 9 (22) maja w Petersburgu, dokąd z orszakiem swoim przybył z Carskiego-Siola o godz. 9 zrana. Prezydent miasta powitał prezydenta, poczem w wielkiej tacy srebrnej, złoczonej, podano mu chleb i sól. Prezydent przeszedł przed frontem warty honorowej i odjechał do soboru św. Piotra i Pawła. Ulice tonęły we flagach francuzkich i rosyjskich. Prezydent wszedł do soboru, oddał hołd zwłokom Cesarza Aleksandra III i złożył na trumnie miecz z rękojmnością z kości słoniowej i napisem łacińskim: «*Fœderis memor*», a na mieczu: «*A L'Empereur Alexandre III Emil Loubet, Président de la République Française, Mai 1902*». Gałazka oliwna roboty słynnego Lalique'a oplata miecz. Potem prezydent zwiedził domek Piotra Wielkiego i udał się na wyspę Wasiljewską dla zwiedzenia istniejącego tam przytulku francuzkiego. Tu obecny był na uroczystości założenia kamienia węgielnego pod budowę pawilonu na pomieszczenie ambulatorjum swego imienia. Na miejscu robót odprawiono nabożeństwo, przyczem JE. arcybiskup Kłopotowski wygłosił następującą przemowę francuzką:

„Zawielkim jest w świecie katolickim urok imienia Francji, aby wobec przybycia tego, któremu przypaść chlubny i zaszczytny obowiązek być jej przedstawicielem — Niemcem zostały usta pasterza owczarni katolickiej. Pozwoli pan, panie prezydencie, powinszować sobie przybycia, powitanego sympatją powszechną, która nie pozwała wątpić, iż związek dwóch wielkich narodów opiera się na przyjaźni serc. Francja w humanitarnym i cywilizacyjnym pochodzie drogą swoją znaczyła pomnikami. Te pomniki — to dzieła miłosierdzia i dobroczynności. Pozwoli pan, panie prezydencie, podziękować sobie za udział w uroczystości, która tak blisko dotyczy kolonji francuzkiej w Petersburgu. Położenie kamienia węgielnego pod fundamenty szpitala wieczni pośród nas pamięć imienia Francji. Oby Bóg wysłuchał modłów naszych i raczył stokrotnie wynagrodzić pana.“

Prezydent, wśród dźwięków marsyljanki i okrzyków ludu, odjechał z francuskiego przytulku do

gmachu ambasady francuzkiej, gdzie odbyło się śniadanie, które prezydent wydał dla ministrów rosyjskich, wyższych urzędników dworskich i innych osób. Następnie prezydent zwiedził Aleksandro-Newską ławrę. W soborze Troickim ławry spotkał go Antoni, metropolita petersburski i ladozki, w otoczeniu licznych duchowieństwa. Metropolita powitał prezydenta mową, w której między innymi rzekł:

„I oto na brzegach Newy, na które dziś zwrócone są oczy całego świata, prawosławny Cesarz rosyjski i głowa francuskiego narodu, w imię przyjaźni, podają sobie ręce, dla ochrony pokojowego rozwoju narodów rosyjskiego i francuskiego. Radośnie uderzają serca wszystkich Rosjan, spotykających na rodzinnej ziemi znakomitego gościa, przyjacielą pokój miłującego Cesarza rosyjskiego. My zaś, witając pana w murach klasztoru, cieszymy się podwójnie i wzywamy błogosławieństwa Bożego spokoju i świętej radości dla pana i całego sławnego narodu francuskiego. Oby Stwórca błogosławił przybyciu pana do nas.“

Mowę tę przełożył po francuzku towarzysz ober-prokuratora Synodu, Sabler. Przy zwiedzaniu mieszkania metropolity prezydent ofiarował mu artystyczny krzyż z wyobrażeniem Zbawiciela, zaś metropolita ofiarował prezydentowi obraz Matki Boskiej, mówiąc:

„Racz pan przyjąć święty obraz Matki Bożej, Opiekunki całego świata chrześcijańskiego. Niedgdyś Najświętsza Panna natchnęła do wielkich czynów patriotycznych Dziewicę Orleańską, która Francję ocaliła od wrogów. Oby zawsze Matka Boska opiekowała się narodami Rosji i Francji i oby natchnęła je do wielkich czynów. Ich uczucia patriotyczne godne są Jej świętej opieki — jest to ochrona pokoju od naruszeń przemocy.“

Opuściwszy Ławrę, prezydent złożył wizytę Wielkiemu Książętom i ambasadorom, zwiedził sobór św. Izaaka, przyjął różne deputacje w pałacu Zimowym i wieczorem odjechał do Carskiego-Siola.

W d. 9 (22) maja w Carskiem-Sioku na cześć gości francuzkich odbyło się widowisko galowe w teatrze chińskim, zbudowanym za czasów Katarzyny II. W loży zajęli miejsca w pierwszym rzędzie od prawej ku lewej stronie: prezydent francuzki, Najjaśniejsza Pani Marja Teodorówna, Najjaśniejsza Pani Aleksandra Teodorówna i Najjaśniejszy Pan. Dawano fantastyczny balet «Koniok-Gorbunok», oraz sceny z baletu Czajkowskiego «Łabędzie jezioro».

D. 10 (23) maja, w dzień wyjazdu, zjechał do Wielkiego carsko-sielskiego pałacu Jego Cesarska Wysokość Następca tronu i wraz z prezydentem Loubet'em udał się z tamtąd do Aleksandrowskiego pałacu, gdzie znajdowali się Ich Cesarskie Mości. Nastąpił wyjazd z Carskiego-Siola ku przystani w Nowym-Peterhofie przy dźwiękach marsyljanki i okrzykach «hurra!» Ich Cesarskie Mości wraz z prezydentem weszli na pokład jachtu «Aleksan-

dra» przy huku salutujących dział. Na pokładzie pancernika «Montcalm» odbyło się śniadanie pod namiotem wśród zieleni egzotycznej. Podczas uczty na toast prezydenta, dziękującego Ich Cesarskim Mościom za zaszczytną wizytę na «Montcalm'ie», stwierdzając uczucia narodów, Najjaśniejszy Pan odpowiedział:

«Nieskończenie radujemy się, Cesarzowa i Ja, znajdując się w środku dzielnych marynarzy francuzkich, i osobliwie jest to dla nas przyjemnością, że na tym pięknym okręcie czujemy się jakoby we Francji. Serdecznie dziękujemy panu, panie prezydencie, za wizytę i prosimy pana wziąć ze sobą wyrazy naszych gorących sympatji i najlepszych życzeń dla Francji — przyjaźnej, wiernej, niezmiennej aliantki Rosji. Wznoszę toast za pomyślność sławnej marynarki francuzkiej.»

Po śniadaniu, Ich Cesarskie Mości pożegnali prezydenta i odpłynęli z powrotem na jachcie «Aleksandra», a «Montcalm» z prezydentem i eskadrami francuzkami ruszyły o godz. 5 po południu na pełne morze.

Dzienniki paryżskie «Gaulois» i «Martin» omawiając toasty, wygłoszone podczas bytności prezydenta Loubeta w Rosji, zaznaczają, że Jego Cesarska Mość, nazywając Francję niezmienną («*invariable*») sojuszniczką Rosji, odrzucił na bok ton dyplomatyczny, przez co sam toast nabiera tem większej wagi w oczach dyplomatów. «Figaro» twierdzi, że rozmowy p. Delcassé z hr. Lamsdorffem ściślej określiły tożsamość poglądów obu tych mężów stanu, ustanowioną już wcześniej na konferencjach poprzednich. Ministrowie wyrazili wzajemne zadowolenie ze zgodnego ich sposobu działania w przeszłości oraz przyszli do przekonania, że właśnie podtrzymywanie takiej zgody i stosowanie jej we wszystkich wypadkach, da możliwość Francji i Rosji rozwiązać z własną korzyścią ukazujące się na horyzoncie politycznym sprawy. «Temps» uważa, że wyraz «niezmienna», użyty przez Jego Cesarską Mość w swym toaście, świadczy o zaufaniu, które francuzi zdołali sobie zdobyć, dzięki ich polityce z trzech lat ostatnich.

P. SKALKOWSKI O RZYMIE.

Znany literat rosyjski, stały współpracownik dziennika «Nowoje Wremia», p. Skalkowski, poświęca jeden ze swych listów wrażeniom z Włoch, a specjalnie z Rzymu. Wyjmujemy ztąd kilka ustępów:

„W Watykanie — pisze p. S. — nowość dla turystów stanowią prywatne pokoje papieża Aleksandra VI Bergii, świeżo odnowione z rozkazu Leona XIII... Papieża widzieć obecnie trudno, gdyż fizycznie podupadł, chociaż zachował zupełną świeżość umysłu, pomimo 92 lat wieku... Nasze stosunki z Papieżem nieco ochłodziły w ostatnich czasach, ale przedtem odznaczały się niezwykłą uprzejmością i serdecznością. Na jubileuszu zeszłorocznym Dwór nasz wystąpił z wspaniałymi podarkami. Stosunki te zależą nie tylko od spraw religijnych: im chłodniej zachowują się Francja i Rosja wobec trój-

przymierza, t. j. Włoch, tem bardziej, naturalnie przyjemne to jest Papieżowi. Stosunek z rządem włoskim nie uległ zmianie. Papież stanowczo nie przyjmuje 3 1/2 milj. lir., przeznaczonych mu przez rząd włoski na mocy statutu organicznego. Takie stanowisko, zdaniem p. Skalkowskiego, ma raczej zarówno polityczną jak i finansową, gdyż przyjęcie tej dotacji osłabiłoby niezależność Papieża, oraz mogłoby wpłynąć na zmniejszenie się świętopietrza. Nie należy jednak sądzić, że świętopietrze jest bardzo znaczne; w latach jubileuszowych dochody z tego źródła wynoszą 10—11 milionów lir., w latach zwykłych zaledwie 4—5 milj., z których przeważną część składa Francja. Wydatków koniecznych na Papieża bardzo dużo: musi utrzymać Watykan z jego 10 tysiącami sal, pałac laterański i zamek Gandolfo, katedrę św. Piotra i Pawła, a oprócz tego utrzymuje ogromny zarząd centralny Kościoła, nie tylko urzędników, ale i 25 kardynałów, zajmujących stanowiska przy dworze papieżkim. Pozycja kardynałów nie jest łatwa: przeważnie nie mają oni fortuny osobistej, a uposażenie każdego z nich wynosi zaledwie 21 tys. lir., z których kardynał musi opłacić mieszkanie, najmniej z 8 pokoi złożone i powóz. Kardynałowie - dostojnicy Watykanu tworzą w kurji zwartą „partję rzymską“, której interesy niemają grają rolę przy wyborach Papieża. Obecnie — według pogłosek, notowanych przez p. S. — szanse wyboru miałby sekretarz stanu, kardynał Rampolla, ale tradycja sprzeciwia się takiemu wyborowi. Ponieważ od 3 wieków utrwalit się zwyczaj wybierania tylko Włocha, więc prawdopodobnie następcą Leona XIII będzie który bądź z włoskich kardynałów prowincjonalnych.“

P. Skalkowski zaznacza szczegółów charakterystyczny dla umysłowego życia włoskiego: „Będąc w Rzymie dwa lata temu — pisze on — na wystawach księgarskich widziałem tylko Sienkiewicza, obecnie zarówno w sklepach, jak w kioskach można zobaczyć tylko tłumaczenia z Maksyma Gorkiego“.

ECHA ZACHODNIE.

WIEDŃ, w maju.

[Sytuacja. Sprawa posła Wilka. Obrady budżetowe. Broszura Schalka o Wollie].

△ W czwartek o północy prezydent parlamentu oznajmił, że drugie czytanie budżetu zostało zatwierdzone, a zdarzyło się to po raz pierwszy od lat pięciu. Czy jest to zasługa Koerbera, trudno orzec, wprawdzie bowiem udało mu się udobroczać Czechów, a następnie pozyskać rozsierzonych Niemców przyrzeczeniami, płatnemi po zatwierdzeniu budżetu, ale kto wie, czy Koerber byłby wybrnął cało z sytuacji, gdyby i inne okoliczności nie wpłynęły łagodząco. Trudność zawarcia ugody węgierskiej, oraz wyzywające stanowisko węgrows, niewątpliwie znacznie się przyczyniły do przyspieszenia narad nad budżetem. Parlament chciał udowodnić, że jest zdolny do pracy, że dla interesów ogólnopństwowych gotów odłożyć kwestje narodowościowe na później. Niedługo też pewnie sprawy te na widownię wystąpią, czekają bowiem tylko stosownej chwili, aby tem silniej, tem ostrzej na pierwszy plan się wysunąć.

Już teraz poseł Pacak zaznaczył, że cześci nie przeszkadzali zatwierdzeniu budżetu jedynie ze względu na przyrzeczenie, że rząd zajmie się potem szczerze

sprawą czeską. Obecnie skończył się termin zawieszenia broni, cześć też nie myślała przystąpić do obrad nad ugodą węgierską, dopóki rząd nie uczyni zadość ich żądaniom. Opozycję swoją rozpoczną silnym zwalczeniem podatku od biletów kolejowych.

W sprawie ugody p. Koerber wyjechał do Pesztu, a dzienniki wiedeńskie, które dotąd tak ostro występowały przeciw Węgrom, nagle zlagodniały. Jak się ta sprawa skończy, dopiero przyszłość pokaże.

Za nagłością wniosku Daszyńskiego w sprawie nowych armat głosował też członek Kola polskiego, poseł Wilk, wbrew chwale Kola. Wystąpienie to narobiło wiele wrzawy. Kolo musiało skarcie posła, który złamał solidarność, a poseł Wilk przyznał w swym oświadczeniu sam, że źle postąpił i że nie obliczył doniosłości swego kroku — i na tem cała historia się skończyła.

Przy etacie ministerstwa rolnictwa założono się na przykre położenie rolnictwa; poseł Potoczek wskazał na konieczność podniesienia poziomu moralnego włościan i wdrożenia akcji przeciw pijaństwu, a poseł Szeptycki, zbijając twierdzenia Niemców, że Galicja nie daje państwu dochodu, zaznaczył, że dochód państwowy z domen i lasów galicyjskich jest największy w Austrii.

Ostatnim etatem, przy którym się spodziewano wycieczek na pole walk narodowościowych, był etat ministerstwa sprawiedliwości. Z wyjątkiem jednak kilku silniejszych przemówień posłów czeskich i krótkotrwałej wrzawy z powodu zarzutu posła Dyka, że ministerstwo sprawiedliwości postępuje z narodem czeskim zbrodniczo, toczyły się obrady spokojnie i poważnie. Posłowie czescy występowali przeciw żądaniom niemieckim, aby w okręgach niemieckich w Czechach nie mianowano sędziów czeskich, dowodząc zupełnie słusznie, że wobec jednolitego prawa i jednej sprawiedliwości narodowość sędziego jest sprawą obojętną. Ostrzegając rząd przed upośledzeniem Czechów, oświadczyli, że dla zgody można ich tylko pozyskać na gruncie niepodzielności Czech i równouprawnienia. Poseł Jabłoński przemawiał za polepszeniem galicyjskich ksiąg gruntowych i za zniesieniem należytości za doręczanie wezwań. Należytości te są większe aniżeli opłaty za listy, a szczególnie obciążoną jest w tym względzie ludność wiejska w Galicji; istotnie w samej Galicji ściera rząd tytułem należytości za doręczanie wezwań 500 tys. kor., a więc kwotę ogromną w stosunku do ogólnej kwoty całego państwa, wynoszącej 811 tys. koron.

Zapowiedziana broszura posła wszech-niemieckiego Schalka, p. t.: «Dlaczego uznaliśmy p. K. H. Wolfa za człowieka niehonorowego», już się ukazała. Zebrali tu Schalk wszystkie sprawy Wolfa, aby go raz nazawsze napiętnować w opinii publicznej. Przedstawiwszy znaną już aferę miłosną, autor wykazuje, że Wolf gdzie tylko mógł, brał łapówki. Wszech-niemiecy, którzy do niedawna jeszcze wynosili pod niebiosa charakter Wolfa, dziś napadają na dawnego swego przywódcę; niewątpliwie jednak i dawniej doskonale wiedzieli o brzydkich jego sprawkach, co im nie przeszkadzało być z nim w najlepszej komitywie:

«wart Pać pałaca, a pałac—Paca». Sam Schoenerer ścisłał się z nim, a teraz mówi, że Wolf był już lajdakiem, zanim go uznano za pozbawionego honoru. W odpowiedzi na broszurę napada obecnie Wolf w swym dzienniku codziennie na Schalka i jego sprzymierzeńców. Klub wszech-niemiecki oświadczył, że z broszurą Schalka zupełnie się zgadza i że, wobec odrzucenia sądu honorowego, inne załatwienie sprawy, jak w drodze sądowej, jest niemożliwe, gdyż wszech-niemiecy nie mogą pozwolić na to, aby im nadal przeszkadzał w pracy narodowej polityk, szkodliwy dla sprawy narodowej. W ostatniej chwili Wolf — jak wiadomo — cofnął się przed rozprawą sądową, obiecując na zarzuty Schalka dać odpowiedź w osobnej broszurze.

Novus.

LWÓW, 18 maja.

[Wybór posła ze Lwowa do Rady państwa i znaczenie polityczne tego wyboru].

△ Lwów stoczył arcy zajmującą batalję wyborczą o mandat jednego posła do Rady państwa po Tadeuszu Romanowiczu, który, wybrany po raz drugi członkiem wydziału krajowego, zrezygnował z wielkiej polityki wiedeńskiej. W szranki wyborcze wysunęto trzy nazwiska: obóz demokratyczny postawił kandydaturę Tadeusza Rutowskiego, stronnictwo ludowe Jana Stapińskiego, wreszcie pewne grono demokratycznie usposobionego mieszczaństwa nakłoniło do kandydowania profesora uniwersytetu, dr. Stanisława Głabińskiego. Rutowski wraz wycofał się, a raczej oświadczył, że o mandat ubiegać się nie chce, skoro nie został postawiony solidarnie przez cały zastęp stronnictwa demokratycznego w stolicy. Po tej rezygnacji, na placu zostali tylko dwaj przeciwnicy: ludowiec i demokrat, i ci stoczyli z sobą bój ostateczny. Rzecz charakterystyczna: udział wyborców w głosowaniu był tak słaby, że zaledwie co drugi jawił się przy urnie, co uczyniło ogółem 5,034 głosów. Z tego 2,280 otrzymał ludowiec, a 2,722 — demokrat prof. Głabiński, i ten wybrany został posłem miasta Lwowa. Wybór uważać należy za szczęśliwy. Prof. Głabiński jest człowiekiem młodym, zdolnym, uchodzi za bardzo niezależnego, a jako ekonomista, ma dobre przygotowanie polityczne. Kolo polskie, do którego wstąpił, zyska w nim tęą siłę. Ale na tem się znaczenie ostatniego wyboru nie zakończy. Dziwny ten wybór ma to do siebie, że właściwe piętno charakterystyczne dał mu *kandydat, którego nie wybrano*. W świetle wyniku ostatniego głosowania wykryte zostały dwie rzeczy:

1) Silny wzrost wpływu stronnictwa ludowego, względnie prądu radykalnego w ogólności — w miastach. Dotychczas czynni byli ludowcy tylko na wsi, gdzie mieli w ciągu lat dwunastu swoje dobre i złe chwile. Wzmógłszy się bardzo szybko, wydarli oni znaczną część wpływu wszechpotężnej do niedawna partii Stojalowskiego. Zdobyli kilka powiatów i wysłali, jak na początek, wcale imponującą liczbę posłów do sejmiku i do Wiednia. Wybory ostatnie — w r. 1901 — były mniej szczęśliwe. Mandaty ludowców przerzedziły się, między innymi zaś przepadł w dąbrowskim powiecie Jakób Bojko, chłop dzielny, prawy i pożytecz-

ny, cieszący się sympatją we wszystkich obozach. Utracenie jego przyjęto powszechnie, jako krok fałszywy, a miasto Lwów, pragnąc to naprawić, powierzyło, jak wiadomo, Bojce jeden ze swoich mandatów sejmowych. Następstwa tego wyboru nie dały na siebie długo czekać. Stronnictwo ludowe, którego blask przyciemniał poczęła trochę na wsi, zorientowało się prędko w sytuacji i postanowiło rozszerzyć swoją robotę agitacyjną także na miasta. A ponieważ Lwów okazał się raz już terenem podatnym — zaczęto od Lwowa. Uzupełniono program, dodano do dawniejszych postulatów, czysto chłopskich, postulaty miejskie, zorganizowano na poczekaniu grupę «mieszczan-ludowców», pozbieranych z radykalnej inteligencji i drobnego mieszczaństwa lwowskiego, i przy pomocy tej próbnej organizacji odważono się na eksperyment: oficjalnego zgłoszenia kandydatury ludowca z miasta Lwowa. Wynik wiadomy. P. Stapiński nie otrzymał wprawdzie mandatu, ale na 5,034 wyborców — 2,280 oddało mu swoje głosy. Jest to bardzo dużo — więcej niż mógł ktokolwiek przypuszczać. Więc stronnictwo ludowe w Galicji, mające za sobą zaledwie 12 lat pracy publicznej wyłącznie wśród ludu wiejskiego, a sięgające z niezwykłą odwagą i pewnością siebie po stanowisko polityczne, rezerwowane dotąd wyłącznie dla demokracji, jako jedynej przedstawicielki miast galicyjskich, znalazło we Lwowie niespodziewanie grunt bardzo silny. To jedna niespodzianka.

2) Upadek wpływu demokracji. Zdało się, że skoro kandydat tak poważny, jak Rutowski, nie chce rozbić głosów demokratycznych, wyrzekł się mandatu, to zwycięstwo demokracji będzie zupełne. Tymczasem prof. Głabiński, wsparty solidarnymi głosami całego obozu, pokonał przeciwnika większością, która równa się moralnej przegranej, jeżeli się uwzględni, że ten przeciwnik, a raczej forsujące go stronnictwo, nie ma żadnej przeszłości politycznej w historii miast galicyjskich, jest siłą świeżą, niezorganizowaną, bez tradycji i bez wyrobionych stosunków. Niespodzianka ta stanie się niewątpliwie podniętą do jeneralnego rachunku sumienia demokratycznego, do rewizji programu i obmyślenia środków utrzymania słabnącego wpływu. Stronnictwo, które reprezentuje u nas spadek polityczny Smolki, Ziemiakowskiego i Zyblikiewicza, nie może tak łatwo kwitować ze swojej roli przewodniej w miastach, a znajdzie niewątpliwie dość silnych żywotnych, aby rolę tę utrzymać nadal.

Pierwszym wiodącym do tego krokiem ma być ponowne połączenie się obu rozbitych chwilowo frakcyj demokratycznych w solidarny obóz. Narady pojedyncze odbywają się właśnie w tej chwili.

Sz.

SZLĄZK GÓRNY, w maju.

[Walka o język polski. Stanowisko kardynała Koppa względem Polaków. W oczekiwaniu wyborów].

△ Rozwiązanie wieca, u nas w Rybniku, jedynie z tej przyczyny, że chciano mówić na nim po polsku, jest faktem wielce doniosłym, gdyż mimo woli zacieśniono przez to mocniej jeszcze węzeł, łączący nasz Szlązek z resz-

łą dzielnic polskich pod panowaniem pruskim; a nadto wyraźne to bezprawie, znajdujące się w ostrej sprzeczności z wyrokiem najwyższego sądu administracyjnego z d. 5 października 1897 roku, spadło na powiat, w którym, podług niemieckich źródeł urzędowych, na tysiąc mieszkańców przypada 843,6 mólaków; wreszcie nie uwzględniono, że zebranie chrześcijańskich robotników absolutnie nie ma nic wspólnego z polityką, gdyż posiada wyłącznie charakter ekonomiczny. Celem tego związku jest, jak opiewają statuty, wspieranie członków przez udzielanie im rad, przez redagowanie piśmiennych podań robotników do chlebodawców, przez wykłady, oświecające robotników co do przysługujących im praw, przez redagowanie petycji do władz i do ciał prawodawczych, przez udzielanie wsparcia rodzinom zmarłych członków. Poseł Porsch, odczytawszy te statuty w sejmie, wyraźnie zaznaczył, że gdyby w tym związku, podobnie jak w związkach rolniczych, zakazano języka polskiego, depreczając prawa polityczne, przez konstytucję zagwarantowane, stłumionoby praktycznie wszelką działalność kół robotniczych, podkopano by i unicestwiono rozwój ekonomiczny ludności, nad którą rząd obowiązany jest przeciwze rozcigać opiekę. Pewien ksiądz, gorliwie pracujący nad podniesieniem dobrobytu swoich parafjan, założył kilka kas oszczędności; obrót w nich dochodził do miliona marek. Rzecz prosta, iż, mając do czynienia jedynie z polakami, posługiwał się w czynnościach swoich z konieczności językiem polskim. Landrat powiatu oświadczył mu, że jeżeli nie zaniecha używania w sprawach kasy języka polskiego, utraci prawo do otrzymania probostwa. Gdy człowiek tego zakroju, co Porsch, którego podejrzewać o sympatję polskie niepodobna, z dowodami w rękę publicznie na sejmie takie fakty przytacza, mniemaćby można, że to bez wrażeń w sferach rządowych przejść nie powinno. Ale gdzie tylko chodzi o kwestję polską, tam ustaje wzgląd na najprostsze obowiązki, nawet na logikę i zdrowy rozsądek. Sprawa rybnicka dowodzi jaskrawo, że nie chodzi o «odpieranie rzekomo niensprawiedliwionych politycznych aspiracji polskich», lecz wprost o zgniecenie języka polskiego we wszelkich objawach życia społecznego. Jeżeli minister Hammerstein, konstatując, że zebranie zostało rozwiązane bezprawnie, usprawiedliwił jednak policję, że pragnęła ułatwić niemcom udział w zebraniach, niemożliwy przy używaniu polszczyzny, to trudno w tych sofistycznych wywodach dojrzeć istotne odparcie podobnych bezprawii. W Rybnickim, gdzie, jak rzekliśmy, na tysiąc mieszkańców przypada 843,6 mólaków jedynie po polsku, chyba wzgląd na garstkę Niemców nie może sięgać aż do zakazywania języka polskiego na zebraniach! Ale prof. Zorn w swej sławetnej, na obstalunek napisanej broszurze wykazał «prawo» zakazywania języka polskiego na zebraniach; on tedy jest bohaterem dnia, powagą, na którą powołują się ministrowie i zwykli pisarze — hakatyści.

W Izbie panów ks. Bismark oddał niedźwiedzią usługę naszemu kardynałowi Koppowi. Powiedział on (wedle stenogram ramów) dosłownie: «Członkowie wy-

sokiej Izby, pochodzący ze Szlązka, wiedzą, jakie tam panują stosunki, ile sobie zadaje mozołu nasz szanowny kolega, ksiądz kardynał Kopp, aby wysoko trzymać sztandar niemieczyny. Utrzyma go on na Szlązku, wbrew wszelkim wrogim usiłowaniom». Z głębokiego przekonania wziąć musimy w obronę naszego biskupa. Kardynał Kopp wiele sobie z pewnością zadaje mozołu, lecz tylko ku temu, żeby sztandar katolicyzmu utrzymać przeciw wrogim usiłowaniom hakatystów, którzy, nie powołani, nawet do spraw kościoła katolickiego coraz częściej się mieszają. Uznał on wielką doniosłość języka ojczystego na Szlązku w duszpasterstwie. To też w licznych jego objawach towarzyszy mu tu zawsze czcigodny ks. Długolecki, nowomianowany profesor seminarjum w Weidenau (na Szlązku austriackim), który z najściślejszą dokładnością każde przemówienie kardynała na język polski tłómaczy. W seminarjum wrocławskim, na skutek troskliwości kardynała, nauka języka polskiego obowiązująca jest dla wszystkich, pochodzących ze Szlązka kleryków. Niedawno dwóm klerykom, którzy egzaminu z tego języka nie zdali, odroczył kardynał przyjęcie do alumnatu. Potwarzą więc jest, że kardynał za główne swe zadanie uważa utrzymanie sztandaru niemieczyny. Jako ksiądz kościoła katolickiego, ma nade wszystko wzgląd na utrzymanie wiary, i wie, że w tej mierze nie języka rodzinnego nie zastąpi. Od hakatyizmu stoi on niezmiernie daleko, pozostawiając go fanatykom i karyerzystom. Nietakt proboszcza, który niedawno obrusa, na ołtarz ofiarowanego, nie przyjął, ponieważ był na nim wyszty napis polski: «Matko, nie opuszczaj nas», był niemądrym wybraniem osobistego szowinizmu owego proboszcza, za co zarząd djecezzji odpowiadać nie może.

Z uwagi na zbliżające się wybory, przytaczam dane, które ilustrują ważną sprawę przyszłej walki wyborczej. Otóż głosy polskie *wyłącznie* rozstrzygają w obwodzie: 1) bytomsko-tarnogórskim, 2) katowicko-zabrzkim, 3) pszczyńsko-rybnickim, 4) gliwicko-lublinieckim, 5) kozielsko-strzeleckim, 6) opolskim, 7) prudnickim, 8) raciborskim. W okręgach tych wybrani są posłowie centrowi, a mianowicie, według powyższego porządku okręgów: 1) dr. Stephan (na przyszość odmówił przyjęcia mandatu), 2) Letocha (również już nie kandyduje), 3) Faltin, 4) hr. Ballestrem, 5) ks. Głowacki, 6) major Szmula, 7) Strzoda, 8) ks. Frank. Okręg olesko-kluczborski ma ludność przeważnie polską, ale wśród niej dość znaczna mniejszość jest ewangelicką. Na mocy dawnych układów wybierają tam centrowcy z ludem polskim konserwatystę (księcia Hohenlohe ze Sławęcic), a zato dostają od konserwatystów jeden z trzech mandatów do sejmiku.

Przy wyborach do sejmiku pruskiego wybierają powiaty z polską ludnością: 1) Bytom, Tarnowskie-Góry, Katowice, Zabrze — dwóch posłów (Letocha i Ballestrem); 2) Pszczyna, Rybnik — trzech (Faltin, Gornig, dr. Moritz, morawianin); 3) Racibórz — dwóch (ks. Stanke i gospodarz Galda); 4) Gliwice, Toszek — jednego (dr. Heisig); 5) Strzelce, Lubliniec — dwóch (ks. Głowacki i br. Strachwitz);

6) Koźle, Głubczyce — trzech (Bolik, Klose, niemiec, sędzia Gorke, morawianin); 7) Prudnik, Niemodlin — dwóch (Strzoda i chłop niemiecki); 8) Opole — dwóch (Szmula i Nadbył); 9) Kluczborek, Olesno — trzech (advokat Mücke, centrowiec, i dwóch konserwatystów). Razem centrowych posłów 18; odliczywszy na Głubczyce i Niemodlin, jako niemieckie, 2 lub 3, pozostaje 16 lub 17 posłów, gdzie ludność polska decydująca gra rolę.

Socjalna demokracja miała przy ostatnich wyborach najwięcej głosów w Katowicko-Zabrzkim, przeszło 11 tys., podczas gdy Letocha miał 19 tys. głosów. Skuteczną walkę przeciw socjalizmowi prowadzą obok duchowieństwa pisma polskie; ich to zasługa, że socjalizm głębszych korzeni między ludem polskim nie zapuścił, ale owe 11 tys. głosów w Katowicko-Zabrzkim dowodzą, że niebezpieczeństwo istnieje, i lekceważenie tego zjawiska byłoby grzeszną lekkomyślnością, która groźne mogłaby wywołać następstwa.

Szlązak.

△ Lwów. W „Gazecie Narodowej“ została zamieszczona następująca notatka: «Z naszego artykułu o potrzebie pracy nad wypełnieniem tu, w Galicji, z duszy polskiej pojęć i właściwości germańskich, zamieszczonego w N-rze 94, wyciąga „Kraj“ wniosek, jakobyśmy podnieśli „kulturalne hasło: precz z Wiedniem, cokolwiek bądź hasło nowe i dotąd niesłyszane“. Przeciw wyciągnięciu takiego wniosku zastrzedz się musimy. Wspominając w naszym artykule o Wiedniu, pisaliśmy o nim wyraźnie, jako o tym drucie, za pośrednictwem którego zalewają nas germańskie idee, hasła, prądy i jakby galwanoplastykują naszą duszę, która u nas, nie mając bezpośredniego powodu do walki z germanizmem, stała się na jego wpływy mniej oporną i otwierała przed nim swoje wnętrza. Nie można więc wnioskować ztąd, że podnieśliśmy hasło: precz z Wiedniem. Takie hasło musiałoby dziś nabrać znaczenia politycznego, a z pewnością niechy nie było obecnie mniej na czasie i bardziej niewłaściwe, jak ono».

△ Berlin. Członkowie Związku pangermańskiego wystąpił z Eisenach do kanclerza Bülowa depeusz z podziękowaniem za złożony Sejmowi pruskiemu projekt ustawy, mającej na celu wzmożenie germanizacji w Poznańskim. — Dr. Kügler, prezes najwyższego sądu administracyjnego, zmarł nagle d. 24 b. m. w Berlinie. Dr. Kügler był jednym z najdawniejszych i najawższych działaczy antypolskich. Świeżo mianowany prezesem sądu administracyjnego, miał spowodować zniesienie wyroku tegoż sądu, mocą którego język polski przyznany był publicznym zebraniom polskim.

△ Poznań. Sejm W. Ks. Poznańskiego zwołany został na d. 15 czerwca. Król mianował naczelnego prezesa dr. Bittera komisarzem, barona Wilamowitza marszałkiem a właściciela dóbr, hr. Żółtowskiego z Nekli — wice-marszałkiem.

△ Cesarz odrzucił prośby o ulaskawienie, wniesione przez skazanych w procesie wrzesińskim. Co do jednej tylko Piaseckiej, skazanej, jak wiadomo, na dwa i pół lata więzienia, nie nastąpiła dotychczas stanowcza decyzja.

△ Dr. Kaz. Rakowski, odstawiający dwuletnią karę w więzieniu we Wronkach, za artykuły w „Pracy“, podał, jak głosi pismo, do cesarza Wilhelma prośbę o ulaskawienie, ze względu na nadwątlone zdrowie.

△ Saksonja. W Dreźnie utworzono komitet w celu zorganizowania „Związku niemieckiego południowo-wschodniej marchii“, mającego za zadanie ochraniać Niemoy od rzekomego zalewu przez Słowian, to jest Czechów i Polaków.

△ **Lublana.** Prywatna depesza w „Now. Wrem.“ donosząca o uroczystym zamknięciu zjazdu dziennikarzy słowiańskich, zegnanych serdecznie przez ludność miejscową, kończy się uwagą: „Słowiańska wzajemność ani razu nie została zamąconą. Między innymi polacy entuzjastycznie podkreślali konieczność połączenia się z innymi słowianami i nader przyjaźnie traktowali swoich ruskich towarzyszy“.

△ **Stany Zjednoczone.** W Milwaukee podczas ostatnich wyborów, pomimo agitacji niemieców, zostało wybranych 5 polskich „aldermanów“ i 3 polskich „superwizorów“. Przedtem mieli 3 aldermanów i 2 superwizorów, widocznie więc polityczny wpływ polaków wzniósł się w Milwaukee. Polacy tamtejsi grupują się głównie około demokratycznego „Kurjera Polskiego“, redagowanego przez M. Kruszkę, senatora stanu Wisconsin.

Z MIAST I WSI.

WILNO, 12 maja.

[Plac dla gier na wolnym powietrzu. Towarzystwo opieki nad dziećmi. Kolonie letnie dla gimnazjalistów. Eksploatacja dóbr ziemskich, do Wilna należącej. Podatek od koni. „Szabasowanie“ w niektórych instytucjach tutejszych. Ciężka wiosna].

□ Już od dwóch lat przeszło okręg naukowy i Towarzystwo opieki nad dziećmi szukają miejsca dla gier dziecięcych na wolnym powietrzu. Przypomina to nieco człowieka, szukającego na wszystkie strony okularów, spoczywających na nosie. Tak też i tutaj, po wielu próżnych usiłowaniach, ostatecznie uznano, że odpowiedniego placu w całym Wilnie niema, a tymczasem między górą Trzykrzyżką a Stołową ciągnie się szeroki na 10 a długi na 200 sążni parowóz, z wylotem na Wilenki i rozciągający się za nią gaj po-bernardyński. Jest to przestrzeń równa, zadarniona i tak obszerna, że kilkuset chłopców może się bawić swobodnie, nie przyczyniając nikomu przykrości. Mostek, rzucany przez koryto Wilenki, skróciłby znacznie drogę do tej miejscowości, której właścicielka, kapituła katedralna, zapewne chętnie udzieliłaby pozwolenia na użytkowanie tego miejsca przez młodzież.

Wzmiankowane Towarzystwo opieki nad dziećmi na ostatnim posiedzeniu d. 21 kwietnia rozpatrywało, między innymi, następujące sprawy: o przytulku dla dzieci opuszczonych, o patronacie, powołanym do czuwania nad uczniami i uczennicami rzemieślniczymi, o biurze, udzielającym wiadomości o dzieciach potrzebujących opieki i o położeniu ich rodzin, o potrzebie urzędzenia w Wilnie szpitala dziecinnego i założenia letnich kolonii dla dzieci chorowitych. Sprawa szpitala dla dzieci zajęła się rada miasta dla upamiętnienia 25-lecia samorządu miejskiego i spodziewać się należy, że myśl ta niebawem zostanie urzeczywistniona. Na przytułek dla dzieci opuszczonych magistrat wyznaczał lokal z ogródkiem w murach kościoła po-franciszkańskiego; przytułek bezwzględnie wywrze wpływ na zmniejszenie się liczby pensjonarzy w kolonjach dla małoletnich przestępców. Letnie kolonie wchodzi w modę tak dalece, że pierwsze gimnazjum urządza na czas wakacyjny wilegiaturę dla swych uczniów w Podbrodziu, za opłatą 15 rb. miesięcznie. Podobno pozostało bardzo niewiele miejsc

nie zajętych w tej uczniowskiej willi, przeznaczonej, jak się zdaje, dla stałych mieszkańców miasta. O ile dla fizycznego rozwoju uczniów może to wyjść na korzyść, o tyle z drugiej strony niepożądane jest takie odłączenie dzieci od rodziny na dwa miesiące wakacyjne, w których działają jedynie ma możliwość do częstszego obcowania z rodzicami.

Do dóbr ziemskich magistratu wileńskiego należą, między innymi, dwa majątki: Leoniszki i Kuprjaniszki, dotykające granic samego miasta. Część tych gruntów, rozdzielona na drobne cząstki, oddana była w dzierżawę krótkoterminową osobom nieokreślonego stanu; nie są to wieśniacy, uprawiający rolę, ani mieszczanie, zatrudnieni jakimś fachem, lecz po większej części ludzie, żyjący z dnia na dzień, przepijający wieczorem to, co w dzień uda im się filuterją zdobyć w mieście. Ich chałupy, to jakieś straszne, pełne brudu rudery. Magistrat obecnie ma na myśli zwiększenie dochodu z tych gruntów, na których mieszkają też i żydzi, wbrew prawu. Specjalna komisja uznaje za najlepsze ustanowienie długoterminnych dzierżaw, co może zachęcać dzierżawców do starannejszej uprawy gruntu i do większej dbałości o budynek. Opinia wszakże powszechna skłania się ku temu, aby najprędzej rozprzedać ziemię dzisiejszym dzierżawcom i zebrać kapitał, któryby dawał miastu procent. To wszakże wymaga wcielenia gruntów do miasta, aby polacy i żydzi mieli prawo je nabywać; tymczasem na samą myśl rozszerzenia granic miejskich, konserwatyści nasi drętwieją z przerażenia wobec przypuszczenia, że trzeba będzie robić nakłady na powiększenie policji, na oświetlenie i t. p. W takim kole błędem kręcić się wypadnie długo, póki rada miasta nie zdobędzie się na śmielszą gospodarkę. Dzisiejszy sposób prowadzenia jej była nietylko nieśmiały, lecz czasami nawet dotkliwy dla stron interesowanych. Przy wprowadzeniu poboru od koni, rada miejska ustanowiła opłatę roczną od sztuki w kwocie 10 rb., bez względu na wartość konia i stan majątkowy jego właściciela. Oczywiście szkapki liche, a żywiące nieraz swą pracą liczną rodzinę swego posiadacza, winny być niżej opodatkowane, aniżeli rumaki wyścigowe, stanowiące przedmiot zbytku.

W jednym z ostatnich Nr-ów „Roli“ zaznaczono ironicznie, że w Wilnie Bank ziemski i rada miejska w soboty „szabasują“, dla miłości żydów. Nietylko te dwie instytucje, ale i filja Banku państwowego, oraz filje banków: Tulsko-petersburskiego i Orłowskiego handlowego, zamykają w soboty wydziały kasowe, zwłaszcza w lecie, dla uregulowania kasy i rachunków tygodniowych, oraz dla dania wypoczynku pracownikom. Nie jest to więc w żadnym związku z żydami i szabasem.

Ciągle zimna i deszcze trzymają rolników w przymusowym bezrobociu: w miejscowościach niskich pola stoją pod wodą i do siewów przystąpić niepodobna.

A. R. Z.

□ **Z Grodna.** W tych dniach b. gubernator tutejszy, ks. Urusow, opuścił Grodno, przenosząc się na nowe stanowisko do Połtawy. Odjeżdżającego, między innymi, żegnała deputacja żydów grodzieńskich z rabinem na czele, która doręczyła księciu biblię

hebrajską z tłumaczeniem rosyjskim i adres w języku rosyjskim i hebrajskim.

□ **Z Mińska.** Czytamy w „Wil. Wiest.“: „Przed miesiacem ministerstwo komunikacji wysłało do Mińska komisję, celem zbadania położenia służby wydziału gospodarczego na kolei Libawo-Romeńskiej. Wynikiem zajęć tej komisji było rozporządzenie ministra komunikacji, polecające oddać całą sprawę prokuratorom, przyczem śledztwo powierzone sędziemu śledczemu do spraw ważniejszych, Kotykowski. Były naczelnik wydziału gospodarczego, inż. Wlezkow, już nim nie jest, a naczelnik drogi, rz. r. st. Łaskin, zdał swe obowiązki inż. Michajłowowi i wyjechał za urlopem zagranicę.“

WITEBSK, w maju.

[Doroczne zebranie członków kredytu wzajemnego i Tow. rolniczego].

□ **D. 28 kwietnia** odbyło się w Witebsku doroczne zebranie członków Towarzystwa kredytu wzajemnego obywateli ziemskich gub. witebskiej. Na posiedzeniu odczytano sprawozdanie z działalności Towarzystwa za rok ubiegły. Towarzystwo miało członków 642. Kapitał gwarancyjny wynosił 1,205 tys. rb., obrotowy—około 134 tys. rb., zapasowy—17 tys. rb. Wydano w ubiegłym roku pożyczek na sumę 1,847 tys. rb., pozostało pożyczek na 1 styczeń 1902 r. 910 tys. rb., od których płacono 7 $\frac{1}{2}$ proc. Wydatki wynosiły 22 tys. rb., czystego zysku otrzymano 14 tys. rb. Dywidendę wyznaczono w wysokości 4 proc. W końcu zebrania odbyły się wybory prezesa zarządu, 2 członków rady i 3 członków komisji rewizyjnej. Na prezesa wybrano prawie jednogłośnie p. Hugona Obrapalskiego, na członków rady: Stanisława Łopacińskiego i d-ra Ungra. Do komisji rewizyjnej weszli pp.: Samujło, Kłodnicki i dr. Smigielski. Postanowiono utworzyć kasę emerytalną dla osób, pracujących w Towarzystwie.

D. 29 kwietnia odbyło się zebranie doroczne członków Tow. rolniczego. Na posiedzeniu odczytano nadesłane od opiekuna Towarzystwa, Wielkiego Księcia Włodzimierza, od ministra rolnictwa, od gubernatora wileńskiego von Wahla, od gubernatora witebskiego—odpowiedzi na wysłane przez Towarzystwo telegramy z powodu jego 25-lecia. Zatwierdzono kosztorys wydatków na r. 1902. Z odczytanego na zebraniu sprawozdania za rok ubiegły dowiedzieliśmy się, że na kursa mleczarskie, urządzone przy Towarzystwie, uczęszczało 12 uczennic, które pod kierunkiem instruktora mleczarstwa Szachnazarowa przechodziły kurs teoretyczny i praktyczny: jak obchodzić się z mlekiem i jak przygotowywać masło. P. Szachnazarow odczytał referat o konieczności uregulowania handlu mlekiem i masłem w miastach i wypracował szczegółowe rozporządzenia, które powinny być wydane przez zarządy miejskie dla uporządkowania handlu temi produktami. Postanowiono utworzyć przy Towarzystwie sekcję popierania hodowli bydła i w tym celu wybrano komisję dla wypracowania ustawy. Tow. Zwrócono się też z prośbą do ministra rolnictwa o mianowanie instruktora ogrodnictwa przy Towarzystwie. Wyasygnowano z sum Tow. 1,500 rb. na na. prawę budynków we własnej fermie Lużosno i 300 rb. na urządzenie Ogrodu owocowego na ojeże fermie. P. Kibort zwrócił uwagę zebrania na konieczność zmiany istniejącej obecnie taryfy leśnej,

ustanowionej przy sprawach o nadużyciach leśnych. Taryfa ta w porównaniu do obecnych cen na materiały leśne jest stanowczo za niską. Kwestję przekazano zarządowi do rozpatrzenia i opracowania. W końcu przystąpiono do wyboru wice-prezesa, jednego członka zarządu i komisji rewizyjnej. Na wice-prezesa powołany został jednogłośnie p. Rykk, na członka zarządu wybrano p. Bolesława Mohuczego. Do komisji rewizyjnej: Górskiego, Zaćwilichowskiego i Grzymajłowski.

A. B.

KIJÓW, 4 maja.

[Pierwsza szkoła rolnicza na Podolu. Jej fundusze. Rosnowa z sekretarzem Towarzystwa podolskiego. Bilans działalności tego Towarzystwa].

□ W tych dniach Towarzystwo rolnicze na Podolu obchodzi uroczystość otwarcia szkoły rolnictwa i ogrodnictwa w Humiennej. Rozesłano wiele zaproszeń, a gubernator podolski i zarządzający dobrami państwa w guberni kijowskiej i podolskiej, rz. r. st. Czujkiewicz przyrzekli swoją obecność. Miał także przybyć generał-gubernator kijowski. Członkowie Towarzystwa rolniczego stawia się niezawodnie w znacznej liczbie. Ze wszystkich trzech guberni południowo-zachodnich Podole jest najbardziej upośledzone pod względem zakładów naukowych rolniczych, dotąd bowiem nie posiada żadnego. Zadaniem szkoły w Humiennej będzie: przygotowywać odpowiednio wykształconych niższych oficerów rolnych, oraz osadników, umiających prowadzić gospodarstwo na niewielkich kawałkach gruntu. Kurs w szkole trwać będzie trzy lata; w zimie uczniowie będą zajmowali się teorią, w lecie praktyką pod kierunkiem dwóch nauczycieli, gdyż tyłu tylko będzie miała szkoła, nie licząc nauczyciela religij. Szkoła zawdzięcza swoje istnienie inicjatywie prywatnej: p. Wołodkowiec dał 5 tys. rb., baron Maas 1,500 rb. W internacie, urządzonym przy szkole, znajdzie pomieszczenie narazie 15 uczni z placą po 60 rb. rocznie. Uczniowie przychodni nie płacić nie będą. Ministerstwo rolnictwa udziela subsydjum na utrzymanie szkoły w sumie 1,500 rb. rocznie, nadto szkoła ma przyrządzone subsydjum z funduszy ziemskich 3 tys. rb. jednorazowo i po 1,500 rb. rocznie. Z ramienia Towarzystwa podolskiego wybrana została rada, która kierować ma szkołą. Do rady weszli: prezes Towarzystwa, hr. Heyden, jako kurator, i członkowie Towarzystwa, pp. Męciński i Hołubow, jako jego pomocnicy.

Szczegółów powyższych udzielił mi p. Feliks Lubański, sekretarz podolskiego Towarzystwa rolniczego. Oświadczyłem mu:

— Wasze Towarzystwo jest stanowczo pieszczochem prasy. Nie znam u nas instytucji, której chwala rozchodziłaby się w dziennikach tak szeroko. «Energiczne Towarzystwo», «dzielni członkowie»—to jeszcze najsłabsze z tych complementów prasowych. A czy wasza trzyletnia działalność istotnie jest godna takich pochwał?

— Urządzamy przecież co roku wystawy w Winnicy—odparł p. Lubański.

— Wiem, ale podobno wystawy wasze upadają. Właściciel jednego ze składów win w naszym mieście mówił, że za lat poprzednich wypijano po kilka-

naście tysięcy butelek wina podczas wystawy, a w zeszłym roku kilka zaledwie. Ponieważ kuratorja trzeźwości nie wzięły dotąd ziemian pod swe opiekunice skrzydła, więc uważam zmniejszenie konsumpcji wina za symptom groźny.

«Energiczny» sekretarz uśmiechnął się i wyjął z teki wykaz porównawczy: pierwsza wystawa, urządzona w maju roku 1899, dała zysku czystego 330 rb., druga wystawa w tymże roku 630 rb., wystawa w roku 1900—3 tys. rb. i wystawa w roku 1901—1,400 rb...

— Cóż znaczy ta cyfra ostatnia? Czy to nie cofanie się?—zawolałem.

— Wcale nie. Wystawa udała się świetnie, tylko koszt była większe; wydaliśmy więcej na budynki. Co do ogólnej działalności Towarzystwa, to oto parę danych. Na posiedzeniu naszym p. Prochowski odczytał referat, wykazując, że na Podolu istnieje znaczny popyt na sadzonki. Obywatele rozumieją doskonale potrzebę sadzenia lasów, ale szkółek leśnych niema wcale i młode drzewka trzeba sprowadzać z daleka. Obrady nad tem w Towarzystwie miały ten skutek, że właścicielka ziemska z pod Winnicy, p. Pirogow (wdowa po znakomitym chirurgu), ofiarowała Towarzystwu 33 dziesięciny gruntu o trzy wiorsty od miasta, i tam będzie urządzona szkółka leśna. Dalej: urządzamy w tym roku próby kombinowanych doświadczeń zbiorowych z nawozami sztucznymi, odmianami pszenicy i t. d. Opracowaliśmy wreszcie memoriał w sprawie serwitutów, który wydrukowaliśmy i przesłaliśmy ministerstwu rolnictwa.

Tak więc młode Towarzystwo krząta się i zabiega, jak może i jak je stać.

Sam.

□ **Z Odessy** piszą do nas: Tutejsze katolickie Tow. dobr., za przykładem petersburskiego, wprowadziło od r. 1897 zbieranie ofiar pieniężnych w miastach i wsiach. Nowe to źródło dochodu zwiększa się corocznie i przynosi zaczęło kasie Tow. dość pokaźną sumę. Wobec tego niektórzy członkowie Tow. wyrazili życzenie, aby zbierane tą drogą składki, zwłaszcza wielkanocne, przeznaczano na kupno święconego dla ubogich. Zarząd Tow. dobroczynności, przychylając się do tego, wprowadził ten zwyczaj od roku 1899. To też obecnie przed Wielkanocą rozdaje się święcone uboższym parafianom, zwłaszcza ludziom, obarczonym rodziną. W tym roku święcone wydawane było w Wielką sobotę, w obecności członków Tow. Składek, ofiarowanych zamiast wizyt wielkanocnych, wpłynęło 292 rb. W--ta.

□ **Poltawa.** Gubernator tutejszy wydał ogłoszony w „Gubern. Wiadom.“ cyrkularz, w którym zarzuca urzędnikom policyjnym, powiatowym i wiejskim, że o gotujących się zaburzeniach nie donieśli zawczasu władzom, z czego wnosić można, że niejasno zdawali sobie sprawę z ciążących na nich zadań. Gubernator wyjaśnia, że obowiązki urzędników policyjnych polegają głównie na zapobieganiu wszystkim, co może odbić się szkodliwie nietylko na ekonomicznym stanie społeczeństwa, lub jego członków, ale co też grozi spokojowi obywateli. Przy usuwaniu złego w samym jego zarodku, zapobiega jego następstwu, a wobec tego działalność policji wtedy jest rozumną, produkcyjną i odpowiada duchowi prawa.

□ **Z Chersonia** piszą do nas: Mieszkam w gub. chersońskiej, w pow. tyraspolskim, gdzie znajduje się ogromna liczba niemieckich kolonistów, zajętych gospodarstwem rolnem. Stan ich ekonomiczny jest wcale dobry, gdyż każdy z nich ma 10—15 i

wyżej dziesięcin dobrej ziemi, pokaźny domek, także zabudowania, dostatni żywy i martwy inwentarz. Miejscowi chłopci nie bez racji zazdroszą im tego dobrobytu. Otóż od pół roku, mniej więcej od sprawy wrzesińskiej, zaczęli kolonistów otrzymywać, jak oni mówią, od rządu pruskiego, a zapewne od agentów komisji kolonizacyjnej, listy z zaproszeniem do osiedlenia się w Poznańskiem, przyczem nie szczędzono różnego rodzaju ponętnych obietnic. Pewna część mniej zamożnych kolonistów uwierzyła obietnicom i rozprzedałszy ziemię i dobytek, pojechała do Poznania, gdzie ją spotkał bolesny zawód. Za drogę, jak obiecano w listach, nie zwrócono, a zaproponowano każdej rodzinie po 5 dz. ziemi i bodaj po jednym koniu, nadto nic. Niemiec, który u nas przyzwyczajony był gospodarować co najmniej na 10—15 dz. i mógł tyleż wydźwiznąć u miejscowych obywateli, mając przytem 4 do 6 własnych koni, zaprotestował, ale na próżno, wobec czego większość przesiedleńców, mająca z czem powrócić, wróciła na stopy, a mniejszość, straciwszy na przejazd i wikt wszystko, co miała, pozostała w Poznańskiem. Obecnie, jak jedni tak i drudzy kłną losy, które ich wystrychnęły na dukdwo. E. Z.

□ **Z Kazania** piszą do nas: Niedawno odbyło się tu ogólne zgromadzenie członków rz.-katol. Towarzystwa dobroczynności, pod przewodnictwem ks. Wł. Ostrowskiego, wikarego naszej parafii. Sprawozdanie roczne zarządu Towarzystwa zatwierdzono jednogłośnie, przyczem znaczną większością głosów przyjęto wniosek utworzenia kapitałów żelaznego i zapasowego. Osoby, ustępujące z zarządu, były wybrane ponownie; oprócz tego do składu członków zarządu został powołany ks. Ostrowski. Zarząd Towarzystwa na r. b. stanowią pp.: Teodor Chrucki, adw. przys. Kaz. Dejunowicz, Julia Dąbrowska, Alicja Flejsztajn, Marja Ostromęcka, ks. Wład. Ostrowski, Franciszka Patzko, Kaz. Stanisławski i dr. Tad. Stefanowski. Kandydatami do zarządu są pp. A. Piętkowski i J. Rokowski; do komisji rewizyjnej powołano pp. Z. Walickiego, W. Ostromęckiego i R. Panasewicza, na kandydatów—pp. J. Lisowskiego i A. Olszewskiego. Zamykając posiedzenie, ks. Ostrowski polecał Towarzystwo poparcia rodaków, zamieszkałych w Kazaniu i w nieznacznej liczbie rozrzuconych po całej guberni. Członkowie zarządu na pierwszym posiedzeniu, odbytem niezwłocznie, obrali z pośród siebie na r. 1902 prezesem p. T. Stefanowskiego, wice-prezesem—ks. Wł. Ostrowskiego, skarbnikiem—p. M. Ostromęcką i sekretarzem—p. K. Stanisławskiego. W ostatnich dniach zmarł w Wiatce ks. Filipowicz, niegdyś proboszcz parafii kazańskiej, żący kapłan i szlachetny człowiek. Na pogrzeb jego wyjechał zjad proboszcz nasz, ks. R. Śliwowski. J. K. S.

□ **Z Rygi.** Przed kilku tygodniami, niejaki p. Artemjew ogłosił w „Now. Wr.“ korespondencję z Jurjewa (Dorpat), dowodząc, że grono inteligencji miejscowej nieślusnie obchodziło stuletni jubileusz uniwersytetu miejscowego w d. 21 kwietnia r. b., zamiast d. 12 grudnia, daty podpisania statutu uniwersyteckiego, gdyż przez pierwsze 8 miesięcy wszechznana była instytucją wyłącznie szlachecką i funkcjonowała niedokładnie. W odpowiedzi na to „Duna Ztg.“ przypomina, że statut uniwersytecki z d. 4 lutego 1824 r. wyraźnie nakazuje uważać d. 21 kwietnia za rocznicę istnienia uniwersytetu, i że wszystkie dotychczasowe obchody jubileuszowe, a mianowicie w r. 1827, 1852 i 1877 odbywały się według tej daty.

Z NAD WISŁY, 25 maja.

Odczyna zarządu Tow. pop. przem. i handlu. Jeszcze wystawa powszechna. Wystawa spożywcza. Dłytaczny podręcznik.

Od dłuższego już czasu w naszej sekcji drobnego przemysłu i rzemiosł działo się niedobrze. Wytworzyła się mianowicie w łonie tej sekcji chroniczna opozycja, która w krótkim czasie udermiła wszelką pozytywną pracę i przybrała formy bezprzedmiotowego wicherzycielstwa. Choć stan ten trwa od listopada 1900 r. i pisma warszawskie nieraz i z niecierpliwością tę sprawę podnosiły, nie poruszaliśmy jej w «Kraju», w nadziei, że nieporozumienie jest chwilowe i z czasem stosunki wrócą do normy. Nadzieje te zawiodły; stosunki płatały się coraz bardziej, aż wreszcie utworzyły węzeł, którego już nie sposób było rozplątać.

Władze oddziału Towarzystwa postanowiły więc go rozciąć. Dziś ogłosiły właśnie odezwę, wyjaśniającą główne punkty sporu i jego historię, potępiającą sprawców tych nieporozumień stanowczo i energicznie, a podpisaną odważnie dwoma znanymi nazwiskami: Władysława hr. Tyszkiewicza i Adama Zakrzewskiego. Zarząd Towarzystwa nie cofnął się przed ostatecznym środkiem (a wątpić nie należy, iż przyszło mu to z największą trudnością): wykluczeniem z grona członków oddziału najbardziej «wicherzących jednostek». Sprawa na tem zostanie zamknięta i przejdzie do historii rozwoju instytucji naszych, jako rozdziałek przykry, ale ostatecznie krótki. Z kronikarskiego obowiązku podaję tu w krótkości jej przebieg: W roku 1900 pewna grupa członków wspomnianej sekcji wystąpiła z wnioskiem utworzenia osobnej, samostajnej sekcji rzemieślniczej. Zarząd nie uznał tego wniosku za użyteczny i potrzebny. Kto miał rację? Trudno osądzić na tem miejscu. Należy tylko zauważyć, że sprawa nie była ważna. Warunki prawne i społeczne dla rzemieślników, jak i dla drobnych przemysłowców, są mniej więcej te same; różnica pomiędzy temi kategorjami pracowników jest prawie czysto formalna, w każdym zaś razie w sekcji zalecanej pomyślnie dotychczas sprawy, obchodzące zarówno tych, jak i drugich. Ostatecznie, być może, iż utworzenie specjalnej sekcji rzemieślniczej, która byłaby ogniwem, dopełniającem organizację cechów naszych, nie było pomysłem jałowym. Ale oponenty chwycili się środków, które mogły jedynie skompromitować to, co w tym pomysle było rzeczowego—środków, których przyjąć nie mogła żadna instytucja w ucywilizowanym społeczeństwie. Ostatnim wybrkiem, który zmusił zarząd do energicznych postanowień, było wtargnięcie na zebranie sekcji chemicznej, mającej radzić o potrzebie wystawy krajowej powszechnej, i zerwanie posiedzenia. Gdyby tolerowano tego rodzaju opozycję, doprowadziłoby to wkrótce i nienależnie do zamknięcia wszystkich sekcji i samego oddziału.

Zarząd postanowił bronić zagrożonej instytucji, a że mu i nadal energii nie zabraknie, choć ona już potrzebna w tej mierze, co dziś, nie będzie, wywnioskować to można z końcowego ustępu odezwy: «Wobec pogróżek rozbicia wszyst-

kich sekcji i całego oddziału, zarząd świadomy jest swego obowiązku: jaknajenergiczniej przeciwdziałania wszelkim usiłowaniom destrukcyjnym».

Dla ścisłości jeszcze jeden szczegół rzeczowy: oponenty na sztandarze swoim wywiesili hasło niedopuszczenia żydów do cechów; to jednak w niczem ich opozycji nie usprawiedliwiało, ponieważ i sekcja rzeczona również wypowiedziała się przeciwko temu dopuszczeniu.

Sprawa wystawy krajowej powszechnej nie została jeszcze w sposób ostateczny pogrzebana; oddano ją na rozpatrzenie poszczególnym sekcjom oddziału Towarzystwa popierania handlu i przemysłu. Sekcja rolna przyjęła wieść o wystawie z całkowitą obojętnością; nie padł ani jeden głos za lub przeciw. Natomiast w sekcji chemicznej sporo o tem mówiono. Prof. politechniki p. Bogucki energicznie przeciwko wystawie występował; większość członków była jednak za wystawą, której termin oznaczono za lat trzy—«w żądaniu». Czekajmy jeszcze na głos innych sekcji.

Tymczasem dochodzi do skutku wystawa spożywcza w Warszawie, która uprzyjemni nam wrzesień. Komitet postanowił dopuścić do wystawy eksponentów pozakrajowych i zagranicznych, aby przedsięwzięcie ożywić. Sądzę, że tu dopuścić nie wystarczy, należy o ten udział także trochę i postarać, zwłaszcza o udział zagranicznych wystawców. Zrózniczkowanie się, specjalizacja w produkcji środków żywnościowych, a także i w handlu niemi, doszła w niektórych krajach, jak: Anglja, Francja, Szwajcarya, do wysokiego stopnia, tak że u nas o tem nawet przybliżonego pojęcia się nie posiada. Są np. domy, przygotowujące konserwy z jakiejś jednej, jedynej jarzyny, a tak tania i doskonała, że rugeje ona świeży towar z rynków. Przetwory owocowe, rybne, mięsne—ułatwiają w najwyższym stopniu prowadzenie gospodarstwa i przygotowywanie potraw, sprządzając bardzo ważne redukcje w ekonomii domowej: na służbie, opale, naczyniach i t. p. W słynnym sklepie kolonialnym Pottin'a w Paryżu np. dostać można gotowe porcje, przyrządzone tak, że po wstawieniu na pięć minut na ogień, ma się gorąca potrawa. Gospodyni szwajcarska ma, po ugotowaniu obiadu, jakąś kwaterkę odpadków, nie więcej, ponieważ wszystko otrzymuje w stanie o ile możności gotowym już do nacychmiastowego użytku. Ile na tem zyskuje czystość i higiena mieszkań—podkreślać zbędnie. Spodziewamy się też od wystawy, że nauczy ona coś niecoś nasze gospodie, że ludziom, szukającym pomysłów i pracy, otworzy nowe perspektywy na nieznanne jeszcze u nas dziedziny działalności, że posunie choć o krok jeden sprawę żywnościową w kraju naszym pod względem ekonomicznym i higienicznym. Nie chodzi przecież na wystawie spożywczej o zadowolenie samych tylko ekspertów...

P. Burago, nacelnik powiatu sochaczewskiego, ułożył i wydał użyteczną książeczkę w dwóch językach, polskim i rosyjskim: «O zebraniu gminnym i sołtysie». Jest tu wyłożone jasno i zwięźle wszystko, co dotyczy obowiązków sołtysa; że zaś te obowiązki są liczne i rozmaite, odpowiedzialność za nie poważna, a ci, co piastują te godności, mało

oświeceni, podręcznik taki oddać im może usługi poważne.

Cs.

WARSZAWA, 20 maja.

[Filharmonja i jej... macocha. Śpiewnik religijny. «Manru». Dwie nowości w Rozmaitościach].

Warszawska prasa postępuje z Filharmonją jak macocha, która uważa za najlepszy system pedagogiczny kraciową surowość i jaknajwyższe wymagania; jeżeli nie może czego nie pochwalić—czyżni to półgębkiem, a całą szczerzość natomiast wkłada w napomnienia, wyrzuty i nagany. Że się czasem biednej sierocie dostanie—za cudze winy, to leży już w systemie wychowania macoszego. W ten sposób nie szczędzi się Filharmonji gorzkich słów za to, że przyprowadza do upadku Towarzystwo muzyczne. Biedna zaś Filharmonja, oszołomiona ciągłym zrzędzeniem, nie potrafi już odróżnić swoich win od swoich zasług i zupełnie na serjo poczyna myśleć o obowiązku swoim uratowania zagrożonego Towarzystwa muzycznego...

A co właściwie zarzucić można Filharmonji?

Błąd jeden tylko, moim zdaniem, ale za to bardzo, bardzo wielki. Mianowicie—powodzenie.

Coraz więcej u nas dusz wrażliwych, które cudzego powodzenia znieść poprostu nie mogą. Prywata, zaprawiwszy się w jednej i drugiej akcji, widząc obojętność opinii publicznej, która z cynizmem zdaje się wyczekiwać aż zwycięży—silniejszy, poczyna przemawiać głosem, tak już śmiałym i pewnym bezkarności, jak tylko w chwilach upadku moralnego lepszych warstw społecznych przemawiać jest zwykła. Gdy ta prywata czepia się instytucji lub osób, stojących mocno na zdobytym gruncie, to ostatecznie mniej-sza o nią. Ale, niestety, Filharmonja do takich instytucji jeszcze nie należy, o czem przekonanie się łatwo z danych, jakie dostały się do pism z okazji pierwszego zebrania akcjonariuszów. Towarzystwo ma w chwili obecnej kolosalne długi. Zorganizowanie orkiestry i wystawienie budynku kosztowało 900 tys. rubli. Tymczasem jakaś część akcjonariuszów nie spełniła całkowicie przyjętych zobowiązań, a prowadzenie instytucji artystycznej, tak jak była prowadzona przez pierwszy sezon—na europejskiej stopie—bardzo jest kosztowne. Publiczność wprawdzie oceniła wysiłki dyrektorów Filharmonji i wypieciała ogromną salę po brzegi. To właśnie pozwala na nadzieję, że przedsięwzięcia z czasem, w ciągu całego szeregu lat, wyrobi się, własną pracą pokryje ciężące na niem zobowiązania, roztropną administracją oczyści się z długów. Ale, raz jeszcze powtarzam, na to potrzeba całego szeregu lat—i pomyślnych lat. Zdobyliśmy się na europejskiej miary instytucję muzyczną, toć ułatwimy jej zawsze ciężkie początki. Ci, którzy otwierają łamy pism swoich dla głosów, zbyt widocznie interesownych, grzeszą brakiem obywatelskiej oględności.

Prezes Filharmonji, baron Kronenberg, który jest zarazem kierownikiem wielu innych instytucji, rzekł się swojej godności w Filharmonji. Aby jednak ta rezygnacja nie została zapomnie wytlomaczoną, w dłuższem przemówieniu podniósł wymownie zasługi obecnego administratora instytucji. Na fotel prezydencki zaproszono ordynata hr. Zamojskiego.

Pożyteczne wydawnictwo do zanotowania: P. Sarjusz Zaleski wydał «Śpiewnik religijny», zawierający tekst i melodie około setki polskich pieśni kościelnych, którym dla braku właśnie takiego wydania, groziły zmiany dowolne, mogące zatrzeć cechy charakterystyczne tych pięknych objawów ludowej twórczości. Polska pieśń kościelna—to jeden z najwspanialszych naszych cywilizacyjnych nabytków. Zbiorek ten, wydany w formie dogodnym, ułożony przez ks. Czyżewskiego według najlepszych naszych zbieraczy ludowych pieśni, ustalając słowa i muzykę tych pieśni, zasługując na najszersze rozpowszechnienie.

W teatrze Wielkim «Manru». Paderewski przerabia go ustawicznie, stosując się do warunków scenicznych. «Manru», któregośmy obecnie poznali, jest trzecią już przeróbką. Opera ma ustaloną opinię: muzyka piękna, libretto niedołężne. Zwłaszcza postać Uroka, dziwaczna, niezrozumiała i niewytłomaczona, a jednak wiążąca całą akcję, przeszkadza bardzo dramatowi, który inaczej byłby ludzki i wzruszający. Jeżeli on i tak w kilku scenach głębiej wzrusza słuchacza, to już całkowita zasługa muzyki, w wielu miejscach prawdziwie natchnionej, obfitującej w melodie wyjątkowej piękności i opracowanej z wszechstronną znajomością dzisiejszych środków muzycznych. O «Manru» pismo nasze pisało już dwukrotnie. Obecnie więc poprzestaniemy na zaznaczeniu gorącego, niemal entuzjastycznego przyjęcia, jakiego dzieło to doznało u warszawskiej publiczności. Koleszanka Ulany, arja Manru, przepiękny duet miłosny, wyrwany z piersi kochanków pod wpływem zaczarowanego napoju, jak w «Tristanie i Izoldzie», *intermezzo* orkiestrowe, ilustrujące senne marzenia cygana, chór cygański z *solo* skrzypcowym—i tyle, tyle innych piękności muzycznych dzieła oklaskiwano—na zabój. Wykonanie było świetne, zwłaszcza przez pp. Bandrowskiego i Górskiego. Szkoda tylko, że tę operę wystawiono tak późno w sezonie.

W «Rozmaitości» dwie oryginalne premjery jednej autorki pani Mellerowej. Jedna, «Wdowa z Efezu», to uscenizowana anegdota ze starożytniej powieści «Satiricon», fałszywie przypisywanej Petroniuszowi; jeżeli on był w istocie tak wykwintnym człowiekiem, jak opinja dziś jeszcze to głosi, nie mógł był napisać takiego płaskiego paskudztwa, jak «Satiricon». Pani Mellerowa pokazała nam w drobnotce swej *das ewig Weibliche* ze strony, która jej wdzięczności naszych pań nie zjedna. «Wdowa z Efezu» postanawia po śmierci męża umrzeć, ale spotkawszy przypadkiem na drodze na cmentarz wspaniałego gladiatora, wraca z nim do miasta... Druga nowość, to człowiek zbyt «Doświadczony», który nauwodził w życiu niewiastę, a ożeniwszy się, spokoju chwili nie może znaleźć, trapiiony zazdrościami, podejrzewaniem, obawą, aby nie «ponieśli i wilka», który sam «nosił razy kilka». W obu rzeczach autorka miała pomysł, nadający się do psychologicznego wyzyskania; w obu otworzyła sobie pole do efektów satyrycznych i w obu wykonanie nie stanęło na wysokości pomysłu. Ludzie z pod pióra p. Mellerowej wychodzą zbyt blade, miękko, brak im charakteru, krwi własnej. Obie rzeczy znalazły dość przychyl-

ne przyjęcie u publiczności. Zaznaczyć należy znaczne ożywienie repertuaru w teatrze «Rozmaitości»; reżyserja dała nam w ostatnich czasach cały szereg utworów wysoce interesujących: «Odrodzenie», «Dyrektor Flachsman», «W sieci».

Albertus.

Generał-gubernator warszawski Czertkow zwiedza niektóre miasta gubernialne w Królestwie Polskiem. «Warsz. Dniwn.» zamieścił opis jego pobytu w Radomiu i Kielcach, gdzie generał-gubernator przyjmował urzędników i zwiedzał świątynie i instytucje.

Specjalna komisja, wydelegowana przez ministra skarbu, do obejrzenia robót w gmachu Politechniki tutejszej, oraz zbadania stanu fundusów, powróciła do Petersburga, żądać na ręce dyrektora Politechniki, p. Lagorio, nadeszło od ministra skarbu podziękowanie dla komitetu budowy za wzorowe wywiązanie się z zadania zarówno pod względem technicznym, jak i finansowo-administracyjnym.

Komitet Muzeum przemysłu i rolnictwa utworzył się w następującym składzie: prezesem został mecenas Stan. Rotwand, wice-prezesem inżynier Wł. Kisłański, obadwaj ponownie. Wybór drugiego prezesa odroczone do następnego posiedzenia. Komitet powziął postanowienie ogłoszenia konkursu na przebudowę gmachu muzealnego i wyznaczył nagrody za najlepszy projekt rb. 500.

Z powodu wystąpienia «Gazety Losowań» przeciwko rzucenemu przez pismo «Rolnik i Hodowca» projektowi załozenia akcyjnej fabryki maszyn i narzędzi rolniczych, w celu wyparcia wyrobów niemieckich, «Warszawskij Dniwnik» pisze: «Należy oczekiwać, że za swe «odstępstwo» «Gazeta Losowań» dostanie od dzienników warszawskich tak mocną trzapankę, jakiej uległ «Kraj» za swój protest przeciwko agitacji antypruskiej, choć teraz już jest rzeczą niewątpliwą, że cała agitacja była tylko bańką mydlaną».

W myśl odezwy zarządu «warsz. oddziału Tow. pop. przem. i handlu», pp. Ryszard Puciata i Feliks Gromko zostali zawiadomieni przez zarząd, że przestają być zaliczani do rzędu członków oddziału warsz. Tow. popierania ros. przem. i handlu.

Kielce. Podczas pobytu w Kielcach, jak donosi «Warsz. Dniwnik», generał-gubernatorowi warszawskiemu i dowódcy wojsk okręgu, jen.-adj. Czertkowowi, w domu gubernatora, gdzie miał przygotowane pokoje, przedstawili się, zebrani w sali przyjęć, duchowieństwo i urzędnicy cywilni. Na czele duchowieństwa rzymsko-katolickiego biskup ks. Kuliński. Po przyjęciu urzędników przedstawiła się grupa szlachty miejscowej—właścicieli ziemskich, w których imieniu powitał generał-gubernatora p. Eustachy Dobiecki. O godz. 4 po poł. JE. przybył do kościoła katedralnego, gdzie przy wejściu oczekiwał ks. Kuliński, biskup diecezji kieleckiej z kapitułą, regensem i wszystkimi alumni seminarjum duchownego. JE. ks. biskup, przybrany w szaty biskupie, w otoczeniu całego duchowieństwa i alumnow seminarjum, odprawił nabożeństwo uroczyste, zakończone hymnem «Boże Cesarza chroń», wykonanym na organach, poczem JE. ks. biskup Kuliński powitał generał-gubernatora mową, z wyrazem uczuć wiernopoddańczych. Po obejrzeniu znanych sal kieleckiego rządu gubernialnego, z ich portretami historycznymi na ścianach *al fresco* i w wysokim stopniu interesującymi plafonami, roboty stuleci ubiegłych—(dom, gdzie mieści się kielecki rząd gubernialny, niegdyś był zamkiem biskupów)—jen.-adj. Czertkow odwiedził w mieszkaniu biskupa ks. Kulińskiego, gdzie również zebrany był personel pedagogiczny i alumni seminarjum

duchownego. JE. rozmawiał ze zwierzchnością seminarjum o dalszych losach młodych ludzi, kończących seminarjum, o formalnościach przy wstępowaniu do rzymsko-katolickiej Akademii duchownej i, spędziwszy kilka minut u ks. biskupa Kulińskiego, odjechał do ochrony dla dzieci miejsowego oddziału rosyjskiego Towarzystwa dobroczynności, gdzie oczekiwała małżonka gubernatora, Ozierowowa i członkowie opieki.

Kalisz. Na wyborach władz do Tow. kred. ziemskiego w Kaliszu powołani zostali: do komitetu: p. Tadeusz Wyganowski, do dyrekcji głównej p. Wład. Wierusz-Kowalski; do dyrekcji szczegółowej: dotychczasowy prezes p. Zygm. Wyganowski, p. Henryk Chrzanowski, p. Witold Romocki i p. Ignacy Koźuchowski—wszyscy ponownie. Podczas przerwy w obradach, p. Artur Dzierżbicki przemówił serdecznie i gorąco w imieniu ogółu stowarzyszonych kaliskich do rady Kłobukowskiego, z wyrazami uczczenia jego zasług, jakie położył przez 26 lat urzędowania w komitecie, jako przedstawiciel oddziału kaliskiego. Mówca złożył jubilatowi adres, podpisany przez ogół wyborców, a odczytany przy uroczystym nastroju wszystkich obecnych. Ze wzruszeniem odpowiadał radca Kłobukowski.

Z Łodzi piszą do nas: Jakby w myśl, rzuconą przez p. W. K. (w Nrze 18 «Kraju»), warszawskie Towarzystwo zachęty do sztuk pięknych urządziło czasową wystawę swych zbiorów w Łodzi. Zarząd nad wystawą objął właściciel Salonu artystycznego, p. Grodek, zaś dochód w połowie przeznaczony na rzecz naszego Pogotowia. Obrazy pozostaną w Łodzi do d. 6 lipca. Duży postęp zauważyć się daje w dążeniach estetycznych naszego miasta: powstają tu liczne domy stylowe i parki miejskie. W ruchu przemysłowo-handlowym czuć się daje ożywienie wskutek sporego napływu obywateli, ale ograniczone zaufanie tamże nieco biegnie interesów kupieckich. Dowiadujemy się, że znaczniejsi przedsiębiorcy krajowi ponownie zobowiązali się wzajemnie wystawiać przy sprzedaży przędzy bawełnianej weksle wyłącznie z terminem czteromiesięcznym. — Jako jeden z pożądaných objawów, możemy zanotować fakt, że w tych dniach, na skutek wymagań niektórych członków zarządu, chrz. Towarzystwo dobr. zgodziło się notować protokoły posiedzeń również w języku polskim. — Dobrze rozwijająca się szkółka rzemiosł dla biednych chłopców przystępuje niebawem do budowy własnego gmachu. Mając na celu bliższe zaznajomienie młodzieży z zajęciami praktycznymi, rada pedagogiczna tutejszej szkoły handlowej, istniejącej pod egidą Stow. subjektów, zaprojektowała urządzenie kantoru wzorowego. Przychylając się do myśli tej, rada nadzorcza, szkolna postanowiła wysłać prośbę do ministerstwa skarbu wraz z projektem zamiany w tym celu kursu trzyletniego na czteroletni. M.

Pabjanic piszą do nas: Życie społeczne nie odznacza się tu ruchliwością. Dotyczy to zwłaszcza polaków, bo niemiecy świecą przykładem pracy zrzeszonej, dawno już mają własne stowarzyszenie śpiewacze, ochronkę dla dzieci, Tow. strzeleckie i klub gimnastyczny. Natomiast korporacyjne życie polaków ogranicza się niemal wyłącznie do Tow. techników i pracowników handlowych. Instytucja ta trzyma się względnie nieźle, choć przy liczbie 89 członków mogłaby również większą objawić ruchliwość. Z przyjemnością zaznaczamy pozytywną działalność przemysłowca tutejszego, p. Kindlera. Urządzona w jego fabryce pierwsza łaźnia dla robotników, jak niemniej czytelnia dla użytku pracowników kantoru—są dowodem dbałości jego o swoich podwładnych.—Mieszkaniec tutejszy, p. Budzyński, przedsięwziął budowę sali publicznej, w której się znajduje scena i estrada. M. N.

ZA KORDONEM.

Neofilareta.

Prasa galicyjska rozpisywała się czas jakiś o projekcie utworzenia przez p. Lutosławskiego jakiegoś uniwersytetu filareckiego w Szwajcarii. W „Głosie Nar.” znalazła się wiadomość, jakoby „d. 9 marca 1902 r. zebrane grono słuchaczy i nauczycieli czterech szwajcarskich uniwersytetów we Fryburgu szwajcarskim założyło Towarzystwo pod nazwą „Uniwersytet Mickiewicza”. Otóż obecnie profesorowie uniwersytetu fryburskiego: Stanisław Dobrzycki, Antoni Kostanecki i Józef Kowalski nadesłali do „Czasu” następujące oświadczenie: „Zamierzamy: 1) że na owym zebraniu d. 9 marca, na którym utworzono towarzystwo, p. n. „Uniwersytet Mickiewicza”, nie byliśmy, nie było też, prócz p. Lutosławskiego, żadnego z profesorów; 2) że z dążnościami p. Lutosławskiego się nie solidaryzujemy; ze słuchaczów zaś uniwersytetu fryburskiego ani jeden członkiem owego Towarzystwa nie jest; 3) że zapytani poprzednio przez p. Lutosławskiego o naszą opinię co do owego Towarzystwa i wzywani przez niego do współdziałania, daliśmy mu odpowiedź odmowną, motywując ją tem, iż cała sprawa jest chybiona i szkodliwa. Zastrzegamy się tedy stanowczo przeciw łączeniu nas z fantastycznymi projektami śpiących na jawie”.

Bawiący obecnie we Lwowie p. Wincenty Lutosławski, b. profesor uniwersytetu Jagiellońskiego, wygłosił dwa odczyty. Pierwszy odbył się w sali politechniki i wywołał gwałtowną sprzeczkę p. Kulczyckiego ze zwolennikami p. Lutosławskiego. Na drugim odczyty w sali „Sokoła” prof. Lutosławski mówił o „wychowaniu narodowym i abstynencji”, i o stosunku jej do „wychowania narodowego”. W odczyty tym zalecał wstrzeźliwość od alkoholu i wskazał, że jest on źródłem wszelkiego zła. Dlatego powinna abstynencja być bodźcem pracy „kół filareckich”. Po wykładzie chciał mówić p. Studnicki. Zwolennicy p. Lutosławskiego wzięli jego słowa za wyzwanie i w sali powstał piekielny hałas, gwizdy, tupanie nogami, sykania i t. d. Równocześnie młodzież, pochwyliwszy p. Studnickiego za politykę, usiłowała go ścigać na estradę. P. Studnicki, broniąc się, kopął na wszystkie strony, ale ostatecznie ścigani na nogi, znalazł się na ziemi. Na sali powstała panika; panie poczęły uciekać. Pisma tłómaczą te zajścia i sprzeczki gwałtownymi wystąpieniami „Kurjera Lwowskiego” przeciw „rozczocharanym” teorjom prof. Lutosławskiego.

PRASA ROSYJSKA.

FUNDUSZ KOLONIZACYJNY.

Donosząc o nowych projektach anty-polskich rządu niemieckiego, korespondent berliński „Now. Wr.” opatruje je następującą uwagą:

„Wszystkie te ważne środki niezawodnie zostaną przyjęte przez parlament. Naprawdę jednak usiłują usprawiedliwić propagandę polską. Jest to nie innego, jak wykonanie testamentu Fryderyka Wielkiego, który stanowczo doradzał zmniejszyć do szczytu i wyznaczyć z pierwiastków słowiańskich wszystkie ziemie pograniczne z Rosją, oraz dalszy ciąg długiego szeregu takichże środków, zainicjowanych przez Bismarka, rozpoczętych wygnaniem wszystkich żywiołów słowiańskich słynną mową jego w r. 1886. Z polakami łatwo można sobie dać rady za pomocą siły zbrojnej, co też nieraz zaznaczano, ale poradzić sobie z prądem słowiańskim, którego tu się tak bardzo boją,

jest stokroć trudniej. Nie darmo przecież Bismark w mowie swojej z r. 1886, jako najważniejszy motyw do wygnania polaków i innych słowian obokrajowych, przytoczył fakt taki: niegdyś pewien wybitny polak, mówiąc o licznych pamiątkach słowiańskich w Prusach, miał mu powiedzieć: „zobacz pan, że z czasem my wszystko to odbudujemy”. Istotnie, strach ma wielkie oczy”.

Tej samej sprawie, uchwalenia nowego funduszu antypolskiego w Prusach, „Nowoje Wremia” poświęca inny artykuł wstępny, w którym przedewszystkiem roztrząsa, jakie znaczenie może mieć przedsięwzięty przez rząd pruski nowy środek germanizacyjny. Komisja kolonizacyjna nie odpowiedziała oczekiwaniom swych założycieli, gdyż „zbalamucony Michel nie mógł współzawodniczyć w uprawie roli ze skromnym rolnikiem-słowianinem”. Dlatego też rząd pruski obecnie postanowił za nowe, mające być uchwalone, fundusze kupować na rzecz państwa majątki polskie, i plan ten—według zdania dziennika—został ułożony „z zabijającą trafnością rachunkiem”, gdyż grunty, przez rząd zakupione, nigdy więcej do rąk polskich nie wrócą.

„Wskutek tego—mówi „Now. Wr.”—z czasem polacy staną się niepożądanymi gośćmi na własnej ziemi i nie trudno ich będzie rozprościć po całych Niemczech i za ich granicami. Wówczas nastąpi koniec dla pruskiej Polski, kolebki narodu polskiego”. „Trzeba przyznać—mówi dalej dziennik—że w ogólności wszystkie urzędowe oświadczenia niemieckie w sprawie polskiej mają pewien nieco komiczny odcień w oczach widza postronnego: Niemcy—proszą sobie wyobrazić—tylko bronią się od pożerającego wszystko potopu polskiego! Również i hr. Bülow gada o konieczności wytworzenia tamy, skierowanej przeciwko wrogiemu dla państwa agitacji polskiej, nazywanej przez niego „wielkopolską” lub „wszechpolską”. Jest to nowy jego konik, który—według jego zdania—może oddać tysiące usług w sprawach międzynarodowych”.

Widmo tej agitacji dotychczas nie niepokoi organu p. Suworina, który uznaje, że agitatorami są bardzo młodzi studenci, starsi uczniowie gimnazjalni, robotnicy fabryczni, kierowani jakąś bezimienną spółką, «widocznie znajdującą się w związku z muzeum narodowym w Rapperswylu». Ztąd dano hasło do ruchów szkolnych w Niemczech i do «wojny na trzy fronty». Władze pruskie skwapliwie zbierają wiadomości o tej «dziecinnej agitacji, wstępnej już choćby tylko ze względu na jej lekkomyślność», nie tyle na własny użytek, bo same są zbyt mało naiwne, ale w celu zastraszenia sąsiadów «niebezpieczeństwem polskiem» i zjednoczenia ich do wypowiedzenia wspólnej walki polakom.

„Dotychczas—mówi „Now. Wr.”—te insynuacje pruskie powodzenia nie miały. Dla chłodnego obserwatora postronnego jasnym było naturalnie, że bohaterki opór polaków poznańskich przeciwko nacechowanej gwałtami germanizacji wpływa z głębszego i szlachetniejszego źródła, i nie jest wynikiem niegodnej naganki, urządzonej przez bandę agitatorów tajnych, zatrważających świadomie i bez miłosierdzia kwiat wiosenny młodzieży polskiej. Jednakże ludzie, sta-

nowiący poważny i szlachetny żywioł narodu polskiego, powinni, nie ograniczając się do protestów w prasie, dotożyć wszelkich usiłowań, aby wczas wyznaczyć granicę dla szalonej igraszki agitatorów”.

Inaczej—kończy dziennik—wkrótce może już będzie za późno i zapewnienia pruskie zdobędą sobie grunt do wiarogodności w oczach wszystkich.

O FINLANDJI.

„Nowoje Wremia” drukuje szereg artykułów p. t.: «Z Finlandji». Autor tych artykułów, p. L. G.—n, ten sam, co niedawno opisał Warszawę (p. Nr 15 «Kraju»), w formie dialogów dowodzi, że utarte pojęcia o «konstytucji finlandzkiej», «zasadniczych prawach Finlandji» i t. p., opierają się tylko na nieporozumieniu, którego powody wyklada w następujący sposób. W roku 1865 fiński komitet kodyfikacyjny w istocie stworzył cały projekt osobnej dla Finlandji konstytucji, w którym mowa była o ograniczeniu władzy monarchicznej, o stolicy Finlandji i t. p. Przy obradowaniu nad tym projektem w obecności cesarza Aleksandra II, wystąpił przeciw projektowi z mocną krytyką jen.-gub. baron Rokossowski, na skutek czego cesarz projektu nie zatwierdził. Jednocześnie z projektem konstytucji przedstawiony został projekt ustawy sejmowej, który uzyskał Najwyższe zatwierdzenie. W tej właśnie ustawie sejmowej znajdują się częste powoływania się na «zasadnicze prawa», na «formę rządu», słowem na akt prawodawczy, dotyczący konstytucji, a nie zatwierdzonej przez cesarza. Urzędnicy, których obowiązkiem było czuwać nad odpowiednością formy do ustawy i usunąć owe powoływania się na akt niezatwierdzony, nieważny, słowem nie istniejący, przeoczyli tę okoliczność.

„I oto można sobie wyobrazić, co z tego wynikło. Pierwszy lepszy finlandzki separatysta może utworzyć stronę ustawy sejmowej i pokazać chłopu, mieszczaninowi lub wogóle człowiekowi nieświadomemu paragraf, powołujący się na konstytucję, a następnie już wskazać tę konstytucję. I uwierzą mu. I nie mogą nie uwierzyć. Bo wiem nikomu nie przyjdzie do głowy, że w takim akcie prawodawczym, jak „ustawa sejmowa”, mogą być fałszywe odnośniki”.

„Nie łatwo tedy usunąć tę anomalję. Wszelkie protesty, demonstracje i nawet jawne zaburzenia dni ostatnich pochodzą z powodu wprowadzenia przez rząd rosyjski takich praw i ustaw, których wyrzec się niepodobna”. „Od chwili wydania manifestu 1899 r.—mówi jedna z osób, rozumujących w artykule p. L. G.—musimy dążyć naprzód, nie zatrzymując się ani na chwilę. Zatrzymanie się byłoby niebezpiecznym dla powagi Rosji. Jedno z dwojga: albo nie należało wcale zaczynać, albo zaczawszy, trzeba iść, iść do końca, nie czyniąc żadnych ustępstw, żadnych ulg. Bo może to jeszcze ostatnia chwila, gdy kwestję finlandzką można rozstrzygnąć pokojowo”.

NOWE WIDOKRĘGLI.

W chwili gdy pedagogja bismarkowska wydaje najwspanialsze swe owoce, gdy rozpanoszona wszechniemieckość wyzuwa z ziemi poznańskiej odwiecznych jej dziedzińców za to tylko, że przechowują własną kulturę tysiącoletnią, gdy wysłańcy pangermanizmu szerzą otwarcie i bezkarnie w obcym państwie myśl wcielenia jego do imperjum Hohenzollernów, a złowrożeńi prorocy polityczni przepowiadają upadek monarchji habsburskiej na jutro po zniknięciu cesarza Franciszka-Józefa i panowanie Weltreichu niemieckiego od Amsterdamu do Stambułu i od Bałtyku do morza Adriatyckiego,—nie braknie, na szczęście, znamion, które lepszej spodziewać się pozwalają przyszłości.

Bismark ukrywał swoje plany, przysięgał na wierność Austro-Węgrom, zawierając jednocześnie tajne umowy asekuracyjne; twierdził, że cały półwysp bałkański nie wart kości jednego grenadjera pruskiego; narzekał, że cichym Niemcom grozi niebezpieczeństwo od wojowniczych sąsiadów, o zamiarach zaś zaborczych niemieckich nie przebrnął nigdy ani słowa. Cesarzowi Wilhelmowi i jego doradcom należy się najwyższa wdzięczność za to, że przetrarli ludziom oczy. «Weltpolitik», «Weltreich» nie schodzą z ust cesarskich i z języka hr. Bülowa, podróże, toasty, ćwiczenia krasomówcze w koszarach i na «paradeplatzach» aż nadto wyraźnie stwierdzają, że Niemcy dzisiejsze dążą do zagarnięcia Austrii i Holandji z jej bogatymi kolonjami i do rozszerzenia swego wpływu na Balkany, Azję mniejszą, aż het!... za Eufrat i Tygrys.

Więc to odnawiane obecnie trójprzymierze europejskie nie jest i nie będzie już nigdy owym pierwotnym trójprzymierzem, stworzonym przez Bismarka, cokolwiek mówiliby dziś mówcy urzędowi. Logika wypadków zbliżyła Austro-Węgry do Rosji i Włochy do Francji. Ustają umiejętnie podsycane przez Bismarka: współzawodnictwo Rosji i Austro-Węgier na półwyspie Bałkańskim i współzawodnictwo Włoch i Francji w Afryce północnej. I chociaż cesarz Franciszek-Józef nie chce ani sporów, ani zatargów, choć milczy Hofburg, gdy rozszuchwalone wszechniemieckie gardła krzyczą: «Los von Rom!» i «Los von Oesterreich!», choć czesi doczekają się nie mogą uroczystej koronacji w Pradze—środek ciężkości monarchji habsburskiej wyraźnie przesuwa się na stronę słowiańską, i myśl federacji ludów zachodnio-słowiańskich, pod przewodnictwem starej dynastji Habsburgów, wzrasta i potężnieje.

WIZYTA PASTERKA W KRONSTADZIE.

Dzień niedzielny i poniedziałkowy ubiegłego tygodnia były radośniami i uroczystościami dla katolickich mieszkańców Kronsztadu. W dniach tych nawiedził parafjan kronsztadzki JE. arcybiskup-metropolita mohylowski, ks. Bol. Kłopotowski.

Od rana w petersburskiej przystani parostatków rządowych kołysał się statek «Izora», uprzejmie nadesłany przez naczelnika portu kronsztadzkiego, wiceadmirała Makarowa, dla przewiezienia arcybiskupa i towarzyszącego mu duchowieństwa. Około godz. 9 przybył na statek JE., powitany przez przedstawiciela parafjan kronsztadzki, inżyniera marynarki, podpułk. Perkowskiego oraz przez całą załogę «Izory» z kapitanem Zajcemem na czele. Z duchowieństwa towarzyszyli JE.: rektor Akademji duchownej, ks. prałat Żarnowiecki, trzej członkowie kapituły mohylowskiej, proboszcz parafji św. Katarzyny, ks. kanonik Ścisławski, oraz kilku profesorów Akademji i seminarjum.

Statek szybko począł próć fale Newy, a potem zatoki Fińskiej, i po dwugodzinnej żegludze, przy pięknej pogodzie, przybył do przystani kronsztadzkiej.

Wprost ze statku JE., w towarzystwie ks. prałata Żarnowieckiego i p. Perkowskiego, udał się do kościoła, gdzie już oczekiwali zebrani: proboszcz parafji, ks. Kaz. Michalkiewicz, w otoczeniu kilkunastu alumnów seminarjum petersburskiego, oraz wszyscy prawie katolicy mieszkańcy Kronsztadu. Mnóstwo także ludzi innych wyznań zapelniało przylegające ulice i plac przed kościołem. Na krążanku kościelnym nastąpiło powitanie arcybiskupa przez parafjan. W imieniu wszystkich serdecznie przemówił do JE. adw. prz., p. Kopecz, a pp.: rejent Stungiewicz i Cieszkowski na artystycznie wykonanej tacy srebrnej, ozdobionej herbami JE. i Kronsztadu, ofiarowali chleb i sól. Jedną z dziewczynek podała arcybiskupowi piękny bukiet, a ks. proboszcz wręczył klucze od świątyni. Odpowiedziawszy uprzejmie na powitania, JE. przy bicu w dzwony i śpiewie «Ecce Sacerdos Magnus», poprzedzony duchowieństwem i dziewczynkami w bieli, rzucającymi kwiaty, wstąpił do kościoła. Świątynia przepelniona była wiernymi, a środkiem w dwóch zwartych szeregach, stanowiąc wartość honorową, stali marynarze katolicy.

Gdy po modlitwie przed wielkim ołtarzem JE. zasiadł na gustownie wzniesionym tronie biskupim, ks. Michalkiewicz zwrócił się do JE. z przemową powitalną. Wyrażając wielką swą i swych parafjan radość z przybycia arcybiskupa, szanowny kapłan skreślił pokrótce historję kościoła i swego przy nim pastrozowania, oraz przedstawił stan materialny i moralny parafji. Sprawozdanie wypadło nader chlubnie dla parafjan. Aczkolwiek po większej części niebogać, ciężką pracą zarabiający na kawalek chleba, są przecież—zapewniał ks. proboszcz—dobremi dziećmi Kościoła, gorąco przywiązani do wiary ojców, uczynni i ofiarni na potrzeby świątyni. Z ich też pomocą odnowiony został kościół, założone Towarzystwo dobroczynności, zorganizowana szkoła przy ko-

J. Mzura.

ściele. Piękne to świadectwo, złożone parafji kronstadtzkiej, nie mogło nie uradować serca arcybiskupa, który w dłuższym przemówieniu wyjaśnił parafjanom cel swego do nich przybycia i z uznaniem podniósł zarówno ich cnoty, jak zasługi i pracę ks. proboszcza.

Po przemowie, JE. w myśl przepisów kanonicznych, wizytował po szczególe ołtarze, zakrystję, chrzcielnicę etc., bacznie zwracając uwagę, czy wszystko w należytym znajduje się porządku. Następnie JE., przybrawszy się w szaty pontyfikalne, odprawił sumę uroczystą, podczas której ks. kanonik Ścisławski wygłosił kazanie. Po kazaniu JE., na mocy przywileju Apostolskiego, udzielił wiernym odpustu zupełnego. Do wspamiętania celebry biskupiej niemało przyczyniali się piękne śpiewy chóru kościelnego, wzorowo prowadzonego przez miejscowego organistę.

Po nabożeństwie, JE. został w uroczystej procesji, pod baldachimem odprowadzony na plebanję, przy udziale mnóstwa ludzi. Po krótkim odpoczynku, arcybiskup wrócił do kościoła i udzielił Sakramentu Bierzmowania, którą to czynność zakończył długą apostolską przemową do obecnych.

Następnie JE. w towarzystwie p. Perkowskiego, składał wizyty wybitniejszym przedstawicielom władz miejscowych, którzy rewizytowali JEksceleńcę na plebanji.

Po odprawionych uroczystych nieszpórach i nabożeństwie majowym, podczas którego naukę wygłosił ks. prof. Ciepłak, odbył się na plebanji obiad na kilkudziesięciu osób, w którym, oprócz duchowieństwa, wzięli udział reprezentanci władz oraz liczni przedstawiciele parafji kronstadtzkiej. Po obiedzie, JE. w towarzystwie ks. proboszcza, kilku kapłanów i parafjan, zwiedził miejscowy cmentarz katolicki, położony o pięć wiorst od miasta, tuż nad zatoką Fińską, obok cmentarzy innych wyznań. Po środku wznosi się dość obszerna kaplica pogrzebowa z ołtarzem wewnątrz. Dużo już na tym cmentarzu znajduje się mogił, dużo nagrobków, a wszystkie prawie z rzewnemi, rodzimemi napisami. Tak kaplica, jak cmentarz we wzorowym utrzymaniu porządku.

Najazutrz, o g. 9 rano, w szalenie zapelnionym kościele, JE. miał cichą mszę św., podczas której rozdawał licznym pobożnym komunję św. O g. 10 ks. kanonik Kluczewski, jako w dzień urodzin Jego Cesarskiej Mości, odprawił uroczystą wotywę, po której JE., przybrany w szaty pontyfikalne, odprawił modły za Dom panujący. Bezpośrednio zaraz JE. udzielił w dalszym ciągu Sakramentu Bierzmowania, a w końcu wygłosił podniosłą treść mowę, w której zachęcał parafjan kronstadtzkich do wiernej służby Bogu, do spełniania obowiązków chrześcijańskich, do wierności Kościołowi św. Wreszcie ze słowami: «Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — bądźcie zdrowi i szczęśliwi» — opuścił kościół.

Nastąpiła jeszcze wizytacja ochronki, znajdującej się przy kościele. Założona i utrzymywana zabięgiwością i staraniem ks. proboszcza, daje możność ubogiej dziatwie katolickiej, ugruntowania się w zasadach wiary i zaznajomienia się z najpierwszymi wiadomościami, potrzeb-

nemi w życiu. Dzielną pomocą ks. proboszczowi w prowadzeniu ochronki są cztery panie z miejscowej inteligencji, które gorliwie do zubożonego dzieła wychowywania młodych dusz się przyczyniają. Obecnie do ochronki uczęszcza 64 dzieci, chłopców i dziewcząt. JE. na wstępie powitany został śpiewem i wierszem, wygłoszonym przez jedną z dziewczyn. W odpowiedzi JE. przedstawił dziatwie doniosłość dobrodziejstwa, jakie otrzymują, zachęcał do nauki i dobrego postępowania, a ks. proboszczowi i jego pomocnikom błogosławił i dziękował za lożone przez nich prace i poświęcenie. Następnie JE. szczegółowo egzaminował dzieci z religii i innych przedmiotów, i opuścił szkołę z wielką pociechą swego serca.

O g. 6 wiecz. na parostatku rządowym «Petersburg» odpłynął do Petersburga. Na przystań odprowadziła JE. gromadnie cała prawie ludność katolicka.

X

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE.

Urzędowe.

× Dn. 8 maja o godzinie 6 wiecz. w pałacu Aleksandrowskim w Carskim-Siole, przybyła z Francji *deputacja* stowarzyszenia *kawalerów medali zasługi wojennej*, miała zaszczyt doręczyć Najjaśniejszemu Panu adres, szpadę honorową i album z podpisami uczestników. Przewodniczący deputacji, p. Robinet de Clairi odczytał adres z wyrazami wdzięczności za odwiedziny Francji. «Najwyższem pragnieniem naszym — tak kończy się adres — byłoby służyć pod polaczone chorągiewami Rosji i Francji i iść na placu boju za Cesarzskimi orłami i drogą naszą chorągwią trójkolorową, które się złączyły ku chwale dwóch narodów i ku obronie celów podniosłych». Najjaśniejszy Pan odpowiedzieć raczył w te słowa: «Z przyjemnością przyjmuję pozdrowienia kawalerów Legji honorowej i znaku zasługi wojennej — wpłynę one na wzmocnienie uczuć Moich dla armji francuskiej, którą znam i kocham. Oświadczcie kolegom swoim we Francji wyrazy sympatji Mojej i podziękowania».

× W «Praw. Wiest.» ogłoszono Ukaz Najwyższy o *odszkodowaniu obywateli* pow. walkowskiego i bogoduchowskiego gub. charkowskiej, oraz pow. konstantynogradskiego i połtawskiego gub. połtawskiej, których majątki uległy zniszczeniu i zrabowaniu podczas *napadów włościan* w ostatnich czasach. Na ten cel asygnowano z sum kasy państwowej 800 tysięcy rubli, które mają być podzielone między poszkodowanych przez komisje czasowe, utworzone, pod przewodnictwem gubernatorów obu guberni, z marszałków szlachty gubernialnych i członków zarządu skarbowego i włościańskiego. Suma powyższa ma być następnie *ściągana w postaci podatku dodatkowego z tych gromad wiejskich*, których członkowie brali udział w rozruchach; wysokość tego podatku ma być określona przez wyżej wzmiankowane komisje, a ściąganie jego rozpocznie się już w drugiej połowie r. b.

× Na raporcie kostromskiego gubernatora o działalności ziemskich składów

rolniczych w r. 1900, Jego Cesarskiej Mości spodobało się zrobić następującą adnotację: «*Spodziewam się, że będą się rozwijać i nadals.*»

× Rozkazem Najwyższym wice-dyrektor departamentu podatków stałych w ministerstwie skarbu, r. st. *Mikołaj Brzeski*, został mianowany zarządzającym sprawami fińlandzkiej Jego Cesarskiej Mości kancelarii.

× Minister spraw wewnętrznych postanowił *zawiesić wydawnictwo* dziennika «Saratowskij Dniwnik» na dwa miesiące.

× Naczelnikiem zarządu spraw prasowych zamianowany został senator, r. t. *Zwieriew*.

× Dyrektor departamentu policji, rz. r. st. *Zwołański*, został mianowany senatorem i radcą tajnym. P. o. prokuratora charkowskiej izby sądowej, rad. kol. *Lopuchin*, objął urząd p. o. dyrektora departamentu policji i otrzymał rangę radcy stanu. Liczy 38 lat.

× Minister skarbu S. J. Witte zawiadomił telegraficznie rząd francuski, że Jego Cesarska Mość ofiarować raczył 250 tys. fr. na rzecz ofiar ostatniego wybuchu wulkanu na Martynice.

Ogólne.

× Dowiadujemy się, że dalsze debaty w Radzie państwa nad sprawą *wprowadzenia ziemst* do Kraju zachodniego, odłożono do kadencji jesiennej.

× Zjednoczona sesja komitetu ministrów i departamentu ekonomji Rady państwa przemianowała Towarzystwo budowy i eksploatacji kolei podjazdowych w Królestwie Polskiem na «*Tow. kolejek nadwiślańskich*» i zezwoliła rzeczonemu Towarzystwu wykupić kolejkę Marecką od obecnych właścicieli za 915 tys. rb.

× Wkrótce mają być wypuszczone w obieg przygotowane w petersburskiej mennicy *złote 25-rublowe monety*.

W Petersburgu.

— *Deputacja*. Do Petersburga przybył prezes rosińskiego Tow. roln., p. L. Kontym, który wraz z członkami tegoż Tow. jen. A. Babińskim i d-rem M. Strawińskim, ma w charakterze deputacji od Tow. rosińskiego podjąć u władz odnośnych starania, celem połączenia linją kolejową st. Szostakowo drogi Pet.-Warszawskiej z Radziwiłszkami, kolei Libawskiej. Odnośna ta, długości 150 w., ma na celu skierowanie części ładunków zbożowych i innych na Libawę i Windawę, zamiast, jak dotąd, do pogranicza pruskiego. Ze względu na grożące rolnictwu naszemu podniesienie cel niemieckich, ma to donośne znaczenie.

— *Rz.-kat. Towarzystwo dobroczynności w r. 1901*. Wyjmuje z ogłoszonego niedawno sprawozdania kilka dat i faktów, świadczących o stałym rozwoju tej poważnej instytucji. Liczba członków równa się 619. Ilość zakładów dobroczynnych i kuratorów wzrosła do 12 i obejmuje: przytułek dla chłopców ze szkołą rzemiosł, przytułek dla dziewcząt z nauką szyć i rękodziel, przytułek dla starców, przytułek dla małych, komitet zarządzający specjalnym funduszem dla pomocy młodzieży, uczącej się w wyższych zakładach naukowych, kółko pomocy uczącej się młodzieży, kółko niesienia pomocy uczniom szkółki elementarnej, tania kuchnia, dom pracy, komitet strzeżenia zajęć, kuratorium lekarskie, kuratorium pomocy prawnej. Z pomocy Tow. dobroczynności korzystało w r. z. ogółem 2,274 osoby. Obrót pieniężny Tow. wraz

z jego wydziałami stanowił: dochód 199 tys. rb., rozehd 174 tys. rb. Fundusze Tow. w kapitalach i nieruchomościach wynoszą 442 tys. rubli. Przypominamy, że ogólne zgromadzenie członków Tow. odbędzie się w sobotę 18 maja, w bibliotece kościelnej, o godz. 8 wieczorem.

— *Jubileusz*. D. 12 (25) maja inżynierowie-technolodzy, dawni uczniowie zasłużonego profesora Instytutu technologicznego, Hipolita Jewniewicza, zebrałi się, aby uczcić długoletnią pedagogiczną i naukową działalność naszego rodaka. Odczytano adres, w którym, między innymi, zaznaczono, że zebrany został kapitał, od którego procent przeznaczono na nagrody im. prof. Jewniewicza za najlepsze dzieła techniczne. Z Warszawy w charakterze delegatów od zamieszkałych tam techników przybyli inżynierowie: G. Kamieński i A. Kuczyński.

— *Tow. słowiańskie*. D. 12 (25) maja, na uroczystym zebraniu członków słowiańskiego Tow. dobroczynności, senator A. A. Naryszkin wygłosił mowę, w której zaznaczył, że główny cel Towarzystwa polega na udzielaniu pomocy młodzieży słowiańskiej, poszukującej wykształcenia w Petersburgu. Jakkolwiek ostatnimi czasy dały się zauważyć pewne sympatje zachodnio-europejskie dla Rosji, jednak mówca mało im przypisuje znaczenia, a natomiast podnosi wysoko znaczenie sympatji, wzbudzonych przez Rosję wśród słowian. Według jego słów, jeżeli Rosja stanie na wysokim poziomie, wtenczas wszystkie narody słowiańskie będą się starały o jej opiekę. Następnie prof. Budilowicz skreślił zasługi dawnego kuratora okręgu naukowego wileńskiego, Koruliwa, który za panowania Aleksandra II starał się „o wyzwolenie myśli rosyjskiej z pod jarzma wpływów zachodnio-europejskich“.

— *Zarząd prasowy*. Nowomianowany naczelnik głównego zarządu spraw prasowych, p. Zwieriew — jak podaje „Now. Wr.“ — w charakterze towarzysza ministra przy zmarłym N. P. Bogolepowie, był zwolennikiem projektowanych reform szkolnych, których konieczność wskazało życie, i w ciągu 1898 do 1901 r. przeprowadził wiele zmian w sprawach szkół. Jest on autorem wielu rozpraw z zakresu polityki i prawa państwowego.

— *Dni francuskie* wywołały ruch tłumów na ulicy, ciekawie przyglądających się gościom zagranicznym, którzy wnieśli ze sobą znaczne ożywienie do zazwyczaj spokojnego miasta. Naczelnik stolicy polecił władzom policyjnym spokojnie, uważnie i uprzejmie uprzedzać możliwe przy wielkim tłoku wypadki. Zarazem dozwolona była nliczna sprzedaż rozetek, chorągiewek i t. p. przedmiotów, mających związek z uczczeniem prezydenta, i polecono pozostawić bez skutku sporządzone początkowo przez policję protokoły o pociągnięciu sprzedających do odpowiedzialności. Wspominając o przyjęciu francuzów w Petersburgu, redaktor „Grażdanina“ pisze: „W kółkach inteligencji zdarzyło mi się słyszeć, jakoby przyjęcie sojuszników-przyjaciół tym razem było chłodniejsze, aniżeli za bytności Faure'a. Czy to prawda, nie wiem, ale przekonałem się na ulicach, że sympatje francuzkie wśród mas ludowych oraz młodzieży tym razem objawiały się tak samo demonstracyjnie, jak i dawniej, francuzcy zaś majątkowie mieli ciężkie przejścia z powodu rozgorzałego entuzjazmu ludowego“.

— *Podziękowanie*. Redaktor dziennika „Now. Wr.“, p. Suworin, jako prezes utworzonego na przyjęcie dziennikarzy francuzkich komitetu, otrzymał od redaktora dziennika „Figaro“ list z podziękowaniem za gościnność w Petersburgu. „Razem — głosi list — pracujemy nad pięknym zadaniem co-rzaz ścisłego zjednoczenia duszy rosyjskiej oraz duszy francuskiej. Jednocześnie z tem służymy też cudnej dążności wzajemnej dwóch narodów oraz kombinacjom mądrej polityki“. List ten nosi podpis:

„Gustaw Calmette, główny redaktor „Figaro“, npełnomocniony przez prasę francuzką, która zebrała się w Petersburgu“.

— *Konserwatorjum*. Pisząc o ostatcznym egzaminie majowym w konserwatorjum, w którym w roku obecnym pobierało nauki 905 osób, „Now. Wr.“ podkreśla mocno talent kompozytora, p. Witolda Maliszewskiego i śpiewaczki, p. Kolankowskiej.

— *Łódź*. Dotychczas jeszcze jezioro Łódoga pokryte jest w znacznej części wielkimi krami lodowemi, które wiatr spędził w okolice wyspy Walsamskiej. Pierwszy parowiec, który miał tam udać się z Petersburga d. 12 (25) maja, został wstrzymany, gdyż niebezpiecznieby ma było przedzierać się przez kry, tam nagromadzone.

POLITYKA ZAGRANICZNA.

Z TYGODNIA.

Cesarz Wilhelm miał mowę, w której nie wspominał ani o nieustraszonosci pruskiej, ani o pięści opancerzonej, ani o połamaniu zębów, które próbowałyby ukąsić granitową epokę potęgi germańskiej. Powiedział tylko przedstawicielom ludności alzacko-lotaryńskiej, że zdawna miał świadomość potrzeby wykreślenia tak zwanego paragrafu o dyktaturze z ustawy o zarządzie Alzacji i Lotaryngji, ale urzeczywistnieniu jego zamiarów stały na przeszkodzie dwa powody. Po pierwsze cesarz chciał zjednać sobie miłość i wierne przywiązanie poddanych i ufność ksiąząt rzeszy, powtórnie przekonać cudzoziemców, że nie dąży do zdobycia laurów wojennych, ale jedynie do utrzymania pokoju. Dziś przeszkody te znikły, i cesarz śpieszy dać alzaczycykom dowód swej łaski i zaufania. Ustrój zdobytych na Francji prowincyj określała dotąd ustawa 1879 r. Kraje te nie zostały równouprawnione z innymi krajami rzeszy, stanowią jej prowincje, zarządzane przez namiestnika, któremu podlegają zostające pod zawiadywaniem sekretarza stanu departamenty spraw wewn., sprawiedliwości i wyznań, skarbu, przemysłu, robót publicznych i rolnictwa. Władza ustawodawcza należy do rady związkowej rzeszy i do parlamentu cesarstwa. Paragraf o dyktaturze opiewał, że cesarz mógł sam stanowić dla kraju ustawy tak w czasie nieczynności parlamentu, jak za zgodą wydziału alzacko-lotaryńskiego.

Odłam prasy niemieckiej zestawia mowę cesarską w Urville z zarządzeniami, dotyczącymi wschodnich prowincyj pruskich, i zaznacza, że złożenie sejmowi wniosku co do kredytu 250 milj. marek na kolonizację germańską w ziemiach polskich, poprzedzała narada ministrów pruskich w obecności cesarza Wilhelma. Kiwają więc w stronę polaków pisma niemieckie, wskazując na przykład alzaczyców i powtarzając: «oto nagroda lojalności i szczerego zniemczenia się». Ale alzaczycy niemczyć się nie potrzebowali, ponieważ od wieków byli etnograficznie niemcami, politycznie zaś są, tak samo, jak polacy poznańscy, obywa-

telami państwa, w którego granicach mieszkają.

Po hr. Goluchowskim, włoski minister spraw zagranicznych, p. Prinetti, któremu tak przyjaciele, jak wrogowie przypominają jego dawne ogniste broszury przeciwko przyjaźni z Austro-Węgrami i Niemcami, chwalił trójprzymierze śród-europejskie, «dzięki któremu Włochy pewne być mogą, że nawet po za tem przymierzem nie utworzy się żadna kombinacja na ich niekorzyść na półwyspie Bałkańskim, i że gdyby, wbrew woli Włoch i ich dbałości o pokój, *status quo* zostało zburzone, nikt nie odważyłby się zagrozić pięknej Italji drogi do jej słusznych celów». Zaznaczył dalej p. P., że traktat trójprzymierza nie zawiera nic zaczepnego względem Francji, i że wobec tego nie stoi na przeszkodzie rozwijaniu się najserdeczniejszych stosunków pomiędzy dwiema siostrami łacińskimi. W ogólności p. P. przedstawia sobie przyszłość w najróżowszem świetle. Na widnokręgu jasność sama, żadnej chmury nie dojrzeć — mówił minister. Szkoda, że proroctwa polityczne jeszcze mniej warte od proroctw meteorologicznych.

W Ameryce święto. W dniu 24 maja w Waszyngtonie odsłonięto wobec przedstawicieli Francji pomnik jenerała Rochambeau, który na czele wojsk sprzymierzeńczych króla chrześcijańskiego walczył obok żołnierzy Washingtona o niepodległość Stanów amerykańskich i w bitwie pod Yorktown wraz z amerykańkami zmusił do kapitulacji armję angielską jen. Cornwallisa. Na bankiecie uroczystym prezydent Roosevelt stwierdził w swym toaście, że Francja zawsze drogą będzie sercom amerykańców, ponieważ jej synowie walczyli obok nich w wojnie wiekopomnej, która położyła podwalinę dzisiejszego ustroju Stanów Zjednoczonych.

Szczęśliwe pomysły miewa cesarz Wilhelm. Oto w chwili, gdy Ameryka dobrowolnie oddaje kubańczykom zdobytą na hiszpanach ich wyspę, gdy przed opuszczeniem jej jenerał Wood własnoręcznie na gmachu rządowym w Hawanie zawieszają flagę niepodległej rzeczypospolitej kubańskiej, gdy w Waszyngtonie odsłania się pomnik Rochambeau — z Berlina wyprawia się za Ocean w darze dla Stanów Zjednoczonych pomnik Fryderyka II. Prezydent Roosevelt wprawdzie podziękował, ale w senacie amerykańskim pomysł daru spotkał się z ostrą krytyką. Senator Stevens oświadczył wprost, że Ameryka nie może przyjmować od cudzoziemców żadnych posągów, ani stawiać na placach swoich miast pomników królów europejskich. Za p. Stevensonem poszła prasa amerykańska, której redaktorowie — jak mówił niedawno cesarz Wilhelm — grają za Oceanem taką rolę, jak jenerałowie w Prusach, i nawet pisma niemieckie amerykańskie protestują przeciwko przyjęciu owego daru.

London gotuje się do święcenia spodziewanego z dnia na dzień pokoju w Af-

ryce południowej. Przystrajają się ulice i domy, ażeby w chwili, gdy upragniona wieść nadejdzie, ozdobić się flagami i zabłysnąć wieczorem rzęszkami światłami. Ale wieść nie nadchodzi, chociaż mnożą się oznaki bliższego poddania się stojącej jeszcze pod bronią boerów. Ich delegaci, po obradach w Vereeniging, pojechali do Pretorji i tu układają podobno warunki kapitulacji. Na gmachu rządowym w Pretorji wywieszono sztandar królewski. Ministerstwo wojny angielskie poleciło wstrzymać wysyłanie posiłków. Wieści stanowczej o pokoju niema wszakże dotąd, a w otoczeniu p. Krügera zapewniana, że nie będzie jej wcale. Zapomniano potrosze w Vereenigingu o starym prezydencie.

W Yemienie powstanie, zdaje się, wrze na wielką skalę. Gubernatorowie tureccy żądają gwałtownie posiłków, ażeby mieć conajmniej 100 tys. wojska dla wojny z arabami. Słychać, że jeden z najpotężniejszych szejków arabskich zamierza ogłosić się następcą Mahometa i padyszachem muzułmanów, że emisariusze wodzów powstańczych agitują w Syrii, Egipcie, Mezopotamji i Indjach za przyznaniem przez ludy mahometańskie nowego padyszacha, i że w Ildiz-Kiosku konstantynopolitańskim panuje zaniepokojenie najwyższe, ponieważ, w razie opowania przez powstańców świętej Mekki, potężne moralnej sultana grozi nie wątpliwy upadek. A tu bank otomański nie chce forsusować Porcie pieniędzy na opłacenie zaległego od trzech miesięcy żołdu oficerom i żołnierzom.

Nowy Bismark chiński, Juanszikaj, dostał wymówkę za podpisanie konwencji z W. Brytanią co do budowy kolei żelaznych w Peczili. Na skutek protestu Rosji, wykreślono z tej konwencji ustęp, pozwalający na mianowanie naczelnikami kolei i sekcji oficerów angielskich. Przytaczając te wiadomości, „Times” uważa za stosowne zaznaczyć, że w sprawach chińskich W. Brytania nie jest wcale odosobnioną w obronie polityki otwartej bramy i zapobieżenia protektoratom nad rządem bogdychańskim.

J. M.

WIADOMOŚCI POLITYCZNE.

Francja. Prezydent ministrów wraz z całym gabinetem ustępuje ze stanowiska. Waldeck-Rousseau wręczył prezydentowi Loubetowi swoją dymisję przed odjazdem jego, uzasadniając ją tem, że spełnił program, jaki sobie wytknął przed trzema laty, obejmując rząd, i że stan jego zdrowia wymaga konieczności spokoju.

Austria. W obu delegacjach, austriackiej i węgierskiej, trwały w dalszym ciągu debaty nad polityką zagraniczną. Przeciwno trójprzymierzu wogóle i Niemcom w szczególności występował czech, Kramarz, który oświadczył, że państwa, które pomagały stworzeniu cesarstwa niemieckiego, po większej części żalują obecnie tego. Dzieluszycki poddał krytyce zagraniczną politykę Niemiec i politykę ich względem polaków. W delegacji węgierskiej występował wrogo przeciw trójprzymierzu członek stronnictwa niepodległości i klerykalnej partji narodowej.

Włochy. Królestwo włoscy przybyli do Neapolu na otwarcie wystawy rolniczej. Kiedy powóz królewski zatrzymał się, karany sądownie złodziej Guerio wrzucił do powozu dwa kamienie. Sprawcę zamachu aresztowano. Tłum wyprawił królowi entuzjastyczne owacje.

Dania. W drodze powrotnej z Petersburga, prezydent Loubet odwiedził króla duńskiego w jego stolicy. Organ duński „Tindet” zaznaczył, że Loubet pierwszy z rządzących Francją przybył z wizytą, i że odwiedzinom tym obce są wszelkie tendencje polityczne. Dzienniki angielskie zaznaczyły, że jest jeszcze jeden władca w Europie, który wiele, a dotąd nadaremnie, pragnie wizyty prezydenta francuskiego.

Rumunia. W d. 23 b. m. w całym państwie obchodzono uroczystości 25-letni jubileusz ogłoszenia niepodległości rumuńskiej.

Serbja. W Szabacu odbył się proces przeciw towarzyszom Alawanticza, który w d. 5 marca nisłował dopuścić się zdrady stanu. Jak wiadomo, Alawanticz zginął, aresztowano więc tylko jego towarzyszy. Świadkowie zeznali na sądzie, że Alawanticz przed śmiercią wymienił Karadzordzewicza, jako głównego sprawcę zamachu powstańczego. Sąd skazał towarzyszy Alawanticza na karę więzienia od lat trzech do piętnastu.

Transwaal. Przybyło do Pretorji kilku delegatów boerów, w tej liczbie znani przywódcy De-Wet i Delarey. Podobno boerowie nie żądają już nic, co by przeszkadzało zawarciu pokoju. Żądania niepodległości zaniechano, ponieważ niema nadziei, by je Anglja uwzględniła. Z warunków pokojowych, podanych w „Daily News”, zasługują na zaznaczenie następujące: termin przywrócenia samorządu nie może być obecnie określony, boerowie będą otrzymywali pozwolenie na noszenie broni, murzyni nie otrzymają równych praw z białymi, fundusze na odbudowanie ferm będą dostarczone przez angiolków. „Agencja Rentera” przestrzega przed zbyt optymistycznymi nadziejami w sprawie pokoju.

Kuba. W d. 20 maja skończyła się okupacja Kuby przez Stany Zjednoczone i nastąpiła uroczysta inauguracja republiki kubańskiej. Wojska amerykańskie zdjęły flagę Stanów Zjednoczonych, na której miejsce generał Wood ze strony amerykańskiej i generał Gomez ze strony kubańskiej, zawiesili flagę kubańską przy salwie z dział i prezentowaniu broni. Następnie generał Wood, otoczony sztabem, uroczystie oddał władzę w ręce prezydenta Kuby i z wojskiem amerykańskim opuścił wyspę.

KORESPONDENCJA REDAKCJI.

OD REDAKCJI.

W. Tad. R. List p. St. Skarżyńskiego w sprawie mowy Kościelskiego był zamieszczony w końcu numeru tylko dlatego, że przyszedł w chwili, kiedy numer był na ukończeniu. Na poglądy, wyrażone w tym liście, godzimy się najzupełniej. Uważamy go za doskonałe uzupełnienie zdania, które sami wyraziliśmy w N-rze 18 „Kraju”.

W. ny hr. Kr. w Ch. Z użytkowaniem nadstanej ustawy „Kasy zasłuż.” musimy się wstrzymać jeszcze czas pewien, za co przepraszamy.

W. T. D. Racja. Nazwisko hojnego zapisodawcy brzmi: *Probus Barczewski*, nie Barszczewski, jak błędnie wydrukowano w N-rze 19. Pieczętował się herbem Samson. Był ostatnim z rodu i obywatelem gub. podolskiej.

W. A. Osiecki w pow. Ih. Złotówka z r. 1832, zdaje się, należy do numizmatów dość pospolitych; o zetonie nic powiedzieć nie umiemy.

SPROSTOWANIE.

W N-rze 8 r. b., 12 str., 3 szpalta, ko- resp. z Pskowa, nazwisko pozłotnika po- winno brzmieć: Antoni Tęczyński.

W N-rze 18 „Czytelnia”, wo wstępie do noweli „Świecna panna”, nazwisko artysty teatru ludowego powinno brzmieć: *Karłowicz*, a nie *Kasprowicz*.

SKÓROWIDZ ADRESÓW.

Dr. CZESŁAW GRABOWIECKI, specjalista od chorób kobiec., osiadł w Mińsku, przyjmuje od g. 9—11 rano i od 5—7 popoł. Zacharzewska ul., d. Ponsa.

LEKARZ - DENTYSTA ALEKSANDER ZAWADZKI w Warszawie, Jerozolimska № 49, róg Marszałkowskiej.

KRONIKA.

Kościoł i duchowieństwo.

* Z Rzymu donoszą nam: Dzisiaj 24 b. m. zmarł tutaj, po dłuższej chorobie, w młodym jeszcze wieku, ks. Franc. Tarnassi, b. internuncjusz w Haadze, który przed kilku laty przeznaczony był w specjalnej misji do Petersburga, poczem podróż delegata apostolskiego została zaniechana. Ks. Tarnassi był poprzednio sekretarzem nuncjatury w Wiedniu przy nuncjuszu Galimbertim, i wtedy zawiązał stosunki z kilkoma polskimi rodzinami. Był to człowiek zdolny, wykwiintnej powierzchowności, władający kilkoma językami, przeznaczony niewątpliwie do wysokiej kariery dyplomatycznej. Wskutek postawy, jaką zajął rząd holenderski za wpływem rządu włoskiego, w sprawie niedopuszczenia przedstawiciela papieżkiego do konferencji pokojowej w Haadze, zwolanej za inicjatywą Cesarza Mikołaja II, internuncjusz Tarnassi opuścił Haag, i od tego czasu stosunki Stolicy Apostolskiej z Holandją były zerwane i dopiero teraz zaczęły się nawiązywać nanowo. Powiadają, że niepowodzenie to bardzo dotknęło internuncjusza. Niedawno jeszcze była mowa o wysłaniu ks. Tarnassi'ego, jako nuncjusza, do Monachjum, atoli w kole bliższych znajomych pralata wiadomem było, że choroba jego jest ciężką i niebezpieczną. W stosunkach prywatnych był ks. Tarnassi nadzwyczajnie sympatyczną osobistością. *Weryha.*

* Polacy amerykańscy wciąż zajęci są sprawą uzyskania dla siebie biskupów polskich. „Polak w Ameryce”, będący organem najzdrowszych żywiołów emigracji, twierdzi, że spełnienie tych żądań nie jest trudne; Niemcy katolicy otrzymali dwóch czy trzech arcybiskupów i kilkunastu biskupów własnej narodowości; również z dobrym skutkiem przedstawienia podobne do Stolicy św. czynili francuzi. Dziennik wyraża nadzieję, że uzyskawszy na początek paru polskich sufraganów, możnaby z czasem ująć polaków i na samodzielnych stolicach biskupich. Co do audytorjatu polskiego przy delegacji apostolskiej w Waszyngtonie, zaznacza „Polak w Ameryce”, że audytor byłby zależnym od delegata i musiałby oddawać mu sprawy polskie do rozstrzygnięcia. Wielkie znaczenie miałyby też polsko-amerykańskie kolegium, założone w Rzymie, a mogące rekrutować znaczną liczbę polskich alumnów.

* Znaczące wrażenie wywołała w Ameryce encyklika Ojca św. do episkopatu Stanów Zjednoczonych, wydana jako odpowiedź na holdowniczy adres tegoż episkopatu, a zaadresowana do kardynała Gibbonsa. W encyklice tej podnosi Ojciec św. z uznaniem swobody, jakich kościół używa

w Ameryce, chwali kler za gorliwą pracę około podniesienia duchowego indjan, i wyraża także nadzieję, że staraniem episkopatu będzie rozwinięta działalność przeciw sekciarstwu.

* „Kur. Warsz.” donosi, że w zeszytym tygodniu wyjechało z Warszawy trzema pociągami nadzwyczajnymi, na odpust Zesłania Ducha św. do Częstochowy 3 tys. osób, przeważnie ludu wiejskiego z Litwy. Pociągi wyruszyły w drogę przy śpiewach religijnych.

* Z Rzymu donoszą do dziennika „Temps”: „Ze względu na różne formalności i wymagania Watykanu, szach perski wyrzekł się pierwotnego zamiaru starania się o audjencję u Papieża”.

* W Kolonji zmarł d. 24 b. m. arcybiskup Simar.

Prawo i sądy.

** W dniu 10 b. m. w tutejszym Towarzystwie prawniczym p. M. Reincke miał odczyt o „obronie własności włościańskich w Królestwie Polskim”. W r. 1864 3,600 tys. dziesięcin ziemi przeszło na własność włościan z zakazem alienacji jej na rzecz nabywców innego stanu; od tego czasu przeszło 200 tys. dziesięcin zostało nabyte przez włościan za pośrednictwem Banku włościańskiego i te grunta podlegają tymże ograniczeniom alienacyjnym. Ze zaś pomimo to statystyka wykazuje wciąż wzrastającą ilość włościan bezrolnych lub małorolnych, konieczne są więc środki ustawodawcze ku zmniejszeniu ilości włościan bezrolnych, oraz mające na celu utrzymanie włościan przy ziemi i tamowanie zbytecznego rozdubiania gruntów. Ustawa z d. 11 czerwca 1891 r. ustanawia jako *minimum* rozdrobienia 6 morgów. Prelegent jest tego zdania, że należałoby ustanowić kilka takich norm, zależnie od warunków miejscowych. Ten środek jednak jest niewystarczający; należy też ustanowić *maximum* posiadłości włościańskiej, co usunęłoby spekulację ziemią.

** W Niemczech przystąpiono do opracowania projektu nowego kodeksu karnego. Mają być wzięte pod uwagę głoszone przez szkołę Fr. v. Liszta teorie o konieczności stosowania środków represji do zbrodniarzy, uznanych za niepoczytalnych, oraz o zastosowaniu środków wychowania moralnego do zbrodniarzy, na których poprawę rachować można. Ma być też wprowadzone skazanie warunkowe.

** K. Albertyński i Łozińska oddali rozpoznanie swego sporu cywilnego sędziemu polubowemu p. Myszkowskiemu, który wydał wyrok w d. 6 września 1894 r. Łozińska, niezadowolona z wyroku, przerosła sprawę do sądu okręgowego grodzieńskiego, oświadczając, iż p. Myszkowski nie posiada wcale języka rosyjskiego, że wyrok został zredagowany i napisany w tym języku przez niejakiego Jacobsona i że w d. 6 września 1894 roku przed sędzią żadnego postępowania nie było. Wobec tego sąd uznał wyrok sędziego polubownego za nieważny, a Izba sądowa wileńska decyzję tę zatwierdziła. Albertyński wniósł skargę kasacyjną. Senat jednak jej nie uwzględnił. Decyzja ta Senatu potwierdziła tylko tę ogólną zasadę, że wyrok nie może być ferowany w języku, którym sędzia nie włada.

** W tych dniach departament kasacyjny Senatu debatował nad pytaniem, czy użytkowanie samowolne i potajemne toku elektrycznego z cudzych drutów może być uważane za kradzież. Senat pytanie to rozstrzygnął twierdząco. Decyzja ta ma niewątpliwie zasadnicze znaczenie dla towarzystw oświecenia elektrycznego. Kwestja ta przed kilku laty była już rozpoznawana przez sąd Rzeszy w Niemczech, który ją zdecydował wręcz przeciwnie, uznając, iż energia elektryczna nie ma cech „rzeczy” czy „przedmiotu”, które tylko mogą być objektem kradzieży. Ten wyrok sądu wywołał całą literaturę, przyczem

większość prawników oświadczyła się za jego słusnością. Senat stanął na stanowisku bardziej utilitarnym niż sąd niemiecki.

** W Samarze w roku przeszłym po Wielkanocy chłopey, łowiąc ryby, wyciągnęli z wody pakiet listów, który złożyli w urzędzie pocztowym Śledztwo stwierdziło, że było tam około 90 biletów z powinszowaniami świątecznymi, i że pakiet ten rzucili do wody dwaj listonosze. Ci przyznali się prócz tego, że w podobny sposób pozbyli się jeszcze jednego pakietu, złożonego z 100 biletów, zaadresowanych do różnych osób. Sąd skazał listonoszów na 8 miesięcy więzienia. Piszący o tem korespondent „Birz. Wied.”, uznając słusność wyroku sądowego, zwraca jednak uwagę sfer pocztowych na to, że listonosze otrzymują w Samarze tylko po 17 rb. pensji; o ile zaś, szczególnie podczas świąt, są obciążeni pracą, można wnieść choćby z tego, że jeden ze znajomych korespondentów uznał za potrzebne rozesłać na święta aż 700 biletów z powinszowaniami!

** Niejaki Ingistow nabył znaczny majątek ziemski w gub. wołyńskiej, nie zapłacił jednak w terminie raty Banku ziemskiego i majątek wystawiono na sprzedaż; na licytacji utrzymał się Giżycki, który opłacił zaległą ratę i przyjął dług bankowy. Po 9 latach Ingistow wytoczył Bankowi ziemskiemu sprawę o straty, na tej podstawie, że w dniu licytacji Giżycki nie miał świadectwa jen. - gubernatora na kupno majątku, więc Bank powinien był go usunąć od licytacji; sąd żytomierski powództwo to odrzucił.

** Moskiewski sąd okręgowy rozstrzygnął sprawę z powództwa skarbu o 3,600 tys. rb. przeciwko S. I. Mamontowowi i opiekę po zmarłym Arcybuszewie. Z rozkazu Najwyższego sprawa winna być umorzona, jeśli pozwani zrzekną się wszelkich pretensyj. Ponieważ pełnomocnik Arcybuszewa żądane go zrzeczenia się nie podpisał, przeto został wydany nowy rozkaz Najwyższy, umarzający sprawę. Pretensje spadkobierców Arcybuszewa sąd—według doniesienia „Now. Wrem.”—uchylił.

** We Władywostoku okręgowy sąd wojenny rozpatrywał na zasadzie praw, obowiązujących w czasie wojny, sprawę bandy rozbójniczej, która grasowała w okolicy Władywostoku i Nikolska, szercząc tam mordercy. D. 5 (18) maja wydano wyrok, skazujący hersztą Andrejewa i sześciu jego towarzyszy na karę śmierci przez powieszenie. Trzech oskarżonych uniewinniono.

Szkoły i młodzież.

** Zarządzający ministerstwem oświaty G. E. Zenger w ostatnim okólniku daje wskazówki w sprawie zniesienia egzaminów przejściowych. Według związanych z tem przepisów, zajęcia w szkołach średnich powinny się kończyć nie wcześniej, jak 20 maja (2 czerwca). Przedłużenie tego terminu, acz pożądane, powinno być zależnem od połączenia w danej szkole zajęć z egzaminami wstępnymi i patentowemi. Nowe przepisy promowania uczniów bez egzaminów przejściowych, ale jedynie na zasadzie średnich stopni rocznych, nie obejmują klasy przygotowawczej, z której do klasy I zdawać należy egzamin konkursowy narówni z kandydatami postronnymi. W r. b. na egzaminach przejściowych i patentowych nie będą dawane ćwiczenia piśmienne z języków starożytnych.

** Według opracowanego projektu, szkoły ludowe przekształcone będą w całym państwie, z wyjątkiem Kaukazu i Turkestanu. Pensje nauczycieli będą powiększone. W pierwszych trzech latach nauczyciele będą otrzymywali 100 rb. rocznie od rządu, w następnych trzech latach po 150 rb., a od 7—10 roku służby po 250 rb. rocznie. Po 10 latach służby nauczyciele będą otrzymywali awans na tak zwanych kierowników szkół; na jednego takiego kierownika będzie mogło przypadać co najwyżej 20 szkół. Po 15—20 latach służby na

stanowisku kierownika szkół, nauczycielom dawane będą inne lepsze zajęcia. Urzeczywistnienie powyższego projektu pochłonie 20 milj. rb. rocznie.

** Jeden z adjunktów instytutu w Nowej Aleksandrii, p. Piotr Szejman, wniósł do władz prośbę o pozwolenie na założenie w tej miejscowości w jesieni r. b. gimnazjum męzkiego prywatnego z prawami i planem nauk gimnazjów rządowych. Wpis ma wynosić 50 do 100 rb. Personel nauczycielski ma składać się z profesorów i nauczycieli instytutu rolniczo-leśnego, oraz progimnazjum żeńskiego. „Lub. Gub. Wied.” piszą, że gubernator lubelski zgadza się na otwarcie tego gimnazjum.

* Zastępca naczelnika trakcji kolei Wiedeńskiej, inż. A. Wasiutyński, mianowany został profesorem nadzwyczajnym Instytutu politechnicznego na katedrze sztuki budowlanej, w dziale konstrukcji żelaznych, z pozostawieniem w zarządzie kolei Warszawsko-Wiedeńskiej.

* Ministerstwo oświaty, zgodnie z wnioskiem kuratora warszawskiego okręgu naukowego, w celu zaprowadzenia lepszego nadzoru nad szkołami ludowymi, wydało polecenie, ażeby inspektorowie szkół ludowych obowiązkowo mieszkali w obrębie powierzonych ich nadzorowi szkół.

* Z Berlina donoszą do „Now. Wr.”, że Związek pangermański na obradach w Eisenach zaprotestował przeciwko przyjęciu przez Niemcy stypendjów, ustanowionych przez Cecylia Rhodesa dla studentów niemieckich w Oksfordzie.

Osobiste.

∞ W piątek 3 (16) b. m. po raz pierwszy w charakterze dziedzica przybył do Oblegorka na dni kilka Henryk Sienkiewicz, w celu obejżenia domu i gospodarstwa przed przeniesieniem się na stały pobyt, co niebawem ma nastąpić. Dom, a raczej pałacyk szesnastopokojowy, jest już zupełnie wykończony i posiada wszystkie nowożytnie udogodnienia: kanalizację, telefony, dzwonki elektryczne i t. p. Gospodarstwo puszczono w ruch podług nowego planu pod kierunkiem jednego z sąsiadów, p. Popławskiego.

∞ Przed paru dniami Jadwiga Łuszczewska (Deotyma) pierwszy raz, po 12-letnim nieopuszczeniu mieszkania, uczuła się dość silną, aby wyjechać na parogodzinną przejażdżkę po mieście. Znakomita nasza poetka udała się najpierw do kościoła Karmelitów, potem, po obejżeniu pomnika Mickiewicza i odwiedzeniu starego druba, Adama Phuga, objechała park Łazienkowski i złożyła wiązanek kwiatów przy posągu Sobieskiego, tego ulubionego swego bohatera.

∞ Znany antropolog, rodak nasz, dr. Julian Talko-Hryniewicz, autor wielu prac naukowych, bawi obecnie w Petersburgu. P. Hryniewicz mieszka stale w Troickosawsku na Syberji, obecnie zaś udaje się na wycieczkę naukową po Litwie i zagranicę.

∞ Eliza Orzeszkowa bawi obecnie w Warszawie, w przejeździe zagranicę.

∞ Hr. Michał Tyszkiewicz zrzekł się, z powodu choroby, godności prezesa wydziału starców i kalek warszawskiego Tow. dobroczynności, a jednocześnie zadeklarował 1,000 rb. na rzecz tejże instytucji.

Wypadki.

∞ O tragicznym wypadku donoszą gazety lwowskie. Obywatel pow. gródeckiego, p. Franciszek Stanek, człowiek zamożny i cieszący się ogólnym szacunkiem i zaufaniem współobywateli, zastrzelił żonę i troje dzieci, a potem sam sobie odebrał życie. Powodem samobójstwa była obawa przed gromzącą rzekomo całą rodzinę ruiną majątkową. Przynajmniej tak powody samobójstwa wyjaśnia Stanek w pozostawionym liście, zaznaczając, że zabija żonę i dzieci, aby nie skazywać ich na nędzę i na bolesne wspomnienia o ojcu-samobójcy.

∞ W Londynie, wobec tysięcy widzów, aeronautka, miss Brooke, wzniosła się ba-

lonem do wysokości 300 metrów, a następnie wyskoczyła z Łódki balonowej, uciepiona do spadochronu, który jednak nie otworzył się i nieszcześliwa runęła na ziemię, zmiażdżona zupełnie.

Sport.

> W nadchodzącą niedzielę rozpoczyna się sezon wyścigów na torze **Kołomyjskim** pod Petersburgiem. Tegóż dnia w Warszawie rozegrane będą „Derby“ i „Nagroda Cesarzowa“.

> W tygodniu zeszłym odbyły się trzydniowe wyścigi w Wilnie. Na czele były konie hr. Ledóchowskiej, pp. Salmonowicza, Kiersnowskiego i Gnońskiego. Na wakujące po śmierci ks. Michała Ogińskiego, stanowisko wice-prezesa Tow. wyścigów powołany został brat jego, ks. Bohdan Ogiński.

BIURO INFORMACYJNE

PRZY REDAKCJI „KRAJU“

udziela odpowiedzi na zapytania czytelników, mające charakter ogólniejszy i dotyczące stosunków administracyjnych, prawnych, społecznych, ekonomicznych i t. p.

1163. (W. Al. Ort. w Lim. i inni). Ustawa o kursach technicznych, o której wspominał nasz referent ekonomiczny w N-rze 13 „Kraju“, została ogłoszona dopiero d. 8 maja w N-rze 45 „Sobr. Uzak.“ Ustawa nadaje ministrowi skarbu prawo otwierania kursów i warsztatów wzorowych technicznych i rzemieślniczych przy fabrykach, zakładach przemysłowych i t. p., na koszt tych zakładów lub instytucji społecznych, czy prywatnych, w ramach za wyjątkowych i na koszt skarbu. Nauka odbywa się bezpłatnie; mogą być otwierane też, za zgodą ministerstwa oświaty, i kursy przygotowawcze z przedmiotów ogólnych. Na czele warsztatów wzorowych stoją kuratorowie honorowi, wybierani przez założycieli i zatwierdzani co 3 lata przez ministra; oni wybierają zawiadowców warsztatów z pomiędzy osób, które skończyły co najmniej niższe szkoły techniczne czy rzemieślnicze; zatwierdza ich wice-minister skarbu do spraw handlu i przemysłu. Przełożonych kursów wybierają założyciele, a zatwierdza inspektor fabryczny. Naukę w warsztatach fabrycznych mogą pobierać uczniowie obojga płci i wszystkich wyznań, w zakładach jednak, utrzymywanych na koszt prywatny, mogą być pod tym względem na żądanie założycieli, za zgodą ministra, wprowadzone pewne ograniczenia. Przepisy szczegółowe dla kursów i warsztatów muszą być opracowane stosownie do potrzeb miejscowych i zatwierdzone przez ministra skarbu.

1175. (W. A. A. E. w Czer). Włościanie niezawodnie mogą zyskać prawo własności do gruntów dworskich na mocy przedawnienia; za chwilę, od której należy obliczać termin przedawnienia, należy uważać jednak nie moment uwłaszczenia lub wykupu, ale jedynie wydanie im t. zw. „dannej“ (aktu nabywczego) na grunta nadane, bo dopiero od tego czasu stali się oni właścicielami zupełnie samodzielnymi i niezależnymi od dworu. Tak właśnie wyjaśnił tę sprawę Senat w 2 wyrokach zasadniczych: Nr. 122 r. 1882 w sprawie włościan wsi Solotwinowa i Nr. 80 z r. 1891 w sprawie Józ. Morawskiego ze wsię Lawrówka, o których oczywiście wspominał panu.

ZAŚLUBINY I ZARĘCZINY.

D. 3 czerwca w kościele św. Krzyża w Warszawie, odbędzie się ślub p. Pawła Górskiego, syna ś. p. Konstantego i Julii z ks. Golicynów Górskich, z hr. Gabryelą Kossakowską, córką Stanisława i ś. p. Michałiny z Zaleskich hr. Kossakowskich.

DONIESIENIA.

NOWOŚĆ!!!

Do nabycia we wszystkich księgarniach:

„BANKI MYDLANE“

(z „Kurjera Warszawskiego“)

K. LASKOWSKIEGO (EL'A),

z przedmową d-ra Władysława Rabskiego.

Skład główny: Warszawa, księgarnia Wendego.

Tegóż autora:

tryptyk sceniczny wierszem

„POGRZEB“.

Nakładem i księgarni Dubowskiego w Warszawie.

„Engenjusz Oniegin“,

romans wierszem Aleksandra Puszkina, w przekładzie polskim Leo Belmonta, ukazał się w książkowym wydaniu drukiem W. L. Anczyca w Krakowie, nakł. Gebethnera i Wolfa. Skład główny w Warszawie u Geb. i Wolfa. W Petersburgu nabyć można w księg. Grendyszyńskiego.

Warszawski Zakład Ginekologiczny

Marszałkowska 45.

D-rów Boryssowicza, Brihla, Gromadzkiego, Jaskłowskiego, Kuniewicz, Natansona, Thiemego, Tyrchowskiego i Winawera, przyjmuje osoby, dotknięte chorobami kobiecymi, jako też spodziewające się słabości. Opłata dzienna od 1.50 do 5 rb.

Zakład leczniczy chirurgiczny

D-ra Solmana, Warszawa, Al. Szucha 9. Pobyć z leczeniem od 2 do 6 rb. dziennie.

REICHENHALL

w Bawarji.

PENSIJONAT POLSKI

MARJI BRYCHŁOWNEJ.

WILLA ELWIRA.

Urządzenia z komfortem; znakomita kuchnia polska. Ceny niskie.

Dr. F. Chłapowski

ordynuje od 1 maja do 1 września w Kissingen, Salinenstr. 21.

Dr. Leon Kryński,

profesor chirurgji uniwersytetu krakowskiego, mieszka przy ul. Foksal 16 w Warszawie i przyjmuje codziennie od godz. 5-6 pop.

Dla nerwowo chorych

dom zdrowia d-ra Dydyńskiego w Warszawie, ul. Bagatelki 26. W osobnej willi wśród ogrodów. Cena pokoju z leczeniem i wykwinu, utrzymaniem od 4-7 rb. dziennie. Umystowo chorzy wylęczeni. Stały lekarz.

Krawcowa, znająca się bardzo dobrze na krawieczyźnie damskiej, szuka miejsca na wyjazd na wieś. Łaskawe oferty: Petersburg, Zabałkański prospekt 63, m. 18. M. Z.

KOCHA

w Warszawie, Miodowa 2, można się dobrze tanio ubrać.

Do dzisiejszego numeru dołącza się Katalog dzieł, wydanych z zapemgi Kasy pomocy dla osób, pracujących na polu naukowym, imienia d-ra med. J. Mianowskiego.

NEKROLOGJA.

LISTA ZMARŁYCH.

† Bersohnowa Marja — w Warszawie. Chłudziska Kazimiera z Kosfińskich, 1.

74—w Warszawie. Gelert Antoni, emeryt, l. 81 — w Warszawie. Lewandowski Rudolf, radca Tow. kr. ziem., lat 69—w Warszawie. Ossuchowski Józef, l. 48—w Warszawie. Werner Teodor, obywatel i przemysłowiec, l. 66—w Warszawie. Bieliński Bolesław, stud. med., l. 22—w Nowem-Mieście nad Pilicą. Łęski Konstanty, obyw. ziemski, l. 62—w Mińsku. Sutkowska Zofia z Kossobudzkich, l. 83—w Dyblinie. Kamiński Ignacy, dr., burmistrz miasta Stanisławowa—w Delatynie. Stadnicki hr. Edward, l. 85—we Frańsie na Morawach. Kupiński Stanisław, dr.—w Petersburgu.

EKONOMISTA.

Z TYGODNIA.

(O kredyt dla drobnej szlachty. Fuzje zakładów przemysłowych. Rozdrabnianie akcji. Wytwarzanie nowego robotnika. Karsy i warszaty naukowe dla robotników.)

Z pomiędzy licznych wniosków, poruszonych w Tow. kred. ziemskim podczas trwających jeszcze wyborów do władz tegóż Towarzystwa, korzystnie wyróżnia się wniosek ziemian płockich, mający szersze znaczenie społeczne. Jest nim projekt, a właściwie prośba, skierowana do władz Tow. kred. ziem., o rozszerzenie kredytu na wieś drobnoszlacheckie. Tak jak dziś bowiem rzeczycy stoją, z kredytu w Tow. kred. ziem. korzystają tylko właściciele większych i średnich posiadłości ziemskich, oraz włościanie koloniści, którzy nadto, wraz ze wszystkimi innymi włościanami, mają otwarty kredyt w Banku włościańskim. Jedynie drobna szlachta, osiadła po wsiach, nie może z kredytu korzystać ani w Tow. kred. ziem., ani w Banku włościańskim. Posiadłość tej kategorii jest naogół około 60 tys., a mianowicie: w gub. siedleckiej jest ich 22 tys., w łomżyńskiej tyleż, w płockiej 10 tys. i w innych około 6 tys. Ogólny ich obszar wynosi 1,300 tys. morgów ziemi użytkowej, wartości najmniej 50 milj. rb., co stanowi poważny grunt dla operacji kredytowej. Kredytu zaś publicznego potrzebuje własność drobnoszlachecka konieczną zarówno dla spłaty uciążliwych długów prywatnych i działowych, jako też dla przeprowadzenia komasacji swoich rozdrobnionych w najwyższym stopniu gruntów. Na ten ostatni wzgląd wniosek ziemian płockich robi szczególny nacisk, upatrując—i słusznie—w zniesieniu szlachowic główny warunek podniesienia stanu gospodarki rolnej. To też Tow. kred. ziem. powinno nie tylko przyznać prawo do pożyczek tej sferze obywateli kraju, ale nadto wystąpić z czynną inicjatywą w sprawie ułatwienia komasacji tych gruntów, które, wzrastając przez to w cenie, dadzą samemu Towarzystwu większą ewikcję. Zanim zaś to nastąpi, grupy gospodarzy mogłyby się łączyć w solidarne stowarzyszenia.

Forma zrzeszania się nabiera popularności w czasach ostatnich, nie tyle, co prawda, jako zasada, ile jako środek ratunkowy pod wpływem coraz trudniejszych warunków bytu, zwłaszcza w dziedzinie przedsiębiorstw przemysłowych. Obok formy syndykatów, wysunął się obecnie na porządek dzienny pomysł «fuzji». Co to jest «fuzja»? Wedle okre-

slenia «Gaz. Handl.» jest to kombinacja dość prosta. Dwie lub kilka jednorodnych fabryk zamienia się w jedną. W tym razie fabryki gorzej umontowane, w gorszych warunkach położone, ulegają zamknięciu i po oszacowaniu wspólnego majątku, po dokonaniu stosownej repartycji wartości, tworzy się jedno nowe przedsiębiorstwo. Jeśli kombinacja jest dobrze pomyślana i dobrze wykonana, musi przynieść korzyści. Zniża bowiem wtedy nadmierny wysiłek konkurencji, wytwarza ulega prawidłowemu ustosunkowaniu do spożycia, uzyskuje się łatwość obrotów. Z tego też względu tam, gdzie istnieją warunki przychylne, droga fuzji jest dla przedsiębiorstw przemysłowych zupełnie właściwą.

Wręcz przeciwnie zapatruje się «Gaz. Losowań» na stosowany przez niektóre przedsiębiorstwa sposób zwiększenia środków obrotowych przez rozdrabnianie akcji. Powołując się na przykład Niemiec i Francji, gdzie minimalna wartość akcji, dość wysoka, jest oznaczona z góry, a mianowicie w Niemczech na 1,000 marek, a we Francji na 500 franków, «Gaz. Los.» tłumaczy to chęcią prawodawcy ograniczenia dostępu do akcji kapitałom drobnym. Istotnie akcja, jako przedmiot spekulacji, nie posiada «solidności», tak niezbędnej dla lokaty drobnoszlacheckiej. Ponieważ rozdrabnianie akcji sprzeciwia się tej zasadzie, przeto nie może być uważane za pożyteczne.

Jedną z przyczyn, która sprawia, że przedsiębiorstwa nasze z taką trudnością wytrzymują konkurencję z produkcją zagraniczną, bez względu na cla ochronne, tańszą dostawę i t. p. warunki, stanowią większe u nas koszta wytwórcze, spowodowane w pierwszym rzędzie przez małą produktywność naszego robotnika. Istotnie porównanie, przeprowadzone pod tym względem pomiędzy Rosją a Europą zachodnią, daje jaskrawy tego obraz. Na 1,000 wrzecion w przemyśle przedzalnicy Rosja zatrudnia 12-13 robotników, Niemcy 9, Anglja 6,5-8,5; w przemyśle tkackim w Rosji jeden robotnik obsługuje 2, czasami tylko 1 warsztat, w Anglii zaś 4, a w Ameryce nawet 6 warsztatów. Przyczyną tak małej wytwórczości robotnika w Rosji jest mała jego kulturalność, brak nie tylko technicznego, ale nawet ogólnego, elementarnego wykształcenia. Taż sama przyczyna sprawia, że w przedzalnicy angielskich dozorców niema zupełnie, w Rosji zaś na każde 4-6 tysięcy wrzecion musi być koniecznie specjalny majster, dozorujący robotników. Wskutek tego wydatki na administrację stanowią w Rosji 230 rb. rocznie na 1,000 wrzecion, w Anglii zaś 7 rb.

Podniesienie zatem poziomu umysłowego robotnika fabrycznego jest jednym z palących zadań naszego przemysłu. Podejmowane w tym kierunku próby rozbiły się o przeszkody formalne przy otwieraniu szkół, czy też kursów prywatnych. Ogłoszona w tych dniach Najwyższej zatwierdzona uchwała Rady państwa o technicznych i rzemieślniczych kursach i warsztatach usuwa ten szkolny, nie tylko ułatwiający procedurę otwarcia podobnych instytucji, ale zachęcający niejako przemysłowców do wstąpienia na drogę podniesienia oświaty wśród robotników. Nowe przepisy przewidują więc

otwieranie warsztatów naukowych dla dzieci robotników, i dla robotników nieletnich, od lat 12, oraz kursów technicznych i rzemieślniczych dla robotników dorosłych. Instytucje te zakładane być mają z inicjatywy i kosztem fabrykantów; ministerstwo zaś skarbu może im od siebie wyznaczać czasową lub stałą zapomogę. Nauka odbywać się winna bezpłatnie. Warsztaty powyższe i kursa podlegają dozorowi wydziału szkolnego ministerstwa skarbu.

J. G.

Nb. W N-rze 18 «Kraju» na str. 26, w tablicy bilansu handlowego Królestwa Polskiego wkradła się pomyłka, którą niniejszem prostujemy: wszystkie cyfry, dotyczące przemysłu włóknistego, nie wyłączając sumy ostatecznej, powinny być z kolumny lewej przeniesione do prawej, i odwrotnie. Przemysł ten dał nam bowiem 118 milj. rb. zysku, a nie straty.

TYDZIEŃ EKONOMICZNY.

Ogólne.

— Po ogłoszeniu depezy, że cesarzowa chińska udzieliła nagany dwom dostojnikom chińskim za podpisanie ugody z Anglią w przedmiocie kolei żelaznych, „Now. Wr.“ wyjaśnia, że zapewne chodzi tu o koncesję na linię między Pekinem a Kałganem, wzdłuż traktu handlowego rosyjsko-chińskiego. Dziennik krok ten ze strony Anglii uważa za wyzywający i pisze: „Naturalnie, musiało to pociągnąć za sobą protest postu rosyjskiego“. Ale, dodaje „Now. Wr.“, nagana owa, udzielona przez cesarżową chińską jej funkcjonariuszom państwowym, nie ma znaczenia, jeżeli nie nastąpi po niej umorzenie rzeczonyj umowy anglo-chińskiej.

— Przy Towarzystwie wzajemnej pomocy urzędników prywatnych we Lwowie utworzona została Izba załatwień dla rolnictwa, handlu i przemysłu, mająca za zadanie pośrednictwo w kupnie, sprzedaży i wydzierżawianiu majątków ziemskich, w nabywaniu maszyn rolniczych, sztucznych nawozów, w sprzedaży płodów rolnych i leśnych i t. p. Izba pozostaje pod kierownictwem p. R. Makarewicza, dyrektora Tow. wzaj. pom. urz. pryw., i p. L. Sigismunda, agronoma-fachowca, i ma na celu usunięcie pośrednictwa żywiolów niepowołanych, oraz zapobieżenie spekulacji. Część zysków Izby zasila fundusze bursy dla dzieci członków Towarzystwa.

— Wydział handlowy ministerstwa skarbu zwoluje zjazd przedstawicieli komitetów giełdowych, któremu złożone będą do rozważenia sprawy następujące: 1) o opracowaniu instrukcyj dla wyrokowania o tem, co to jest falsyfikacja produktów rolnych i kogo należy uważać za falsyfikatora (od rolnika do wywozowcy); 2) o nadaniu decyzjom i postanowieniom komitetów giełdowych siły obowiązującej dla każdego portu; 3) o wyznaczeniu przez miejscowe zgromadzenia giełdowe po jednym przedstawicielu do komisji rozjemczej w każdym z większych portów zagranicznych, przyczem obowiązkiem tych przedstawicieli ma być obrona interesów wywozowców rosyjskich; 4) o polepszeniu warunków wywozu; 5) o polepszeniu warunków miejscowego arbitrażu—i wiele innych.

— W Warszawie powstaje Towarzystwo ubezpieczeń weksli i długów, z kapitałem zakładowym 5 milj. rb. W Towarzystwie tem bierze udział, między innymi, kilka najpoważniejszych firm z Królestwa i Cesarstwa. W tych dniach odbędzie się ogólne zebranie, celem roztrząsania sprawy co do faktycznego wprowadzania tej poważnej instytucji w wykonanie. Dodac na-

leży, że podobne instytucje, również w poważnym zakresie, istnieją już w Anglii i Ameryce, i że należą do nich i niektóre firmy nasze. Towarzystwo, o którym mowa, zakreśliło sobie zadanie ubezpieczenia swoim członkom weksli ich klientów i wypłaca za nie całkowitą walutę w razie protestu. Członek Towarzystwa płaci stawkę ubezpieczeniową i bierze udział w zyskach — Magistrat królewiecki stara się o ułatwienia dla wwozu słoń z Rosji do Niemiec, i domaga się, żeby wolno było do miasta sprowadzać najmniej tysiąc sztuk tygodniowo. Niemiecycy agrarjusze opierają się temu, twierdząc, że wleprzwinę rosyjską zarażają różne bakterje.

— Jen. F. Rostkowski zwraca w „Intend. Żurn.“ uwagę na niezadawalną organizację dostawy produktów spożywczych dla wojsk, co może mieć fatalne skutki w razie mobilizacji. Jako przykład przytacza fakt, że zboże, zamówione w grudniu, dostarczone było dopiero w kwietniu roku następnego. Przyczynę tego zjawiska upatruje jen. R. w zbytnej centralizacji władz wojskowych; oprócz tego zaleca opracować plan dostawy produktów spożywczych równie szczegółowo, jak plan mobilizacji. Znaczne ułatwienie w dzisiejszym sposobie dostawy zboża upatruje jen. R. w wyzyskaniu składów zapasowych większych, zżąd w razie potrzeby intendentura mogłaby ziarno pożyczać, zwracając je potem w naturze.

— Komisja rządowa do spraw nowych kolei żelaznych rozpatrywała w tych dniach kilka projektów budowy tramwajów elektrycznych w okolicach Petersburga i zatrzymała się na następujących propozycjach: inż. P. Balińskiego, działającego w imieniu kapitalisty amerykańskiego Wenera i projektującego przeprowadzić kolej elektryczną od mostu Litejnego do budującego się w Leśnem instytucji politechnicznego, oraz pp. Norpe i Höfdinga, pragnących połączyć koleją elektryczną Petersburg z Imatrą, celem użytkowania w gospodarstwie jako źródła energii elektrycznej. Budowę obu tych linii komisja uznaje za pożądaną.

— Młynarze z południowej Rosji — jak donoszą „Nowosti“ — organizują syndykat z centralną rezydencją w Odesie. Celem usunięcia wszelkiej konkurencji ze strony młynów, które nie wejdą do syndykatu, zarząd tego ostatniego przeczynał pewną sumę na wyrugowanie konkurenta z rynku, jeżeli nie nastąpi porozumienie na innej drodze. Piekarzy, którzy będą nabywali mąkę nie od członków syndykatu, postanowiono pozbawić kredytu.

— Na wystawie hodowli inwentarza w Moskwie otrzymali nagrody następujący polacy: Dyplom honorowy za bydło Mikulicz. Medale złote: za bydło hr. Wielopolski oraz Daniel i Zygmunt Węclawowiczowie; za trzodę chlewną Kuczynska. Nagrody mniejsze przyznano: Rzewuskiemu, Gąrowskiemu, Rottowi, Szukście, Karpiowi oraz Antoniemu i Józefowi Budym.

— Znany rolnik i hodowca w Rosji południowej, bar. Stengel, ubezpieczył w tych dniach życie swoje w Towarzystwie „Equitable“ na sumę 400 tys. rb. Jest to jedno z najwyższych ubezpieczeń życia pojedynczej osoby w Rosji. Roczne premjum wynosi przeszło 20 tys. rb.

KRONIKA GIEŁDOWA.

Petersburg, 16 (29) maja. Uspokoienie w ciągu paru dni ostatnich wzmocniło się. Obroty ożywiołe. We środę placow. — banki: handl.-przemysł. 225, międzynarod. 230-333, dyskont. do 371, wółsko-kamski 985; walory naftowe: kaspijskie 4900-5000, bakijskie 443, udziały Nobla 10500, metalurgiczne: sormowskie 103-105, pudłowskie 64,5-65 (bez dywidendy, która w tym roku wynosi tylko 2 rb.), baltyckie 1025-1040. Pożyczki premjowe: I — 475-467, II — 363-365, III — 293,5-294,25. Renta 96,75.

Czeki: na Londyn 94 rb. 90 k. za 10 fut. est.; na Paryż 37 rb. 65k. za 100 franków; na Berlin 46 rb. 30 k. za 100 mar.; na Wiedeń 39 rb. 55 k. za 100 koron.

Warszawa, 24 maja. Uspokoienie mocne, pod wpływem obniżki gotowizny na rynku pieniężnym. Listy zastawne niemieckie 4/8-proc. 99-99,15; 4-proc.—

89,90. Listy zastawne m. Warszawy 5-proc. (w zaoferowaniu) — 100,35; 4 1/2-proc. (w transakcjach) — 94—94,05. Listy zast. m. Wilna 93,25. Z akcyj: Rudzkie podniosły się do 667,5, Starachowickie do 142. W zaoferowaniu: Lilpop po 1615, Tow. warszawskie ubezpieczeń od ognia 150. Akcje banków nominalnie: handlowego 382, dyskontowego 405, Łódzkiego 400, kupieckiego w Łodzi 260.

RYNKI ZBOŻOWE.

Na rynkach międzynarodowych usposobienie stańsze, wobec zapowiedzianych większych transportów ziarna z Ameryki. Płacono:

	Pszonica.	Żyto.	Owies.	Jęczmień.
W New-Yorku..	103,75	—	—	—
» Londynie..	103—104	—	115—116,5	82,25
» Berlinie..	127,25	112	123,5	—
» Hamburgu..	—	82,75	—	—

Na rynkach rosyjskich bez zmiany: obroty nieznaczne, tendencja spokojna. Płacono:

	Pszonica.	Żyto.	Owies.	Jęczmień.
w Kijowie..	90—92	62—64	85—87	—
» Odesie...	88	75	88	70
» Libawie..	—	83	98—104	—

CUKIER. W Kijowie — rafinada 5,30, mączka 4,50 — 4,55. W Odesie — rafinada 5,30 — 5,30; mączka 4,65 — 4,67. W Warszawie — rafinada I gat. 5,00, II gat. 4,95; mączka 4,45 — 4,55. W Petersburgu — rafinada Keniga 5,85 — 5,90; mączka 5,08 — 5,10. W Moskwie — rafinada 5,60 — 5,65; mączka 5,00 — 5,02.

MASŁO (kor. «Samopomoc») w Rydze — na wy-

wóz — I gat. 34—36 kop., II gat. 31—33 k., III gat. 28—30 kop. za funt.

Przy datach starego stylu podawana jest w nawiasie data nowego stylu. Daty nowego stylu podawane są pojedynczo.

Redaktor i Wydawca
Erazm Piltz.

Zawiadamiamy, iż Pan Cz. Kamiński upoważniony jest do przyjmowania w Petersburgu ogłoszeń do «Kraju». (4000)
Administracja «Kraju».

Do sprzedania

handel owoców, delikatesów i towarów kolonialnych, egzystujący lat 30, położony w najlepszym handlowym punkcie m. Warszawy, z powodu choroby właściciela, za 6,000 rb. Dochód roczny 6,500 rb. (1379)

Oferty dla A. B. Warszawa, Biuro Ungra, Wierzbowa 8.

Należców

(gub. lubelska) «Pension de Famille» Willa Widok (dawniej D-owej Benni), najbliższa Zakładowi, położenie wspaniałe, kuchnia higieniczna, w razie potrzeby opieka macierzyńska dla młodych osób. Sezon od 20 maja n. s. Pokój z całodziennym utrzymaniem, pościel i usługa od 2 rb. 50 kop. do 4 rb., zależnie od sezonu i pokoju. Osoby następne w tym samym pokoju dopłacają stale po 1 rb. 75 kop. obiady lub całodziennie utrzymanie dla przychodzących gości. Właścicielka z Rosjów Józefa Przyjemna. (1221)

Ciechocinek,

Pensjonat «Zachęta» Heleny Kuczalskiej przeniesiony do willi D-ra Wielowiejskiego, urządzonej wygodnie i wykwintnie, blisko łaźni, miejscowość sucha. Kuchnia staranna, dla jarosłów osobna, usługa mężka, opieka dla dzieci i młodzieży. Pianino, pisma, gimnastyka szwedzka, masaż na miejscu. Ceny od 2—4 rb. dziennie. Szczegóły za nadesłaniem marki. Warszawa, ul. Moniuszki 9, od 15 maja — Ciechocinek. (1285)

KAZIMIERZ SŁODZIŃSKI

KRAWIEC MĘZKI

(egzystuje od 1875 roku).

Petersburg, Grochowa, róg Sadowej № 34. (4374)

4-klasowy Zakład Naukowy Żeński JULJI JANKOWSKIEJ

w Warszawie, Nowogrodzka 58, (róg Leopoldyny).

Zapis uczennic przychodnich i pensjonarek stałych do klasy wstępnej, I, II, III odbywa się codziennie od godz. 10 do 12 rano i od godz. 4 do 6 po południu. (4378)

Wapno i Kamień wapienny



dla celów budowlanych, chemicznych i użytkowania ziemi. Dla celów rolniczych przewóz po specjalnie niższej taryfie. Dostawa wagonami akurata i śpieszna po cenach umiarkowanych.

Adres: A. M. TYKTIN

w Opocznie, gub. Radomska. (1373)

Dom Handlowy

Maszyn i instrumentów technicznych i mechanicznych
PEK I PREISFREIND.

Petersburg, Mała Morska № 13—8. Telefon 653. Adres dla depesz: — Peksfreind.

Poleca w dużym wyborze instrumenty ogrodnicze, przyrządy i maszyny, używane w ogrodnictwie, owocarstwie i t. d. Ilustrowany cennik wysyła się za 25 kop. markami pocztowymi. (4353)

W CUKIERNI NA DZIKIGAS. — Powiedzcie mi, Symcha, dlaczego ta chińska cesarzowa-wdowa nie wychodzi za mąż? Przecież to bardzo dobra partja jest! — Ja wam co powiem, Mojsie. Jak kilkunastu mężów stanu nie może jej dać rady, to wy chcecie, żeby jej jeden mąż dał radę?... (Mucha)

Profesor korpusu kadetów

pragnie wyjechać na wakacje, jako nauczyciel domowy lub mentor, do domu zamożnego. Warunki z ofertą nadsyłać: «poste-restante» Warszawa, za okazaniem pokwitowania «Kraju»: № 476. (1380)

PRZY NAJĘCIU LETNIEGO MIESZKANIA. — Podobno tu w waszej wsi strasznie głupi ludzie? Wejciech. A co najwazniejsze, że nikt mądry nie przybywo. (Kolec)

Po rb. 50, 55 i 60!

Piękne Serwisy Stołowe

na 12 osób, z najlepszej porcelany, ozdoby w piękne kwiaty, ręcznie malowane lub z monogramem, składające się z następujących przedmiotów: 36 talerzy płaskich, 12 głębok., 12 deser., 12 kompot., 12 par filiżanek do kawy, 12 par do herbaty, 1 waza, 4 półmisek owalne, 2 okrągłe, 2 do śledzi, 4 salaterki, 2 sosterki, 2 fyki do sosu, 1 kabaret lub kosz do owoców, 2 muszardniczek z tyżczkami, 2 solniczki, 2 masielniczki, 1 imbryk do kawy lub czajnik. Razem 121 sztuk. Serwisy fajansowe w dobrym gatunku, w kwiaty lub w piękne najnowsze desenie malowane, składające się ze 119 sztuk, po rb. 35; za dopłatą rb. 10, do serwisów tych dodaje się 86 sztuk szkła kryształowego. Serwisy do herbaty na 12 osób od rb. 6. Garnitury na umywalnie kolor. od rb. 3 k. 50. Wazony do kwiatów (Cachepot) w ogr. wyb. od rb. 2 za parę. Kosze do ciast, oraz wszelkie wyroby porcelanowe, szklane i fajansowe po cenach tak wyjątkowo niskich, sprzedaje wyłącznie Główny Skład i Manufaktura Porcelany, Szkła i Fajansu (1322)

Ryszarda Fijałkowskiego

w Warszawie, ul. Bracka № 20, w lokalu prywatnym na parterze od frontu. Uprasza się o zwrócenie uwagi na adres.

WITRAZE

francuskie naśladowa zupełnie szyby różnokolorowe dawniejsze — 150 deseni od 35 k. do 1 rb. 50 k. za metr długości (1 arsyz 6 w.); szerokość 1/2 metra, zawsze jednokolorowe. — Przyłożenie na szkło naryskowane. Kilkoletnia trwałość bez zmiany kolorów wypróbowana. Główny skład fabryczny: Magazyn francuski w Warszawie przy ulicy Hr. Berga 8. (1260)

SZYDŁOWIECKIEJ fabryki powołów, bryczek kantor i skład w Warszawie. Foksal 14, dom wł. Za sześć 7-kop. marek cennik ilustrowany. (1164)

W szkole 6-cio-klasowej realnej z klasą wstępną

E. KONOPCZYŃSKIEGO.

w Warszawie, przy ul. Aleksandrii 14.

Zapis kandydatów na r. 1902/3 odbywa się codziennie od g. 5 do 6 po południu, egzaminy zaś 4 (17) czerwca. (1376)

Zakład naukowy 6-cio klasowy z pensjonatem

PAULINY HEWELKE

Marszałkowska 122, w Warszawie. (1303)

SKŁAD MASZYN ROLNICZYCH I NASION

ALFRED GRODZKI

w Warszawie, ulica Senatorska № 33. (1180)

SKŁAD MASZYN, NARZĘDZI I NASION ROLNICZYCH

TADEUSZ KOWALSKI i A. TRYLSKI

Warszawa, Młodowa № 4. (1183)

Upraszamy szan. czytelników, aby zamawiając lub kupując przedmioty reklamowane w «Kraju», lub w ogóle korzystając z działy ogłoszeniowego, raczyli powoływać się na «Kraju», jako na źródło, z którego informacje swoje zaczerpnęli. Takie powoływanie się wpływa bowiem na rozszerzenie ogłoszeń «Kraju».

TOWARZYSTWO Wzajemnego ubezpieczenia od gradobicia

„CERES“

Warszawa, Szkolna № 6,

założone przez ziemian, ubezpiecza ziemiopłody od gradu w gub. Królestwa Polskiego, za opłatą tylko premji, bez wpisowego i wpłat na kapitał zapasowy. (1258)

TOMASZ ZANIEWICKI,

Warszawa, Senatorska № 19.

Telefon № 1389.

Egzystujący od r. 1895 hurtowy skład win Krymskich, Kaukazkich i Besarabskich, polca wina białe, wytrawne i słodkie, oraz czerwone w różnych gatunkach. Sprzedaż na butelki, baryłki i beczki. Cenniki i objaśnienia wysyła się na żądanie franco i gratis. (1087)

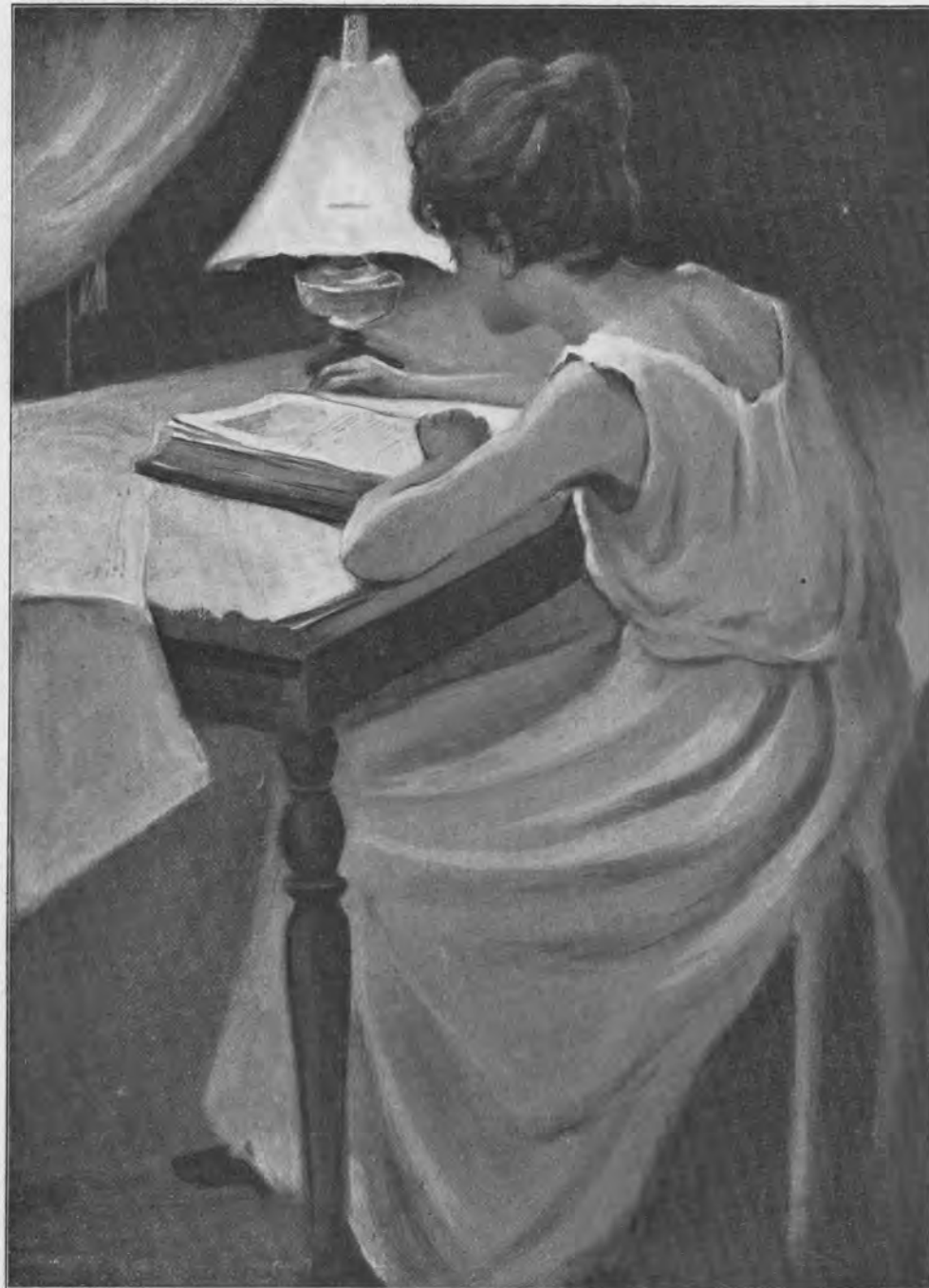
ŻYCIE I SZTUKA

PISMO DODATKOWE, ILUSTROWANE.

„Kraj“

Petersburg, 17 (30) maja 1902 r.

№ 20



„NAD KSIĄZKA“. Obraz STAN. KORZENIOWSKIEGO. ALBUM „KRAJU“.

NOWE

TOWARZYSTWO NAUKOWE.

Zdarza się czasem, iż w społeczeństwie odczuwać się daje jakaś potrzeba, i to stanowczo i wyraźnie, a nikt przez czas dłuższy nie potrafi odnaleźć właściwej formuły na zaspokojenie jej—i kiedy nareszcie ta formuła, po długim oczekiwaniu się zjawi, wszyscy doznają jakby uczucia ulgi, wszystkim przychodzi na myśl:

— Ot, co należało oddawna zrobić.

Tego uczucia doznał, tę myśl wyraził każdy, komu sprawy społeczne leżą na sercu, dowiedziawszy się o pomysł utworzenia u nas Towarzystwa naukowego, któreby z jednej strony oparło się na szerokich warstwach publiczności, interesującej się naukowymi sprawami, z drugiej—skupiło uczonych naszych, rozproszonych i, z powodu braku pomocy naukowych, marnujących się w większej części.

Utworzyć naukowe towarzystwo—pomysł jest, zdaje się, prosty. A jednak należało go powziąć, obgadać, ludzi wokoło niego skupić, zapewnić mu życzliwe poparcie władz miejscowych.

Aż lżej się człowiekowi robi, gdy pomyśli, że to wszystko zostało już dokonane.

Przedstawione panu ministrowi na zatwierdzenie towarzystwo nosić będzie nazwę: «Towarzystwo nauk ścisłych i stosowanych imienia d-ra Marcelego Nenckiego». Zakres działalności jego wyrażono w następujący sposób: «Towarzystwo ma na celu współdziałanie rozwojowi nauk matematycznych, fizycznych, chemicznych i biologicznych, tudzież zastosowanie ich we wszelkiego rodzaju technice, przemyśle, medycynie, rolnictwie i wogóle w użyciu praktycznym, oraz dopomaganie pracom członków Towarzystwa w zakresie nauk ścisłych i stosowanych».

Oto nazwiska, podpisane pod ustawą: Pp.: Ludwik Górski, Władysław hr. Tyszkiewicz, Jan - Tadeusz ks. Lubomirski, Feliks hr. Czacki, Władysław hr. Wielopolski, Stanisław Rotwand, Bronisław Znatowicz, dr. Teodor Dunin, prof. Juljan Kosiński, Władysław Gosiewski, Władysław Leppert, Samuel Dickstein, dr. Henryk Nussbaum, dr. Karol Benni, Józef J. Boguski, prof. Henryk Hoyer, prof. Ignacy Baranowski i dr. Jan Pruszyński.

Towarzystwo będzie miało narazie trzy sekcje: matematyczną, fizyczno-chemiczną i biologiczną, zarząd rezerwuje sobie jednak możliwość otwierania dalszych sekcji, w miarę środków i potrzeby.

Rozmawiałem o nowym Towarzystwie z jednym z uczonych naszych.

— Sprawa nauki, tak jak ona postawiona została przez inicjatorów tego Towarzystwa—mówił mi—interesuje równie bezpośrednio uczonych, jak i szerokie masy wykształconej publiczności. Członkiem Towarzystwa może być każdy: mężczyzna i kobieta, za opłatą składki rocznej. Otóż ja uważam to oparcie Towarzystwa na najszerszej podstawie społecznej—na tych wszystkich, którzy się nauką zechcą interesować—za bardzo szczęśliwy pomysł. Nauka dziś rozwinęła się kolosalnie—ilościowo poprostu. I rozwija się ciągle, tak że coraz bardziej przerasta dotychczasowe fundamenty, jakich dostarczyć jej jest w stanie państwo. Po za rządowymi uniwersytetami, po za urzędowymi akademjami, wre dziś w Europie ruch naukowy, bardzo czynny i doniosły, z którego uniwersytety korzystają, i który akademje sankcjonują. W Anglii cała produkcja naukowa, tak poważna i w niektórych dziedzinach, jak w fizyce na przykład, przodująca reszcie świata, płynie wyłącznie z prywatnych źródeł. Wprawdzie inicjatywa prywatna leży w angielskich tradycjach, prywatna nauka angielska jest więc tylko jednym z objawów ogólnego zjawiska. Ale i we Francji, która tych tradycji niema wcale, nauka szuka sobie co-

raz bardziej oparcia po za przeciążonymi po nad miarę budżetami państwowymi. Instytut Pasteur'a powstał drogą publicznych składek. Zasłużona już «Szkoła nauk politycznych» jest instytucją prywatną. Podobnie i młode «Kolegium nauk społecznych». «Szkoła antropologiczna» otrzymuje wprawdzie zasiłek z kasy miejskiej, ale jest całkowicie prywatna. Lat temu dwa założono w Paryżu wielkie «Towarzystwo psychicznych studjów», odwołując się również w jednakowej mierze do uczonych i nieuczonych, a publiczność odpowiedziała bardzo chętnie na apel, dostarczając obfitych środków na cele naukowe. Inicjatorowie naszego Towarzystwa poszli więc za bardzo żywotnym prądem, od pewnego czasu już płynącym po Europie. Należy im się wielkie uznanie.

— Więc pan rokuje powodzenie przyszłemu Towarzystwu naukowemu?

— Nie ulega to dla mnie żadnej wątpliwości. Najprzód sam pomysł jest u nas nowością i, jako nowość, stanowić będzie przez czas jakiś siłę pociągającą. Na pierwszych odczytach i doświadczeniach będą tłumy, jestem pewny. No, a byle zacząć pod dobrymi auspicjami—to już dalej pójdzie.

— Mówi pan, jak człowiek zbyt może praktyczny...

— Panie, działacze społeczni nie powinni lekceważyć takich przejściowych i dorywczych środków, jak urok nowości i wpływ mody. Ale ja temu zresztą w tej sprawie nie nadaję zbyt wielkiego znaczenia. Twierdzą tylko, że te elementy dadzą nowemu Towarzystwu potrzebny na początku rozpęd. Owszem, u nas wśród publiczności istnieje wielkie zamięślenie spraw naukowych. Niech-no pan tylko przejrzy katalogi wydawnicze z lat ostatnich, a zobaczy pan, jak wiele dzieł naukowych się u nas tłómaczy i wydaje. Wprawdzie nasze pisma naukowe wegetują dość lichy, ale to tylko dowód, iż publiczność polska rozumie naukę w formie książki przede wszystkim. Rozmawiałem niedaw-

no z jednym z wydawców, który mi mówił: «Po dobrze reklamowanej powieści najlepiej u nas idzie jeszcze porządna książka naukowa». Zresztą polak jest istotą z przyrodzenia swojego ciekawą, i to w do-brem znaczeniu tego przymiotnika. Interesować się też będzie nauko-wymi sprawami, o ile ktoś potrafi ten interes podniecać, podtrzymy-wać. Projektowane zaś Towarzystwo posiadać będzie dostateczną ilość środków, aby mógł to zrobić.

— To jedna strona—publiczność. A druga?... uczeni?

— Projektowane Towarzystwo po-trzebne jest uczonym naszym, jak matka dziecku. Dotychczas przyrod-nik nie miał u nas gdzie pracować. Urządzenie prywatnego laboratorium dostępne jest chyba tylko dla mi-ljonera. Ale taki milioner u nas się nie objawił jakoś. Uczeni nasi two-rzyli więc małe naukowe stacyjki gdzie się dało: przy Towarzystwie lekarskim, przy Muzeum przemysłu i rolnictwa. Dr. Weryho nosił się np. z myślą urządzenia laboratorium doświadczalnej psychologii przy re-dakcji «Przeglądu Filozoficznego». Dowód, jak potrzeba miejsce do pracy naukowej była pilna. Pracowało się więc w tych szczupłych, zaimpro-wizowanych laboratorjach, z wysił-kiem zdobytych, a pracowało się źle, nie dość dokładnie, często z mu-su, mitrząc masę czasu. Znam i ja taką pracę. Ież to razy człowieko-wi opadały ręce z rozpaczą, gdy brak jakiegos urzędnika niweczył długie nieraz doświadczenia i poszu-kiwania. Takich małych pracowni istnieje w naszym mieście, jak my-się, z dziesiątek. Ale choćby ich było i dziesięć tysięcy, nie zastąpią one jednej wielkiej pracowni, któ-rej postawienie jest warunkiem *si-ne qua non* wszelkiej pracy nauko-wej u nas. Mała prywatna pracow-nia, dla celów praktycznych może i jako tako przydatna, dziś dla nauki nie jest w stanie uczynić. Okres wielkich dedukcyj minął bowiem i dziś trzeba wydierać naturze jej tajemnice na drodze bardzo licznych i drobiazgowych doświadczeń i ob-serwacji i, co więcej, dla celów ba-dań trzeba stwarzać warunki sztuczne, jak np. bardzo wysokie temperatury lub bardzo niskie, wielkie i małe ciśnienia i t. p.—a na to potrzeba kosztownych urządzeń i przyborów. Otóż szeroka publiczność może być, bez wysiłku wielkiego, tym miljone-rem, który nam, uczonym, postawi tyle upragnione laboratorium do do-świadczalnych badań. Wzory, wła-ściwie mówiąc, ideały takich labo-ratorjów, istnieją gotowe: instytut Pasteura dla badań biologicznych, instytut fizyczny w Zurychu i no-we berlińskie laboratorium chemicz-

ne na Dorotheen-strasse. Dopóki mieć nie będziemy urządzeń potrzeb-nych, uczeni nasi marnować się bę-dą, jak się obecnie marnują.

— Istnieje przecież u nas insty-tucja naukowa, popierająca czynnie bardzo, bo materialnie, uczonych—Kasa Mianowskiego.

— Istnieje i ma już niemałe za-sługi. W każdym razie, należy po-wiedzieć otwarcie, że, jak dotych-czas, to ma więcej pieniędzy aniżeli zasług. Nie jej to zresztą wina, a przynajmniej nie cała wina ciąży na niej. Wskazałem panu, jak trudno u nas coś było dotychczas uczy-nić na polu nauk ścisłych. Kasa Mianowskiego robiła co mogła, tyl-ko że mogła niewiele. Ustawa tej instytucji bardzo ogranicza ją w dzia-łalności, nie pozwala na żadną in-icjatywę, redukując ją do jej nazwy: jest to kasa—i nic więcej. Ustawa ta nosi na sobie cechę epoki, w ja-kiej powstała. Tak np. zarząd tej instytucji nie jest wybieralny, lecz sam siebie dopełnia: w razie usta-pienia jednego z członków, pozostali powołują, kogo im się spodoba. Wprawdzie członkowie zarządu obec-nego posiadają zupełne zaufanie spo-łeczeństwa, pieniędzmi publicznymi szafują rozważnie i umiejętnie, i nie mam im wogóle do uczynienia żad-nego zarzutu rzeczowego. Ale po-między tem gronem ludzi a masą członków Towarzystwa, a ewentual-nie i społeczeństwem, brak jest wszel-kiego współdziałania, wszelkiego po-rozumienia, poprostu wszelkich sto-sunków. Taki zaś stan czyni z Ka-sy Mianowskiego coś zamkniętego na sto spustów, niedostępnego pu-blicznej kontroli i dyskusji.

Podobnie ograniczoną ustawę, ja-ką posiadała Kasa Mianowskiego, otrzymały i inne nasze instytucje, że wspomnimy tylko Muzeum prze-myśłu i rolnictwa; ale ojcowie tej instytucji nie pochyłili się z rezygnacją, która tu się równa apatii, lecz skorzystali z pomyślniej-szych czasów, aby ustawę zreforma-wać, co też im się udało. Ojcowie Kasy Mianowskiego o tem w czas nie pomyśleli. Dziś przybywa nam drugie towarzystwo naukowe, które wzięło sobie wprost za cel zwróce-nie warstw szerszych ku celom nau-kowym, reforma Kasy Mianowskiego mniej więc jest pilną. Oba towa-rzystwa mogą działać niezależnie od siebie, a dla wspólnego celu. Mogą też pracować w pewnej harmonji, na jaką ustawy odnośne im pozwalają: mianowicie zasobna Kasa Mia-nowskiego mogłaby być protektorką i subwencjonariuszką młodego To-warzystwa Nenckiego. Ale to rzecz dalsza, o której nawet i mówić, prawdę rzekłszy, trochę zawcześnie; stosunki ułożą się same, siłą faktów,

siłą życia. Tymczasem zaś powin-niśmy się cieszyć, że znaleźli się ludzie, którzy doniosły ten projekt umieli doprowadzić do dzisiejszego stopnia gotowości. I pomysł był szczęśliwy, i szczęśliwie wybrana chwila do przeprowadzenia go. Oby tylko raz szczęśliwie zaczął!

Varsoviensis.

Warszawa.

ŻNIWO ŚMIERCI.

Dziś dopiero dochodzą do Europy szcze-gół o przerażającej katastrofie, która w jednej chwili zmiotła z powierzchni ziemi kwitnące miasto wraz z wielu okolicznymi wioskami i kosztowała ży-cie około 40 tysięcy ludzi. Śmierć i znisz-czenie panuje teraz tam, gdzie przed trzema tygodniami działalność ludzka wartką płynęła falą. A stało się to tak nagle, tak niespodzianie, że prawie nie chce się wierzyć depešom, ciągle jesz-cze przynoszącym hołbowe wieści.

Założone w r. 1635, miasto St.-Pierre było nie tylko punktem handlowym, ale również i miejscem niezmiernie malow-niczem: rzucone na samym brzegu mo-rza, miało z jednej strony przepyszny widok na szeroko otwartą przystań, często odwiedzaną przez statki wszyst-kich krajów, z drugiej—tonięło w morzu zieloności bujnej, potężnej, urozmaiconej wszelkimi odcieniami barw podzwrotni-kowych. Dwie główne ulice, równole-gle z brzegiem morskim, biegnę na prze-strzeni paru kilometrów, przecięte na-



Dwie murzynki z Martyniki. Przed i po przyjęciu cywilizacji.



Miasto, które już nie istnieje. St.-Pierre na Martynice.

pół wyschląm strumieniem Roxelane, zbiegającym z gór do morza. Wśród se-tek, na barwę żółtą pomalowanych do-mów, zbudowanych tak potężnie, że na-wet silnego trzęsienia ziemi się nie bały, wznosiły się większe i wspanialsze bu-dowle: pałac biskupi, gmach rządu miej-scowego, baraki dla żandarmerji, ładny teatr, bardzo uczęszczany i t. p. Za miastem urządzono place do gier gim-nastycznych, ścieżki, wijące się wśród palm i paproci i usiane pięknymi willami, nieco zaś opodal morza, nad brze-giem Roxelany rozciągał się przepyszny ogród botaniczny, w którym hodowano niemal wszystkie gatunki roślin, znane na całej kuli ziemskiej. Tu najchętniej zbierano się w niedzielne popołudnia; in-nym zaś uczęszczanym celem wycieczek było jezioro, położone na wyżynie w bli-kości wygasłego krateru góry Pelée, to jest Lysej. Podajemy obok szereg wido-ków Martyniki, dostarczonych nam ła-skawie przez p. Edw. Wieszczyckiego, oficera marynarki.

Pracowita, trzeźwa, pobożna ludność tutejsza, złożona z białych i przeważnie z kreolów, przez pół wieku zażywała spo-koju, bez najmniejszej obawy o zbyt blizkie sąsiedztwo wulkanu, który przy-zwyczajono się lekceważyć. Zapomniano już o wybuchu z roku 1851 i trzę-sieniu ziemi, które zniszczyło Fort de France, to też ktoś z mieszkańców St.-Pierre, prawie w przeddzień katastrofy, żartował sobie jeszcze z tchórzliwych współziomków, którzy gotowali się do opuszczenia miasta: «Nie sądzimy — pi-sał on w liście do swego przyjaciela we Francji—aby nam groziło poważne nie-

bezpieczeństwo, gdyż wulkan nasz z pew-nością nie zdobędzie się na lawę, lecz tylko na popiół i błoto».

Nie dziw przeto, że przy takim uspo-sobieniu ludności, jakkolwiek nie było ono powszechnem, katastrofa spadła na nieszczęsne miasto niespodziewanie, choć oddawna zwiastowały ją bardzo niepo-kojące objawy.

Najwcześniejszem z nich było trzęsie-nie ziemi w zachodnich okręgach Guate-mali, gdzie d. 18 kwietnia zburzone zo-stało ludne miasto Quezaltenango z pię-ciu miastami pomniejszych, i zginęło pod ich gruzami tysiące ludzi. Potem nastę-pił szereg objawów, zapowiadających, że coś niezwykłego gotuje się we wnętrzu ziemi. Dawno nieczynne wulkanu w róż-nych punktach kuli ziemskiej działać zaczęły: d. 29 kwietnia Hekla dała znak życia i zatrzęsła całą Islandją, otwarły się krateru licznych wulkanów amerykańskich oraz europejskich; Wezuwjuż dotychczas bucha lawą, a na morzu Śródziemnem, około Korsyki, wulkan podmorski tak kotłuje wodę, że okręty zdaleka omijają to niebezpieczne miejsce.

Głównem jednak ogniskiem tej pracy podziemnej stały się wyspy Antylskie, którym już Humboldt przepowiadał, że kiedyś, wskutek burzącej pracy ognia podziemnego, morze je pochłonie. Na Martynice d. 23 kwietnia wieczorem, usłyszano grzmoty podziemne, nazajutrz zaś z nieczynnego od r. 1851 krateru Pelée uniosły się w górę obłoki pary, poczem nastąpiło otwarcie się nowego krateru, wyrzucającego popiół i kamie-nie, w sąsiedniem zaś jeziorze wo-da wrzała. Mimo to, ludność miasta

St.-Pierre pocieszała się nadzieją, że po-ważne niebezpieczeństwo nikomu nie gro-zi. Nastąpił dzień 3 maja, w którym główny krater góry Pelée zaczął ziać dymem i płomieniami, wyrzucając z sie-bie olbrzymie masy miążkiego, gorącego popiołu, który wysuszał, prawie wypalał całą roślinność, wciskał się do domów, utrudniał oddychanie; powietrze było przesycone wyziewami siarki. Z dnia 3 maja datowany jest list, który pewna młoda francuzka przysłała krewnym do Paryża: «Ogarnął nas—pisze—niepokój. Jesteśmy zasypani popiołem. Grzmoty i wybuchy, dotychczas głucho, od północy stały się wyraźniejsze. Wulkan coraz bardziej dymi, niektórzy zaś widzieli ogień. Podobno tej nocy widok był wspaniały i bardzo żaluję, że tego nie widziałam. O 1^{1/2} zbudziłam się, czując za-pach siarki; zbliżyłam się do okna. Pomimo ciemności, zauważyłam, że wszystko jest przysypane popiołem. W pokoju, na prze-ścieradłach, wódkach wszędzie jest popiół.

«Mieszkańcy wyżyn stchórzyli i ucie-kają do miasta. Uczniowie w szkołach zostali rozpuszczeni. Wszystkie rodziny, mieszkające w willach, wracają do mia-sta. St.-Pierre przedstawia widok bardzo smutny: wszystko przysypał popiół; ulice, domy, dzwona pomalowane na barwę białawą; tak samo zapewne wygląda Pa-ryż w ziemie. Jeśli będzie to trwało dłu-żej, czeka nas uduszenie. Na przedmie-ściu nie kursują już tramwaje, gdyż pa-sażerowie się w nich duszą. Podobno w Frêcheur były już wypadki śmiertel-ne, ale być może wieści te są przesad-ne. Jestem bardzo spokojna i sama się temu dziwię. Spokojnie oczekuję dal-

szych wypadków i tylko przykrzy mi się bardzo ten popiół, który przenika wszędzie. Wielu ludzi straciło głowę. U nas zaś w rodzinie panuje spokój: mama nic się nie obawia, a tylko jedna Edyta się niepokoi. Jeżeli nas czeka śmierć, to przynajmniej udamy się na tamten świat w licznej towarzystwie.



Plac zabaw publicznych i pomnik ces. Józefu w Fort de France.

Od czego zginiemy: od ognia, czy też od uduszenia? Niech się stanie według woli Boskiej. Klaniaj się Robertowi, i powiedz mu, że jeszcze żyjemy, choć to może już nie będzie prawdą, gdy ten list otrzymasz». Autorka listu wraz z rodziną zginęła w ruinach miasta, siostra zaś jej, owa trwożliwa Edyta, ocalała się, skłoniwszy męża, że z nią i z dwojgiem dzieci udał się zawczasu do Fort de France.

Przez cały dzień 4 maja nieustannie sypał się popiół na miasto i okolice: wszystka roślinność została zniszczona i bydło, rycząc, próżno dopominało się o pokarm. Z dzielnic bliższych wulkanu ludność wynosiła się gromadnie, gdyż coraz trudniej było tam oddychać. D. 5 maja około południa ukazały się pierwsze potoki lawy, spłynęły bokiem Łysej góry i w ciągu trzech minut przebiegły przestrzeń pięciokilometrową, niszcząc wszystko po drodze: plantacje, budynki, faktorie i wszystko, co żyło, stało się pastwą żywiołu na przestrzeni półkilometrowej szerokości. Tu zmieciona została cukrownia ze 150 ludźmi i tylko ostał się jeden komin, wysoko sterczący wśród potoków lawy. Morze, pod wpływem okropnego uderzenia podziemnego, cofnęło się o 300 metrów od brzegu, a następnie olbrzymią falą rzuciło się na ziemię, rycząc i łamiąc wszystko po drodze.

Jednocześnie tegoż dnia 5 maja zaczął działać wulkan na wyspie św. Wincentego, w dniach zaś następnych z hukem straszliwym wylatały z niego dymy, które świat cały zasłoniły, wylała się lava i prawie cała wyspa uległa spustoszeniu. Ludność jej w części wyginęła, w części ma być przeniesiona na Jamajkę. Rzecz dziwna, że leżąca między Martyniką a wyspą św. Wincentego, wyspa św. Łucji, żadnym wstrząśnieniem nie uległa, gdy tymczasem w ukształtowaniu dna morskiego widocznie zaszły znaczne zmiany, kiedy lina telegrafu podmorskiego pękła i dlatego

w pierwszych chwilach nie można było w Europie dowiedzieć się nic określonego o przebiegu katastrofy.

W trwodze i przerażeniu mieszkańcy St-Pierre spędzali dnie i noce, gotując się do gromadnego opuszczenia miasta. Przybył tu gubernator Martyniki, Mouttet, który wziął z sobą i żonę, aby przy-

nowy krater od strony St-Pierre i wtedy gubernator z kilku innymi osobami udał się do stóp zięjącej ogniem góry, aby osobiście zbadać stan rzeczy. Przepłynąwszy łódką jezioro, o którym wspominaliśmy, zatrzymał się przy przeciwnym brzegu, gdy wtem o godz. 8 nagle z nowego krateru nastąpił okropny wybuch. Łódź z gubernatorem i załogą w mgnieniu oka została poprostu unicestwiona. Z paszczy wulkanu wyleciało w powietrze coś niesłychanie okropnego: z piekielnym hukem wystrzeliły wysoko ku niebu kłęby dymu, pary, popiołu, rozpalonych do białości kamieni, olbrzymie fontanny lawy, które w górze rozprysnęły się na miljarde krople i ulewnym deszczem ognistym spadły na miasto St-Pierre i okolice. Nie było murów, którychby kamienie, spadające z wysokości 4 tysięcy metrów, nie zgruchotały, nie było domu, któregoby deszcz ognisty nie zapalił, nie było stworzenia, któreby trupem natychmiast nie padło. Ogromna masa rozproszona w powietrzu lawy w jednej chwili tlen pochłonięła, a wszystko, co żyło, legło uduszone. W ciągu trzech sekund 40 tys. mieszkańców miasta i najbliższych okolic, jak po uderzeniu piorunu, skonało, miasto zaś samo stało się jednym wielkim stosem palącego ognia. I nie tylko miasto, ale stojące w przystani okręty, w mgnieniu oka ogolone z żagli, masztów i ludzi, jeden po drugim pogrążyły się we wrzą-



Ogólny widok miasta i zatoki Fort de France.

ciwszy do miasta, z całą stanowczością orzekła, że niema żadnego niebezpieczeństwa. Nazajutrz, w pamiętny dzień 8 maja rano, o godz. 7 utworzył się na Pelée

ce głębiny morskie. Jeden tylko statek «Roddam», opalony, przysypany popiołem, ze zdziśiatkowaną załogą, z odrąbanym łańcuchem kotwicznym, ocalał je-



Wioska murzyńska w pobliżu Fort de France.

dynie dzięki energii kapitana, który, mając okropnie poparzone ręce, sam kierował sterem i zdolał wyjść z przystani na pełne morze. Widział on, jak kapitan innego statku, Roraima, zapadając się w głębiny, posłał mu ręką ostatnie pożegnanie.

Przez długi czas nie można było do St-Pierre się zbliżyć, tak uporczywym był wybuch Pelée. Nazajutrz okręt angielski «Tek», krążąc nad brzegami Martyniki, dawał syreną sygnały, ale żadnej odpowiedzi z brzegu nie otrzymał, i sam został pokryty grubą warstwą spiącego się z góry gorącego popiołu. Wulkan ciągle jeszcze działa, wiatry roznoszą na dalekie przestrzenie popiół, który nawet odległa o kilkadziesiąt kilometrów wyspa Barbados pokrył warstwą na kilka cali grubą. Nad górą Łysą przeciągają ciężkie chmury, rozświetlane błyskawicami i grzmiące piorunami. Niebezpieczeństwo ponownego wybuchu nie jest jeszcze zażegnane.

Pomimo starań, niepodobna było nikomu zaraz po katastrofie do St-Pierre się dostać i dopiero po kilku dniach zdołano przystąpić do poszukiwań ludzi, ocalałych od śmierci, przedmiotów wartościowych, zagrzebanych w gruzach, do uprzątnięcia i palenia trupów, których niepodobna było grzebać wskutek ich wielkiej mnogości. Pierwsi do miasta dostali się rabusie, którzy odbierali trupy, przeszukiwali ich kieszenie, rewidowali kasy ogniotrwałe. Rozpędzono i w części aresztowano tych szakali ludzkich, poczem przystąpiono do pracy. Pierwszy oddział ratunkowy dostał się do St-Pierre dopiero 12 maja. Podpływając do miasta, ujrano morze, pokryte szczątkami domów i sprzętów, wśród których pływały trupy. Tysiące trupów leżało na brzegu morskim. Wszystkie budowle drewniane zniszczone zupełnie, z murowanych pozostały poszczerbione i popękane ściany. Obłok dymu i popiołu spowijał miasto, jak całun grobowy. Gromadzono na stosy trupy, oblewano je naftą i zapalano, aby zapobiedz rozkładowi ciał; mimo to jednak w parę dni potem powietrze przesycone było trującymi wyziewami, a nadto rozmnożyły się muchy zjadliwe, których każde ukąszenie może być śmiertelne, gdyż żarzą trupim jadem. Przy paleniu ciał kapłani odmawiali modlitwy, a pomruk wulkanu wtórował im, zawodząc jakby «Requiem» nad swemi ofiarami.

Jeden tylko człowiek bez szwanku dla zdrowia przetrwał katastrofę, nie wychodząc z miasta: był to murzyn, poszlakowany o zabójstwo i trzymany w podziemiach więziennych. Wydobyty z tamtąd, zbiegł w góry. Podobno też w jednej z piwnic znaleziono żywą ale okrutnie poparzoną murzynkę, która opowiedziała przebieg katastrofy. Z reszty mieszkańców St-Pierre ocalało zaledwie kilkanaście osób, które zdołały w ostatniej chwili przed głównym wybuchem wyjść z miasta. Inni w liczbie około 30 tysięcy, nie licząc ludności wsi okolicznych, zginęli wszyscy. Był między nimi król Dahomeju, sławny niegdyś Behanzin, który na czele swych amazonek mężnie opierał się francuzom, aż w r. 1891 wzięty do niewoli, został osadzony na Martynice. Zginął też tam jeden z rodaków naszych, znany powszechnie malarz Paweł Merwart, który z polecenia mini-

sterstwa kolonij zbierał tu studja do krajobrazów.

Okolice St-Pierre, a szczególnie Carbet, uległy straszliwemu zniszczeniu: wszystko tu zrównane z ziemią, a stosy rozkładających się trupów zarażają powietrze. Wulkan ciągle się dąsa i grozi: z jego krateru buchają dymy i ogień, wylatują pociski kamienne i popiół, płynnie obfitym potokiem lava. D. 20 maja mieszkańcy Fort de France, zbudzeni rano ze snu piekielnym bombardowaniem, pa-

rzeni sypiącym się z góry popiołem, uciekli z miasta, któremu już—zdawało się—groził los St-Pierre nieszczęsnego. Ludność miejska nie chce wracać do swych domów i zamierza przenieść się albo na Guadelupę, albo przynajmniej na południowe wybrzeże Martyniki.

Cudny zakątek świata, stawszy się grobem 40 tysięcy ludzi, opustoszeje może na długo.

Elk.



MUZEUM WOJNY I POKOJU.

W dniu 7 czerwca przybędzie Europie wielkie i jedyne w swoim rodzaju muzeum. Obdarowaną niem została Szwajcaria, kraj piękny i kulturalny, który dotychczas budził interes wśród licznych podróżników tylko dzięki czarom przyrodzonego położenia, nadzwyczajnej umiejętności przez mieszkańców wyzyskiwanego. Nowe muzeum ma bardzo doniosłe cele i zadania wszechludzkie: stanowi ono poglądową propagandę idei pokojowych. Ze względu na to zadanie, postawienie go w Lucernie uważać należy za bardzo szczęśliwe. Jest to mniej więcej środek Europy. Miasto to leży na wielkiej drodze, łączącej Francję i Niemcy z Włochami, na brzegu pełnego pamiątek historycznych i malowniczych piękności historycznej Czterech Kantonów, niejako w sercu kraju i wśród miejscowości, najbardziej uczęszczanych przez podróżników. To dzieło, któremu, jak sądzę, słusznie należy się przydomek «wielkiego», stworzone zostało przez polaka. Los nie pozwolił mu jednak ujrzeć pomysłu swego, w ciału rzeczywistości obleczonego: śmierć zabrała go w drodze do bliższego już celu usiłowań. Po śmierci Jana Blocha, jedyn syn jego, Henryk, stanął na czele jego interesów i obowiązków. Od niego też dowiedziałem się tych szczegółów o dziele Jana Blocha, których poniżej czytelnikom udzielam. Syn przyswoił sobie idee ojca o wojnie; mówi o Muzeum, jak człowiek, który do gruntu zawładną danym przedmiotem—i przytem z niemają swobodą słowa i dużą jasnością w ugrupowaniu szczegółów.

— Mało mam czasu, jestem bowiem

na wyjeździe z Warszawy, muszę więc być zwięzłym — zaczął p. Henryk Bloch—w krótkości też tylko panu zaznaczę historję tej instytucji. Mój ojciec, jak pewno pan wie, miał zamiar urządzić na ostatniej wystawie paryskiej osobny pawilon wojny i pokoju. Prace w tym kierunku były już dość posunięte, gdy okoliczności zewnętrzne stanęły na przeszkodzie do urzeczywistnienia tej myśli. Okoliczności tych nie było sposobu usunąć. Mój ojciec postanowił więc urzeczywistnić myśl swoją w inny sposób, podobny, ale trwalszy: urządzić mianowicie jakby stałą wystawę rzeczy wojennych, Muzeum wojenne. Jedyń rząd, który zgodził się dać przytułek tej instytucji, był szwajcarski. Wybór padł na Lucernę.

— Czy tylko dla jej dogodnego środkowego położenia?

— Głównie tak. Ale też i dlatego, że w Lucernie można było liczyć na pewne poparcie mieszkańców miasta. Lucerna jest piękna, ale mała. Podróżni zatrzymują się w niej parę godzin, i to im wystarcza. Otóż projektowane Muzeum nadałoby miastu pewien głębszy interes, stanowiłoby osobliwość, której podróżnik nie pominąłby, zatrzymywałoby więc te fale cudzoziemców na parę choć dni w mieście. To zaś miałoby doniosłe znaczenie dla miejscowego handlu i przemysłu, podniosłoby i wzbogaciło ludność. Jakoż inteligentni lucerneńscy zrozumieli swój interes i poparli sprawę Muzeum.

— Więc plan finansowy dzieła?...

— Plan finansowy? Mój ojciec obliczył całe przedsięwzięcie na 200 tys.

rubli na początek. Z tego obowiązał się dostarczyć 40 proc. w razie, jeżeli w ciągu sześciu miesięcy reszta zobowiązań zostanie pokryta. Gdy to się stało, ojciec mój udzielił instytucji 100 tysięcy franków kredytu na niski procent i długi termin, i ofiarował zbiory swoje, ocenione na 100 tys. franków, wartujące w rzeczywistości znacznie więcej. Wybudowano więc duży budynek nad brzegiem samym jeziora, w centralnym punkcie miasta, o sto kroków od stacji kolejowej—a po udzieleniu budynku tego na zjazd stowarzyszeń strzeleckich szwajcarskich, urządzono go ostatecznie dla naszych celów.

Towarzystwo akcyjne.

— Jaką formę prawną przyjęła nowa instytucja? Czy jest to muzeum miejskie? rządowe?

— Jest to Towarzystwo akcyjne. I ten punkt należy dobrze ludziom wyjaśnić, mieszają oni bowiem nasze przedsięwzięcie ze zwykłymi stowarzyszeniami pokoju. Ze stowarzyszeniami temi my jesteśmy w przyjaźni i porozumieniu, ale formalnie oparliśmy działalność naszą na innych, wprost praktycznych podstawach. Stowarzyszenia pokojowe są korporacyjne, my jesteśmy akcyjnym. Akcjonariusze wybrali do rządzenia sprawami komitet. Mój ojciec był pierwszym prezesem tego komitetu. Po jego śmierci, mnie powołano na to stanowisko. Komitet składa się z ludzi kompetentnych, po większej części wojskowych.

— Kto jest dyrektorem muzeum?

— P. Pietzker, oberlejtendant szwajcarski.

Cele Muzeum.

— Wojna zawsze była klęską dla ludzkości, ewentualnie dla stron wojujących—mówił mi p. H. Bloch—zawsze prowadziła do ruiny ekonomicznej ludy wojujące dziś jednak, przy niestychanym rozwoju techniki, środki obrony zwłaszcza stały się tak potężne, że zapewniają one wojnie trwanie latami całymi. Wyczerpanie ekonomiczne i finansowe nastąpić musi z konieczności, zanim jeden z przeciwników odniesie stanowcze zwycięstwo nad drugim. Przykład wojny angielsko-boerskiej, wojny potężnego państwa z małym ludem, w sposób aż nadto wymowny ilustruje i udowadnia ten pogląd. Pomyśleć, co by to było, gdyby tak starły się dwa wielkie państwa o równych w przybliżeniu siłach? Dwa szczególnie wynalazki zmieniły zupełnie warunki wojenne, tak iż przyszłe wojny będą całkowicie odmienne od przeszłych, mianowicie: proch bezdymny i działa szybkostrzelające. Taką mitralieżę Maksim'a niesie dwóch ludzi—jeden dział, drugi—ładunki—ustawia się ją w parę minut, a strzela jak sto karabinów—no, niemal bez końca. Coraz to nowe wynalazki urzeczywistniają pomysły, o których dawni sztabowcy nie śnili nawet. Są działa, sięgające przeciwnika, stojącego po za górą naprzykład.

— Więc możnaby atakować przeciwnika, ukrytego np. za Monblanc'iem?

— Panie, można jeden Montblanc postawić na drugim i wtedy jeszcze kule niszczyć będą ludzi. Takie działa, po raz pierwszy zastosowane przez Anglię w obecnej wojnie, zmusiły właśnie do poddania się Cronie'go. Otóż, wzięwszy te wszystkie postępy i ulepszenia pod uwagę, trzeba będzie koniecznie przyjąć do wniosku, że wojna jest niemożliwą prosto w przyszłości, jako załatwienie rachunków pomiędzy państwami.

Środki Muzeum.

— I aby przekonać ludzkość o prawdziwości tego twierdzenia, co panowie robicie?

— Pokazujemy jej wszystko to, co stanowi środki, sposoby, elementy wojny, a pokazujemy w *świelle najzupełniej bezstronnie*, nic nie szarżując, nie doprowadzając nie do krańców. Z tego powodu Muzeum nasze raczej jest Muzeum wojny, aniżeli pokoju. Środki pokojowe zajmują niewiele bardzo miejsca, na t. zw. *Friedenswand*; są tu protokoły konwencji pokojowych, statystyczne dane rozwoju towarzystw pokojowych. Ale to tylko dodatek niejako. Muzeum, stworzone przy pomocy wojskowych głównie, głównie też zajmuje się sprawami wojny. Jednej z atrakcji jego naprzykład dostarczy słynny Krupp, niemiecki fabrykant armat, który zgromadził tu oryginalne modele wszystkich typów dział, w zakładach esseńskich, od samego początku ich istnienia wykonanych. Kolekcja środków obronnych, dostarczonych przez rząd szwajcarski, posiada również wielki interes, nawet techniczny i nawet dla specjalistów. Bezskuteczności, niepraktyczności wojny dowodzimy w naszym Muzeum bezstronnie, metodą historyczną, przez samo zestawienie faktów i dokumentów. Dwa zasadnicze w pewnej mierze działy muzeum, dwie jego kategorie główne stanowią: «Wojna przed laty» i «Wojna dziś».

Tu p. H. Bloch pokazał mi fotograficzną kopję jednego z obrazów.

— Widzi tu pan np. kawalerję, której rola w przyszłej wojnie nie będzie się różnić od piechoty. Dziś kawalerzysta jest to piechur na koniu. Koń nie jest środkiem bojowym, jak dawniej, ale tylko środkiem komunikacji.

Przypomniałem sobie w tej chwili, że p. Bloch jest jednym z wybitnych naszych sportsmenów, którego stajnia wyścigowa święciła już duże tryumfy.

— Więc przyszła wojna nie zabije konia?—zapytałem.

— Przeciwnie. Koń grać w niej będzie rolę inną jak dotąd, ale bardzo czynną i ważną.

Obecny stan Muzeum.

— I Muzeum będzie zupełnie gotowe na zapowiedziany dzień?

— O tak! Może być brak conajwyżej jakichś tam drobnotek, rzeczy drugorzędnych. Wogóle zaś będziemy bardziej

gotowi, aniżeli jakkolwiek wystawa byłaby gotową w dzień otwarcia.

— Wejście do muzeum?...

— Kosztować będzie franka. Z dochodów mamy zamiar zorganizować nowy dział, mianowicie «Aeronautykę». Jak obecnie, nasze Muzeum posiada *przeszło dwa tysiące okazów*, uporządkowanych i skatalogowanych. Katalogi, rodzaj przewodnika, będą gotowe również w dwóch językach: francuskim i niemieckim. Te okazy wystawione są wokół olbrzymiej hali muzealnej, w środku zaś hali urządzone są panoramy i djeoramy. Jest to niejako *resumé*, streszczenie całej idei muzeum. Ktoś, co niema czasu, albo chęci wnikać w specjalne szczegóły, badać i uczyć się, może nabrać pewnego pojęcia o rzeczy, o całości, zwiedzając sam tylko dział artystyczny Muzeum. Znajdzie tu trzy duże panoramy, z odpowiednim oświetleniem i sztucznym terenem, obrazy po 6 na 12 metrów, i oprócz tego siedem djeoram, to jest odpowiednio ustawionych obrazów mniejszych, po 6 na 6 metrów.

— Kto je malował?

— Paryżycy i monachijscy artyści: Duprez, Wieland, Petzold, Diemmer i jeden miejscowy z Lucerny: Kaufmann.

— Szkoda jednak, że w tem dziele żaden z naszych artystów nie wziął udziału?

— Były pertraktacje z Kossakiem, ale nie doprowadziły do rezultatu. Artyści, których nazwiska wymieniliśmy, pracowali raczej dla idei i zyskania reputacji, aniżeli dla zarobku. W każdym razie dali rzeczy cenne, prawdziwie artystyczne.

Wieloletni sekretarz prywatny s. p. Jana Blocha, p. Józef Sapiejewski, dał mi również kilka informacji:

— P. Henryk Bloch brał żywy i czynny udział w tem dziele, trzymając się wskazań, zostawionych przez ojca. Gdzie zaś ten udział jest samodzielny, to w dziale panoram i djeoram. Objasnienia do obrazów, pomieszczone w przewodniku po Muzeum, pisane są także przez niego. Wogóle cały ten dział środkowy jest, można powiedzieć, jego dziełem, jako organizacja i wykonanie ogólne.

— Czy istnieje zamiar wydrukowania przewodnika i w polskim języku?

— Oczywiście, tylko trzeba było zacząć od najpilniejszych rzeczy.

— Czy spodziewanym jest liczny zjazd z Warszawy na uroczystość otwarcia?

— Będzie to zjazd wszechświatowy. Dla Warszawy więc nie można było zarezerwować zbyt wiele w nim miejsca. Rozesłaliśmy jednak zaproszenia wielu pismom polskim i paru dziesiątkom wybitniejszych mężów. Ci, którzy zostali zaproszeni, znajdują przygotowaną już gościnę dla nich w lucerneńskich hotelach.

Varsoviensis.

Warszawa.



PROCESJA BOŻEGO CIAŁA W MAŁYM MIASTECZKU W KRÓLESTWIE. Fotograf. amat.

IGNACY KRASICKI.

WEDŁUG WIZERUNKU, STWORZONEGO

PRZEZ

Józefa Tretiaka.

(Dokończenie).

III.

Nadeszły dla biskupa, lubiącego spójność i wygodę, czasy ciężkie. Król pruski gotował się już od końca 1769 r. do zaboru Warmji. Najprzód zażądał kontrybucji od warmian, którą kapituła w kwocie 2,200 dukatów zapłaciła, aby uchronić się od okupacji. Później zaczęły się przemarsze wojsk pruskich przez Warmję. Stojąc na stanowisku zagrożonym, a nie mogąc siłą odeprzeć przemocy, mógł być książę-biskup, mając za sobą potęgę moralną pasterza, zdobyć się chociażby na protest moralny, ale «do tego ten epikurejczyk w infule nie był zdolny». To mogło pociągnąć kłopoty, niewygody, prześladowanie, a zwłaszcza niedostatek pieniędzy, którego bał się nade wszystko, grzęznąc już w długach, które sprawiły, że pożyczyl pod zastaw dóbr rodowych, złożony przez swego poprzednika Grabowskiego, legat na

msze doroczne za jego duszę, aby zaspokoić najbardziej niecierpliwych wierzyteli. W satyrach swoich kazał o oszczędności, ale sam, przyzwyczajony do zbytku, nie był oszczędnym, a ta niezaradność pieniężna uczyniła go jeszcze bardziej zaleźnym wobec groźnych wypadków. Gdy kapituła gotowała pismo do papieża Klemensa XIV, przedstawiające niebezpieczeństwo, grożące kościołowi katolickiemu w Warmji, i myślała o posłaniu delegacji z prośbą o pomoc do Stanisława Augusta, on już liczył się z faktem dokonanego gwałtem zaboru, a utyskując z drugiej strony nad możnością utraty dochodów i udziałnego stanowiska, doradzał zastanowić się, «jak można być posłusznym królowi pruskiemu bez utracenia czci i wiary wobec króla polskiego i jakiej się trzymać należy roztropności, aby żadnej stronie nie ubliżyć». Tak brzmi pismo jego do kapituły.

Uspokoił się wówczas dopiero, gdy zjednał sobie łaski Fryderyka II, a ten wynagrodził mu uszczuplenie płacy rocznej do 20 tys. talarów, darowując mu na zapłacenie długów 50 tys. talarów. Znana anegdota opowiada, że dar ten wywołała dowcipna odpowiedź biskupa kró-

lowi, proszącemu go zartem, aby jego, protestanta urzędowo, a w głębi duszy ateusza, wprowadził skrycie pod płaszczem do nieba: «Rad-bym to uczynić, ale trudno mi ukryć w. k. m. pod płaszczem, boś go bardzo podciął».

Pogodzony z rządem pruskim biskup, który tragedję narodową oczywiście nie bardzo wziął sobie do serca, chętnie naginał się do żądań króla, ograniczając gwoli jemu wielką ilość uroczystych świąt w swoim biskupstwie; uczciwy i trzeźwy lud Warmji dotknął nawet w okólniku, utrzymując, że «ten lud znie-waża święta obzarstwem i pijaństwem», czego wierni warmijczycy długo nie mogli przeboleć.

Od pierwszego rozbioru Krasicki przestał jeździć do Warszawy. Zato częstym stał się gościem w Berlinie i Poczdamie. W pałacu króla Sans-Souci zajmował podobno te same apartamenty, w których niegdyś Wolter zamieszkiwał, i tu pono napisał swoją «Monachomachję». O dobrych stosunkach z królem Fryderykiem II świadczą następujące słowa z listu Krasickiego: «Staram się o ile możliwości, bawiąc go, oświadczyć mu moją wdzięczność. Siedzieliśmy cztery godziny u stołu. Tak się dziadunio rozkoszował i mnie tak rozchichotał, żeśmy się śmiali jak dzieci, a naopowiadaliśmy sobie bajek z półtorej kopy»...

«Czy ten biskup katolicki i polak—pyta Tretiak—nie wiedział, kim się tak zachwyca i kogo tak kosztem swoim bawi? Czy nie wiedział o jego głębokiej pogardzie, przechodzącej w nienawiść, do polaków, o jego wyśmiewaniu religji katolickiej? Trudno przypuścić, aby nie wiedział choć częściowo».

Więc broni biograf biskupa-polaka, że podjął się «smutnej roli» zabawiacza Fryderyka II, tylko z tego względu, że nie czynił tego przez chęć zysku lub schlebienia, ale poprostu, ponieważ sam lubił bawić i śmiać się, i znajdował szczerą przyjemność w towarzystwie tego króla, którego definiuje jako «zwyczaję, prawodawcę, mędrca, powiadającego najśmieszniejsze historyjki, śmiejącego się trzy godziny u obiadu, dwie u wieczerzy, piszącego książki, dyrygującego nietylko monarchją swoją, ale...»

Tę obronę mogliśmy jeszcze wzmocnić wskazówką, że w owym czasie uczucie patriotyczne naogół nie było silnie rozbudzone, że serca nie nauczyły się jeszcze zżymać tak mocno na wojenne i dyplomatyczne gwałty, rozrywające żywe organizmy narodowe, ale bądź co bądź pozostanie tu jeszcze pewien ciemny punkt: w jaki sposób ten

poczytywany za tak przenikliwego i w dziełach swoich, zda się, tak przenikliwy człowiek, którego znajomość ludzi i wewnętrznych pobudek nieraz podkreśla biograf, mógł tak mocno błędzić i pod śmiejącą się maską króla nie dojrzeć jego duszy największego wroga polskości, od którego wyszedł plan podziału Polski? Tu stajemy wobec zagadki...

IV.

Zanim potępi się Krasickiego za stosunki z Fryderykiem II, potrzeba się będzie policzyć z ogólnym nastrojem umysłów w owej epoce. A tu właśnie okaże się, że opinia publiczna w Polsce w owym to właśnie czasie nastroiła się tak korzystnie dla biskupa warmińskiego, jak nigdy przedtem. Umilkły satyry na Gładysza i Umizgalskiego; król przestał się skarżyć na niewdzięcznego Mineta. Bo właśnie na czas po pierwszym rozbiore przypadają najważniejsze i najpiękniejsze dzieła Krasickiego, napisane niespełna w ciągu lat pięciu, a więc: «Myszeis», «Przypadki Doświadczynskiego», «Pan Podstoli», «Monachomachja», «Antymonachomachja», «Wojna chocimska» i nowy cykl bajek i satyr. Doskonale utwory, idące rok po roku z pracowni heilberskiej pod prasę warszawską, odpowiadające tonowi, panującemu w stolicy po rozbiore, czyniące wrażenie na oświeceniowej publiczności i królu kunsztownością formy, zjednały Krasickiemu ogromną popularność w kołach stołecznych i nadały wielki rozgłos imieniu utalentowanego poety. Więc kiedy wybrał się w roku 1780 do Warszawy, i król i stolica przyjęły go bardzo dobrze. Stanisław-August uczcił zasługi poety złotym medalem. W rozpoczętej naówczas «Wojnie chocimskiej» widziano polską Henryjadę, a w jej autorze polskiego

Woltera. Od czasu Kochanowskiego żaden jeszcze poeta nie cieszył się taką popularnością, jak Krasicki. To skłoniło go do odwiedzenia Warszawy ponownie po dwóch latach. Tym razem Węgierski uczył poetę warmińskiego, ofiarując mu poemat «Organy», a Trembecki napisał na jego przyjazd do stolicy pochwalną ode. W tej ostatniej zresztą, pomimo dytyrambicznego tonu, Tretiak upatruje ślady pewnej ironji, np. w wierszach: «Lecz przybyłeś pewnie ztamtąd, gdzie ci nie wolno—tu zapłakać rzewnie»—co nie mogło pasować do człowieka, o którym Trembecki dobrze wiedział, że płakać nie umie.

Ale w dwa lata później Trembeckiemu wypadło pisać, na prośbę króla, do Krasickiego już bez cienia ironji. Trembecki w wierszu «Gość z Heilsbergu» wzywa biskupa, aby ten «wniósł swe tony, które naród przychylnie słuchać zwyczajony», namawiając sejm do zgody ze swoim królem, który—nawiasem mówiąc—potrzebował wówczas uchwalenia kredytu, gdyż zabrakło mu w długach. Tretiak wskazuje, że Krasicki, gdyby miał dworacką naturę Trembeckiego, gdyby nieprawdę rzekł o sobie w tych wierszach:

«Nie mówię tu z pochlebstwa, gardzę tem rzemiostem,
Wiesz, panie miłościwy, iż niem nie urosłem—»

miałby wówczas sposobność zyskać sobie króla jakąś odą na jego cześć do narodu. Ale że nie był pochlebca, napisał tylko króciutki wiersz w formie bajki, w którym wskazuje, że dobrze jest «Kiedy się wójt pracy ima, A gromada z wójtem trzyma», oraz że «Gdy z wójtem robić nierada, Mało zbierze ta gromada». Ten popularny wiersz, zdaniem Tretiaka, przyczynił się do pomyślnych dla króla zarządzeń sejmu.

Po śmierci Fryderyka II, Krasicki

jeździł do Królewca złożyć hołd nowemu królowi, a poprzedzony wrastającą wciąż sławą pisarską, znalazł w Berlinie i za nowych rządów dobre względem siebie usposobienie. Królewska Akademia sztuk mianowała go swoim członkiem honorowym. Wszelako, że odtąd nie było się z kim śmiać w Poczdamie, biskup wolał pędzić życie w Heilsbergu. Bywało tu sporo gości, odwiedzała go rodzina. Na zamku heilberskim panowała szczerza wesołość. Trupa amatorska, składająca się z rodziny i domowników, odgrywała lekkie komedje; pisywał je czasami sam biskup pod imieniem swego marszałka dworu Moszyńskiego. Dbano tu mocno o dobry stół i wino. Mówią o tem liczne polecenia gastronomiczne w listach biskupa: «Kucharza, kucharza i jeszcze raz kucharza». «Polskie potrawy żeby umiał *in excellence* gotować». «Winko, winko i jeszcze winko. Sok lemoniowy, lemoniowy i jeszcze lemoniowy». Biskup czuł się tu bardzo dobrze, jak wskazuje wiersz, w którym dał opis swojego dnia, rozpoczynającego się od picia kawy. («Achilles, Cezar wielcy ludzie byli, Jednakże kawy z śmietanką nie pili»). Wiersz ten daje nam poznać w biskupie wielkiego miłośnika natury. Opowiada w nim o swoich zajęciach ogrodnictwem. Kwiaty były jedyną jego namiętnością. Miał też kilka wspaniałych ogrodów, które sam urządził, ozdobił i uprawiał. Wieczorami dużo czytywał, lub dla rozrywki grał w karty («I com się w księgach bawił bohaterów walka, Potykam się walczenie i z królem i kralką»). Nad pogodnym jego życiem—wobec obfitych wydatków na kunsztu kucharskie i ogrodnicze, na liczną służbę i wino—zbierały się chmury: był to ciągle przyrost długów. Z konieczności zadłużony biskup poczyna czy-

nić starania w Warszawie przez krewnych i przyjaciół o jakieś inatratniejsze biskupstwo, krakowskie lub wileńskie. W listach bratu zaleca: «zgoła wszystkich trzeba sposobów wręcz bez ogródki tentować. Prymasa prosić, króla tentować, generała artylerji budzić. Koniec końcem, tak czy owak, kilkadziesiąt tysięcy intraty, a najlepiejby było, aby jakie dobre opactwo zyskać». Ale prywatna sprawa biskupa, pomimo zwawych krztań się brata, szła niesporo. W Warszawie miano na sercu wówczas sprawy ważniejsze—reformę w celu naprawy Rzeczypospolitej.

V.

Latem 1789 roku Krasicki znowu wybrał się do Warszawy. Natrafił w stolicy na wzmożony w epoce sejmu czteroletniego gorączkowy ruch towarzyski i polityczny. «Do upojonych zapalem i nadzieją — powiada Tretiak — przyjeżdżał trzeźwy — może za nadto trzeźwy, t. j. za mało przejęty ogólną chęcią dzwignania ojczyzny—i odrazu przeniknął wszystkie słabe strony wielkiego ruchu politycznego». Był zresztą już przedtem sceptycznie usposobiony przez brata, który pisał do niego: «W Warszawie bałamuctwa więcej, jak roboty». Owocem obserwacji Krasickiego był wydany bezimiennie pamflet polityczny p. t. «Organy», w których postaciował zgromadzone stany, organistą przy nich mieniając Lucchesiniego.

«Miechy szczęścia przyszłego nadzieją odęte,
Dnie im duma, wraz z zemstą za ręce ujęte».

Nie będąc stronnikiem ówczesnego kursu pruskiego w polityce pruskiej, bezimienny autor «Organów» wróży powrót starego organisty, t. j. postać rosyjskiego. Tym razem tedy stał po stronie króla i dworskiej partji wyraźnie, czyli był za przymierzem z Rosją. W «Organach» jest wiele trafnych uwag satyrycznych, gdzie np. Krasicki, oddając pochwały jednomyślniej uchwał woj-ska stutysięcznego, drwi przecie, że nie pomyślano naprzód o odzianiu i wyżywieniu tego wojska, albo wykazuje małostkowość długich obrad nad tem, jaki kostjum—czysto polski (szarawary), czy i inny będą nosili wojskowi. Utwór ten wylewał strugę zimnej wody na rozgrzane głowy i mógł być bardzo pożyteczny, ale—jak zauważa Tretiak—lekkość tonu sarkastycznego w mówieniu o rzeczach, cały naród głęboko obchodzących, związanych z jego bytem i przyszłością, świadczyła, że «zapal patriotyczny, ogarniający sejm, stolicę i ztamtąd coraz szerzej rozlewający się po kra-

ju, nie rozgrzał Krasickiego ani trochę». Zresztą nie dość było trafnej krytyki. Krasicki powinien był wskazać narodowi lepszą drogę od tej, którą uznawał za błędną, a w tym względzie autor «Organów» był za nadto niejasny. Brakło mu w tym względzie i temperamentu politycznego i głębszego odczucia chwili dziejowej.

Sceptyczny, nie umiejący uwierzyć w przyszłość rozpoczętego ruchu politycznego, Krasicki prędko usunął się do ulubionych swoich w Heilsbergu ogrodów, do «miłych zatrudnień przy marchwi, grochu i kapuście». Doniosłe, wstrząsające wypadki, zachodzące z dwóch stron na arenie dziejowej, łoskot walczącej się monarchji francuzkiej i ojczyzny, nie wyważyły tego sybaryty ze zwykłego spokoju, nie natchnęły jego Muzy. Wprawdzie napisał w 1792 r., na żądanie króla, który wówczas unosił się jeszcze polityką stronnictwa patryjotycznego, «Hymn narodowy 3 maja», ale zimny i blade ten hymn świadczy najwyraźniej, że zapal był tu tylko ob-stalowany.

Kraszewski broni Krasickiego przed zarzutem obojętności dla ojczyzny, powołując się na jakieś listy poufne, z których widać, że Krasicki mocno czuł nieszczęście krajowe, na które nie widział ratunku. Ogłoszona obecnie korespondencja Krasickiego przeciwnie wskazuje, że w najważniejszych i najtragiczniejszych chwilach życia narodowego, Krasicki «ślicznie się bawił», «pisał dzieła bardzo zabawne», marzył o «kwiatkach w ogrodzie Ham-burskim», patrzył na tańce w Heilsbergu i pijał dobre wino. Zaledwie w Berlinie 10 lipca wyrwało mu się jakby mimowolnie westchnienie: «Co się też na świecie dzieje! Daj Boże, aby się zło skończyło, a jeżeli zupełnie nie może, niechże przynajmniej mniej będzie złego, niż jest. Co daj Boże—amen». I zaraz dodaje, wyrażając jakgdyby dewizę naczelną swego życia: «A my jednakże będziemy weseli na złość temu wszystkiemu, co się dzieć będzie».

Wesołość była tedy nietylko naturą jego, lecz i systemem filozoficznym. Kiedy wkrótce po drugim rozbiore zostaje arcybiskupem gnieźnieńskim, zajmując opróżnione przez śmierć Michała Poniatowskiego stanowisko, pierwszym jego staraniem jest—sprowadzenie wybornego wina węgierskiego. Pod koniec 1795 r., donosząc bratu o wyjściu wojsk rosyjskich, pisze: «Nie będzie Warszawa tak wspaniała, jak była, jednakże u mnie zabawić się będzie można».

Widzimy, że Tretiak nie ukrywa żadnej z wad charakteru Krasickiego. Można by się nawet obawiać, że na zasadzie tych tylko danych, które podał skrzętny biograf, silne i czyste uniesienie moralne wyda inny wyrok na Krasickiego, niż ten, który podyktowała wyrozumiałość psychologiczna i literacka sympatja Tretiaka.

Bo oto mamy przed sobą biskupa, który nie dbał o sprawy swojej djecezy, katolickiego duchownego, zabawiającego się anegdotalami ateusza i wroga katolicyzmu, polaka, który bywa na obiadkach u spiskującego na zglębę Polski króla, dostojnika kościoła, marzącego o intratnych biskupstwach, satyryka, ponczającego o potrzebie oszczędności, a trwoniącego na bankiety olbrzymie sumy, udzielnego księcia, dbającego o to, jak dogodzić królowi pruskiemu i polskiemu zarazem, człowieka epoki, w której krew pluszcze z obu stron, z francuzkich gilotyn i z serca ojczyzny, pozostającego stale w dobrym humorze, pisarza, zajmującego wysokie państwowe stanowisko, a nie rozgrzanego ani na chwilę najpoważniejszymi wysiłkami pracy reformatorskiej w kraju ojczystym, kapłana, którego osoby najbliższe mianują pieszczotliwą nazwą kocia-ka, sługę religji, do którego własny brat poważa się pisać: «średnia droga najbezpieczniejszą była, ażeby i Boga chwalić i diabła nie gniewać». Czy to wszystko nie może wyrwać z ust pytanie zgrozy: «jakiemiż mieli być inni, gdy tacy byli najlepsi?»

A przecie, gdy się weźmie pod uwagę działalność pisarską Krasickiego, satyry, w których śmiało karcił zdrożności swojego czasu, ideał obywatela, który w «Panu Podstolim» postawił narodowi przed oczy, jako wzór do naśladowania, jako owoc zreformowanych pojęć obywatelowych; jeżeli zważy się, co uczynił dla literatury, dla języka ojczystego, niepodobna będzie nie zgodzić się na ostateczny a wyrozumiały sąd Tretiaka:

Był takim, jak był, ponieważ nie miał ambicji politycznej, nie miał wiary w powodzenie ówczesnych robot politycznych. Natomiast miał inną ambicję, miał w sobie *inne* zdolności i miał wiarę w powodzenie *innej* sprawy: ambicję oświecania narodu, zdolność czynienia tego w sposób przyjemny, zajmujący, a ztąd najsukcesywniejszy; wiarę w płodną siłę oświaty. Nęciła go sława Woltera; chciał zostać Wolterem, ale Wolterem chrześcijańskim, polskim, przystosowanym do potrzeb i ducha narodu. Tę sferę obrał sobie, odgrodził ją szczerze od polityki i

Z A N I K A J A C A W A R S Z A W A .



Rozbórka gmachu szpitalnego Dzieciątko Jezus. Na pierwszym planie kościołek, który zostanie przebudowany.

na niej, trzeba przyznać, pracował gorliwie i wytrwale, i na niej to położył niespożyte zasługi.

Dlatego, jak po pierwszym rozbiore wydaje cały szereg dzieł, które miały znaczenie wychowawcze dla narodu, i zapełnia cennymi pracami warszawskiego «Monitora», tak natychmiast po drugim i po trzecim rozbiore, w dwadzieścia lat potem, zakłada w Łowiczu pismo: «Co tydzień», gromadzi koło siebie rozbitków literackich z najzdolniejszym z nich, Dmochowskim, i do końca życia swojego niezmordowanie pracuje piórem. A choć w tej epoce jego wyobraźnia pisarska i dowcip błędna i tępieją, zasługuje się jeszcze narodowi, zawiązując «Towarzystwo naukowe warszawskie», dla którego wyjednał zatwierdzenie w Berlinie. Z tego względu sąd o Krasickim, jako o człowieku, mógłby wypaść naogół niechętnie tylko wówczas, gdyby zwątpić można było o wpływie jego pism na naród, o urobieniu się ziemian polskich według ideału, nakreślonego w «Pannie Podstolim», o wetchnięciu przezeń ducha postępowego w społeczeństwo polskie, o tem, że był on Wolterem chrześcijańskim... Zresztą i w tym wypadku pozostałby—jako wartość niewątpliwa—jego ogromny talent poetycki.

«Wielka pustka i wielkie milczenie literackie — powiada Tretiak — było u nas w pierwszych latach porobiorowych, a tę pustkę oświecało blademi promieniami zachodzące słońce XVIII wieku — Ignacy Krasicki. Wkrótce też zaszło to słońce».

Krasicki umarł w Berlinie dnia 14 marca 1801 roku.

Leon Bielski.

FELJETON PARYZKI.

„Sprawa Kossowskiego“. Rzeźby Biegasa.

Paryż, 16 maja.

Mamy tedy «sprawę Kossowskiego», z francuskiego na polski grunt przeniesioną i rozszczeplającą się szeroko w nadwiślańskiej prasie. Rzeźby, która dała powód do tej sprawy, nie widziałem dotąd. W obecnej *salonowej* porze tyle jest dzieł sztuki *wystawionych* i narzucających się przeto uwadze paryzkiego korespondenta, tyle ich bywa każdego czasu, nawet po za salonową porą, że za *niewystawionemi* uganiać się trudno. Skoro jednak «sprawa Kossowskiego» dostała się na porządek dzienny u nas, postaram się odwiedzić pracownię artysty, którego nie mam przyjemności znać osobiście i którego utworów nie przypominam sobie w żadnym Salonie od lat dwudziestu, choć bawi on podobno od tak długiego czasu nad Sekwaną. Nie omieszkać także, o ile będę mógł, dostarczyć «Krajowi» wszystkich dokumentów, odnoszących się do tej

sprawy, razem z fotograficzną podobizną zakwestjonowanego utworu. Tymczasem przesyłać pragnę jaknajprędzej krótkie objaśnienie.

Nikt chyba z czytających «Kraj» od dawnego czasu, nie posiadał mnie, czy to o sympatję dla hakatystów pruskich, czy choćby nawet o pobłażliwe uczucia dla któregośkolwiek jury salonowego. Pragnąłbym całą duszą, ażeby prusaków (nie mówię: niemców) nie było na świecie; gotów jestem zaś powtórzyć to samo odnośnie do salonowych sędziów. Aby jednak, nie dopuszczając p. K. do Salonu, sędziowie tegoroczni kierowali się miłośnikami politycznymi podobkami, podług rzuczonej ztań, a u nas skwapliwie pochwyconej pogłoski, tego przypuścić żadną miarą nie mogę, dla jednej, bardzo prostej przyczyny, która zdaje mi się absolutnie kategoryczna.

Rzecz ma się tak. P. Kossowski posłał do jednego z salonów rzeźbę, przedstawiającą polskiego chłopaka, jedną z wrzesińskich ofiar, w śmiertelnym uścisku morskiego potwora, o najeżonych ssąciami brodawkami ramionach. Rzeźba—mówią—jest bardzo piękną i domagała się umieszczenia na pokaźnym miejscu, ale sędziowie salonowi przelekli się ewentualnych dyplomatycznych komplikacji, uczuli strach przed cesarzem Wilhelma — i odrzucili piękny, ale oczy kolący utwór. Tak rzecz przedstawiły niektóre z dzienników tutejszych, tak ją rozumiały niektóre z naszych organów i — urosła «sprawa Kossowskiego». Otóż przyczyna, dla której takiemu przedstawianiu rzeczy dowierzać nie mogę, jest ta, że w tym samym Salonie, który zamknięto przed p. Kossowskim z jego rzeźbą, znajduje się obecnie obraz dużych rozmiarów, przedstawiający nie jedną wrzesińską ofiarę, ale całą ich gromadkę, kłęczącą przed krzyżem, na którym malarz, p. Palauzeau, umieścił symbol, z punktu widzenia dzisiejszej francuskiej polityki i dyplomacji, nierównie drażliwszy od tego, którego uplastycznieniem zajął się p. Kossowski.

Sprawa tego artysty wydaje mi się nierównie prostszą i z polityczno-dyplomatycznymi względami żadnego związku nie mającą. Sędziowie salonowi mylą się często, ale najpospoliej nieomylnymi być przestają wobec utworów *symbolicznego* charakteru. I tu niepodobna odmówić im pewnych okoliczności łagodzących. Po za stroną techniczną, która zwykle bywa słabą w utworach tego rodzaju (rzeźba p. Kossowskiego stanowi może wyjątek), główna wartość ich polega na pomyśle, którego treść z natury rzeczy trudna jest do odgadnięcia. Otóż sędziowie salonowi mają mało czasu. Stało się więc prawdopodobnie z p. Kossowskim tak, jak z p. Biegasem, którego rzeźbom, niedopuszczonym także do salonów na Polach Elizejskich i umieszczonym w tegorocznym *Salon des Indépendants*, korespondent

«Nowego Wremia» poświęcił entuzjastyczny artykuł, dołączając dwa fotograficzne okazy, zkaż znowu łatwo byłoby wyprowadzić wniosek, że pojawiające się w Paryżu arcydzieła sztuki polskiej trafają łatwiej do serca korespondentowi rosyjskiego, niż korespondentowi polskiego pisma. Dlaczego nie pisałem dotąd o Biegasie? Dlaczego dałem się wyprzedzić panu Sarmatowowi?

Odpowiem krótko.

Nie pisałem o rzeźbach Biegasa dlatego, że w artystycznych kołach tutejszych, i nawet wśród rzeczoznawców, najłatwiej sympatyzujących z ekscentrycznymi kierunkami sztuki, były one przedmiotem ogólnego pośmiewiska, do którego nie chciałem dołączać osobistych uwag, z natury rzeczy ujemnych. Są bowiem może genialni te rzeźby, jak chce p. Sarmatow, ale ich zrozumieć nie mogę. I tak samo salonowi sędziowie nie zrozumieli poprostu utworu, z którym zgłosił się p. Kossowski. Poczem dwa czy trzy pisma tutejsze, trudniące się kopaniem dołków pod nogami p. Delcassé, wyzyskały sprawę w sposób odpowiadający ich narowom, dostarczając materiału dwom czy trzem zbyt żwawym korespondentom polskim. Czytelnicy «Kraju» mogą być przekonani, że każda rzeczowista chwala polska i każda rzeczywistość polska sprawa mają zawsze u mnie pierwsze miejsce, i nie mam przed niemi spraw innych. Zkądinaż przyznaję sobie zupełną niezależność wobec tutejszych politycznych czy społecznych stosunków, i używam jej podobno. Ale nie widzę potrzeby wtórowania miejscowej tromtadacji, ani nadużywania udzielanej mi gościny dla lekkomyślnych wycieczek przeciwko społeczeństwu, które może nie oddawać należytej sprawiedliwości p. Kossowskiemu, czy p. Biegasowi, ale przykłada hojną rękę do podtrzymania kilku naszych tutejszych instytucyj polskich.

Nemo.



POMNIK JANA III W ŻÓŁKWI, dłuta St. Czapka. Szkic z gliny.

Z CHWILI BIEŻĄCEJ.

Pomnik Sobieskiego.

Na zamówienie reprezentacji gminnej, stanie niebawem pomnik króla Jana III w Żółkwi, której dzieje w XVII stuleciu splatają się tak ścisłym węzłem z dziejami bohaterskiego obrońcy Chrześcijaństwa. Pomnik będzie



Stanisław Czapka, twórca pomnika.

z piaskowca tarnopolskiego, siedm metrów wysoki. Nad wykonaniem jego pracuje młody, 26-letni artysta-rzeźbiarz, Stanisław Czapka, uczeń wiedeńskiej Akademii sztuk pięknych, twórca pomnika cesarzowej Elżbiety w Salzburgu.



STANISŁAW GŁABIŃSKI, profesor ekonomji na uniwersytecie lwowskim i nowoobraný poseł m. Lwowa do Rady państwa.

Galerja Raczyńskich.

Berlińska „National Ztg“ dowiaduje się, że galerja Raczyńskich będzie niezadługo przeniesioną z Galerji narodowej berlińskiej do Poznania. Na mocy układu, zawartego ongi przez założyciela tej Galerji, hr. Atanazego Raczyńskiego z królem pruskim Fryderykiem-Wilhelmem IV, galerja aż do r. 1905 pozostawać miała pod zarządem państwa, w ten wszakże sposób, iż rodzina Raczyńskich nie strzekała się prawa własności. Oddawna już istniał zamiar wcielania—po upływie tego terminu—galerji do nowego Muzeum poznańskiego. Z Poznania jednak zwrócono się do zarządu berlińskiej galerji narodowej z prośbą o nadesłanie tych zbiorów wcześniej. Zarząd galerji dał odpowiedź przychylną. Wobec

tego przewiezienie galerji Raczyńskich do Poznania nastąpi prawdopodobnie jeszcze w roku bieżącym. Nadmienić wypada, iż nowe Muzeum poznańskie stanowić ma jeden ze środków „cywilizacyjnego podniesienia niemieczny“ na pruskich kresach wschodnich.

Z ruchu artystycznego we Włoszech.

Z Rzymu piszą do nas: Wielkie powodzenie miało tu nowe oratorjum „Mojżesz“ księdza Wawrzyńca Perosiego. Libreto wyjęte zostało z księgi „Exodus“ Starego Testamentu. Samo wreszcie oratorjum, jako dzieło muzyczne, stanowi niejako przejście do poematu symfonicznego ze śpiewami, począwszy od preludjum, malującego życie pasterskie u madjanitów, aż do całej trzeciej części ze wstępem p. t.: „Plagi egipskie“, z przeprawą izraelitów przez morze Czerwone, pościgiem Faraona, burzą, ustępami dramatycznymi, które publiczność rzymska przyjęła z entuzjazmem. Jak mi mówił młody kompozytor, obecnie zamysła on napisać hymn na cześć Niepokalanego Poczęcia, z powodu 50 rocznicy ogłoszenia dogmatu, przypadającej za 2 lata.

Co chwila ożywia się tutaj życie umysłowe i artystyczne. Wenecja urządziła co dwa lata międzynarodowe wystawy malarstwa i rzeźbiarstwa. Turyn otworzył teraz międzynarodową wystawę wolnej sztuki dekoracyjnej, t. zw. liberty, secesje, Ars nova, jak kto chce nazwać ten modernistyczny kierunek. Bolonia przysłała śliczne meble, roboty z kutego żelaza; Holandia wystawiła całe urządzenia pokojowe, Węgry mozaiki, szkła, wyroby z miedzi; Szwajcya srebra, porcelany, koronki, tkaniny; Anglja—rysunki, ryciny Walter Crane'a, modele secesyjnych *cottages*; Belgja—meble i ańsze à la Mucha. Tak samo Stany Zjednoczone, Francja, Niemcy, Austria, Japonja mają obszerniejsze wystawy i nawet niektóre z tych państw oddzielne pawilony. Wystawa potrwa kilka miesięcy. Szkoda, żeśmy stylu zakopiańskiego nie przedstawili. Weryha.

Jubileusz kapłański.

Od r. 1877 proboszczem kościoła po-karmelickiego w Berdyczowie jest ks. Oktawjan Górski, który d. 20 lutego r. b. ukończył właśnie dwudziestopięcioletnie swej nieprzerwanej, owocnej pracy w zarządzie parafją berdyczowską. — Wdzięczni parafjanie pragnęli upamiętnić ten uroczysty dzień, i za inicjatywą ks. Heleny Giedroyciowej, hr. Marji Dąbskiej z Piatyhorki i d-ra Kłopotowskiego, postanowili ofiarować czcigodnemu jubilatowi adres i pierścień pamiątkowy, jako znak symboliczny srebrnych godów jego z parafją. Jakoż po rannej mszy św., odprawionej pontyfikalnie przez samego jubilatę w pięknym ornatcie, misternie wyhaftowanym przez pannę Wiktorję hr. Dąbską, w asystencji ks. bar. Szwedtberga, proboszcza kościoła farnego

z Berdyczowa i ks. Sudnika, proboszcza z Machnówki — ks. Felician Giedroyc, wstąpiwszy na stopnie wielkiego ołtarza wraz z p. Stołyhwą i d-rem Kłopotowskim, przemówiłszy stosownie do tej podniosłej uroczystości, wręczył ks. Górskiemu ozdobnie skreślony adres wraz z pierścieniem, uprzednio poświęconym przez ks. Sudnika. Głęboko tem wzruszony jubilat, ze łzami wdzięczności w oczach, złożył w serdecznych wyrazach podziękowanie zebranym i przystąpił zaraz do odprawienia dziękczynnych modłów przed cudownym obrazem za wszystkich obecnych i nieobecnych parafjan, poczem w krótkiej i tłumnie zebrani parafjanie składali mu serdeczne wyrazy



Ks. Okt. Górski.

głębokiego uznania, miłości i życzenia „ad multos annos“. Następnie, w mieszkaniu, młodzież szkolna, której ks. Górski wykladał zasady wiary św. jako katecheta, ofiarowała mu dar pamiątkowy, — a nadto deputacja izraelitów, złożona z dwóch miejscowych rabinów i d-ra Szperlinga z Berdyczowa, wręczyła jubilatowi bogato oprawne Pismo Święte Starego Zakonu, z hebrajską i polską dedykacją, wyrażisz przytem, iż w tym dniu uroczystym żydzi składają mu w hołdzie zasadniczą Księgę swej wiary, czyli to, co mają najdroższego. Jubilat serdecznie i gościnnie podejmował u siebie wszystkich zgromadzonych, z których grona przemawiali jeszcze: dr. Peszyński, dr. Szperling i ks. Fel. Giedroyc, podnosząc zasługi ks. Górskiego i wyrażając życzenie, aby berdyczowscy parafjanie jaknajdłużej cieszyć się jeszcze mogli szczęściem posiadania wśród siebie czcigodnego jubilatę. F. B.

Francuzka o Sienkiewiczu.

Panna Buffet, córka byłego ministra francuskiego, wielka znawczyni i miłośniczka naszej literatury, nadesłała do swoich znajomych w Warszawie list, zawierający bardzo wiele trafnych uwag o przekładach dzieł Sienkiewicza na język francuski.

„Kocham do tego stopnia język polski — pisze panna Buffet — że czytając tutaj złe przekłady Sienkiewicza, doznaję bólu już nie tylko moralnego, ale poprostu fizycznego; tej zimy wpadł

mi do ręki ohydny przekład jego noweli: „Przez stępy“, który mnie zmartwił prawie do leż, tak że moja matka usunęła mi tę książkę z przed oczu, ażebym na nią nawet nie patrzyła. Tłumaczeń tego rodzaju jest, niestety, więcej — i oto powód, dla którego sama zabrałam się do ogłoszenia własnych przekładów. Nikt bardziej odemnie nie widzi wszystkich braków w nich przy porównaniu z oryginałem, ale przynajmniej dla własnej pociechy powiedzcie sobie mogą, że zabrałam się do tej pracy z całą troskliwością, z miłością nawet“.

Wspominając o nadzwyczajnym powodzeniu dzieł Sienkiewicza we Francji, powiada: „Zadna książka żadnego autora francuskiego, czy obcego, nie miała u nas takiej wziętości, jak „Quo vadis“; w przeciągu dziesięciu miesięcy rozszło się jej 269 wydań, co znaczy, że czytało ją około miliona osób. Książkę wydawano zeszytami po 2 sous, aby ją uprzystępnić nawet najuboższym; puszczono niemniej w świat edycję ozdobną z ilustracjami. Gorączkowie zapal ogarniał wszystkich czytelników; jeden z krytyków nazwał ten kult Sienkiewicza u nas „zaraziłwą epidemią o ostrym przebiegu“. O powieści Sienkiewicza rozmawiano nawet w najmniejszych zapadłych miasteczkach na prowincji. W salonach zawieszono obrazy z wizerunkami Winicjusza, Ligji i Petroniusza. Sienkiewicz przewyższył w popularności swej wszystkich współczesnych autorów francuskich, nie wyłączając Rostanda. W teatrze przeróbkę jego powieści, nieszczerą zresztą, grano około 200 razy.

Pewna reakcja nadejść musiała, bo potem przetłumaczono zawile, tłumaczone źle, co spowodowało rozdrażnienie krytyków, a i zazdrość autorów musiała się domieszać do tego niewątpliwie“.

Ciekawy ustęp poświęciła panna Buffet zestawieniu naszej beletrystyki z francuską, której zarzuca pokrzywdzenie swojej ojczyzny, obyczajów, a zwłaszcza pokrzywdzenie kobiet w opinii zagranicy; zarzuca ona niektórym pisarzom, że malują Francję, jej stosunki społeczne, towarzyskie, rodzinne, w fałszywym świetle, przejawione dla efektu, a świat według takich powieści sądzi o nich i nabiera spaczonych wyobrażeń.



Dr. MATUS DULA,

słowak, przewodniczący IV zjazdu dziennikarzy słowiańskich w Lublanie (patrz artykuł w Dziale polit.-spol. bież. N. r.).



Karol Matuszewski, literat, b. naczelnik agencji handlowej w Mławie, zmarł w Warszawie d. 30 kwietnia.



Józef Jamontt, wice-prezes wydziału starców i kalek warsz. Tow. dobr., zmarł w Warszawie d. 13 maja.



Władysław Skłodowski, b. nauczyciel szkół rządowych, zmarł w Warszawie d. 4 maja.



Ks. Franciszek Kondracki, kapucyn, proboszcz parafii iwanickiej na Wołyniu, zamordowany przez rabusiów w grudniu r. z.

NOTATKI.

Naukowe.

+ Akademia umiejętności w Krakowie ogłasza dwa konkursy na stypendja: imienia ś. p. Zen. Piłcockiego dla kandydatów nauk matemat.-przyrodniczych w kwocie 2.400 kor. i ś. p. Sew. Gałęzowski w kw. 5 tys. dla posiadających wyższy stopień naukowy, na dopełnienie studiów zagranicą. Podania powinny być wnoszone po dzień 15 czerwca r. b.

+ Przekonano się, że odkryty przez p. Curie-Skłodowską pierwiastek radium o promieniach świetlnych działa na błony siatkowe oczu niektórych ociemniałych.

+ W sali Cesarskiego Towarzystwa geograficznego d. 10 maja odbyło się posiedzenie członków wydziału etnografii, na którym uczony rodak nasz, p. J. Talko-Hrynczewicz, wygłosił odczyt p. t.: „Obserwacje antropologiczne w Mongolji i kraju Zabajkalskim“.

+ Ukazało się w druku dzieło p. t.: „Ustawy komisji edukacji narodowej dla stanu akademickiego i na szkoły w krajach Rzeczypospolitej, przepisane w Warszawie w 1783 r.“, pióra p. Dionizego Bujalskiego, autora wydanej w r. z. „Ustawy sądu uczniów gimnazjum wołyńskiego“, z czasów Kollataja i Czackiego.

+ Amerykańska wyprawa w celu poszukiwań Andrégo wróciła z wieściami, potwierdzającymi domysły o śmierci jego.

+ Do wszystkich bibliotek w Królestwie, zamierzając wydać księgę adresową bibliotek państwa rosyjskiego, zwróciła się Akademia nauk w Petersburgu z prośbą o udzielenie wiadomości o księgozbiorach polskich.

Literackie.

+ Ukazało się w druku dzieło p. Sztolcmana p. t. „Nad Nilem niebieskim“, zawierające barwny opis odbytej przez autora w r. z. wyprawy myśliwskiej do Afryki w towarzystwie Józ. hr. Potockiego. Artystycznie wydane dzieło zdobią ilustracje p. Józ. Rapackiego.

+ Pisma ogłaszają list wyhodźcy polskiego Antoniego Wiatraka z Guatemali do Stenkiwicza, świadczący o niezwykłej popularności dzieł jego, rozprzestrzenianych się za Oceanem w tłumaczeniach i oryginałach.

+ Miesięcznik rosyjski „Więstnik inostrannoj literatury“ drukuje w przekładzie „Sprawę Dotęgi“ J. Weyssenhoffa.

+ Bajkę Stenkiwicza: „H. K. T.“ umieściło w przekładzie niemieckim, pismo monachijskie „Das Bayerische Vaterland“.

+ Pisma donoszą o projekcie utworzenia konsorcjum wydawniczego, w celu rozpowszechnienia starannie i tanich wydań dzieł wybitniejszych.

+ Wszystkie wybitniejsze utwory Tetmajera, spotykamy w piśmie niemieckich w bardzo dobrym przekładzie.

Artystyczne.

+ W tygodniu bieżącym ukazuje się pierwszy zeszyt „Śpiewu

Kościelnego“, stanowiący ciąg dalszy czasowo zawieszonoego wydawnictwa.

+ Ciekawa wystawa akwarel, rysunków i szkiców dawnych artystów polskich, które ofiarował warszawskiemu Tow. sztuk pięknych p. M. Berson, otwartą została w pałacu sztuki.

+ Na konkursie na projekt ołtarza wielkiego w kościele zakopiańskim pierwszą nagrodę, w ilości 500 koron, przyznano p. Machczyńskiemu, budowniczemu z Paryża.

+ Wydawnictwo „Pomników miasta Krakowa“ pp. M. i St. Cerebów i F. Kopyry otrzymało z funduszu austriackiego ministerstwa oświaty 5 tys. koron subwencji.

+ Krytycy czescy z wielkim uznaniem odzywają się o dziełach artystów polskich, wystawionych w prazkim Salonie tegorocznym.

+ Dyrekcja Filharmonji warszawskiej otrzymała telegram od Paderewskiego z Madrytu, donoszący, że do Warszawy na premierę opery swojej „Manru“ przybyć nie może, bo ma rozpoczęty szereg koncertów w Hiszpanji.

+ „Figaro“ donosi, że w sali Erarda w Paryżu występowała na koncercie uczennica p. Kohl, przy współdziałaniu artystów opery i opery komicznej, była uczennicą konserwatorium warszawskiego, panna Dorcelle (Elżbieta Piłkówna). Krytyk „Figara“ wróży jej przyszłość.

+ We Lwowie otwarto uroczyste nowy Salon artystyczny Latoura. Oprócz cyklów Krzesza, na wystawie znajduje się przeszło 70 obrazów, jak Ajdukiewicza, Kowalskiego, Stachewicza, Batowskiego i in.

Teatralne.

+ W „Kur. Polskim“ p. L. Straszewicz w wyczerpującej krytyce „Wdowy z Efezu“, zalicza nową komedię p. Mellerowej do utworów, profanujących szlachetniejsze uczucia ludzkie. Przyczołczywszy treść komedji, p. S. powiada: „Podobno pomysł do „Wdowy z Efezu“ nie narodził się w głowie naszej autorki, lecz go znalazła w resztkach utworów, pozostałych po Petronjuszu, owym „arbitrze elegancji“, którego uniesmiertelnił Stenkiwicz w „Quo vadis“. Jeśli tak, to tem gorzej. Autor jest dla siebie złym sędzią, łatwo daje się unieść pomysłowi i pióru na manowce i nie spostrzega tego. Ale żeby w obcym utworze upodobać sobie takie brzydactwo i wziąć za temat do pracy—to, zaiste, do zrozumienia nie łatwe. Nie znam owego „Satyrykonu“, z którego p. Mellerowa wydobyla swą wdowę, ale nie wątpię, że Petronjusz mógł coś podobnego wymyślić. Był on objawem tego zepsucia, które doprowadziło Rzym do upadku zarówno obyczajowego, jak państwowego. Sam zatruty zgnilizną, zatrąwał współobywateli. Czyż godzi się ten jad moralnego rozkładu sączyć w żyły naszego organizmu!“

+ W Paryżu odbył się 20 b. m. pierwszy występ p. Salomei Kruszelnickiej w „Grand-Opéra“.

Pani Kruszelnicka śpiewała Elżę w „Lohengrinie“. Przyjęcie ze strony publiczności było bardzo życzliwe, a krytyka z ogromnym uznaniem odzywa się o naszej primadonnie. Świetnym Lohengrinem był Jan Reszke. Dzienniki podnoszą śpiew panny Kruszelnickiej; „Gaulois“ pisze: „Rola Elży w „Lohengrinie“ śpiewała młoda i uroczą śpiewaczką, panna Krouszenika, której wdzięk niezwykły i głos prześliczny zachwyciły publiczność“. „Voltaire“ nazywa ją panią Kronsceniską i stwierdza, że śpiewała rolę Elży jak wielka artystka: „głos wspaniały, postawa, gest najmniejszy, wyraz twarzy—wszystko doskonałe“. Dzienniki podają też krótkie notatki biograficzne, zaznaczając, że Kruszelnicka jest pochodzenia polskiego.

+ Śpiewaczka koloratura Olimpia Boronat (hr. Adamowa Rzewuska) zakończyła szereg gościnnych występów w Warszawie, uwiecznionych zupełnie powodzeniem. Znamiem artystka wystąpiła pięciokrotnie: dwa razy w operze „Lucja z Lammermooru“, „Rigoletto“ oraz „Cyrulik Sewilski“. Artystka zaangażowaną została ponownie i zawita w przyszłym sezonie operowym w m. stycznim.

+ Najnowsza sztuka Gabrieli Zapolskiej p. t.: „Tresowane dusze“ wejdzie na repertuar teatru w Pilźnie i Volksteatru w Wiedniu po uprzednim przetłumaczeniu na język czeski i niemiecki.

+ Wielkim powodzeniem cieszy się Fr. Domnika: „Na Łyczakowie“, obraz sceniczny, wystawiony niedawno w teatrze lwowskim.

BIBLIOGRAFJA TYGODNIOWA.

GALECKI ST. dr. Wykład popularny o suchotach płucnych—kop. 30.
GORZYCKI K. Zarys historii chłopów w dawnej Polsce do zniesienia poddaństwa—kop. 75.
GRUSZECKI A. W tysiąc lat. Powieść na tle stosunk. słowacko-węgierskich, rb. 1 k. 50.
HOEFFDING H. Etyka, 2 tomy—rb. 1 kop. 10.
KIRCHNER W. ks. Marja, jako Matka Niebieska naszego życia pobożnego—kop. 10.
LACH. Zygzyki. Wyciąg z niewyczerpanej księgi humoru i satyry—kop. 40.
LASKOWSKI K. Pogrzeb. Tryptyk sceniczny w 3-ach aktach—rb. 1.
MENAULT E. Miłość macierzyńska u zwierząt. Z ilustr., 2 tomy—kop. 50, w opr. płóc. kop. 80.
POPŁAWSKI C. Fatum—kop. 40.
PUSZKIN A. Eugenjusz Oniegin. Romans wierszem. Przełożył L. Belmont. rb. 1 k. 20.
SZYMKIEWICZ M. ks. Nauki parafjalne niedzielne i święteczne dla ludu wiejskiego—rb. 1 k. 20.
„ŚWIATOWIT“. Rocznik, poświęcony archeologii przedhistorycznej i badaniom pierwotnej kultury polskiej i słowiańskiej. Tom IV—rb. 2 k. 50.
VESPERAC. Nieszporo uroczyste na niedziele, urocz. i święta, przypadająca w niedz. według Brewjarza Rzymackiego—kop. 15.
„WARSZAWA“. Album, złożone z 36 widoków, w opr. płóc.—rb. 2.
WIELKA CHWAŁA św. Antoniego Padewskiego—kop. 20.
„WSZYSTKO DLA CHRYSZTUSA“ przez Marję. Zbiór codziennych modlitw—kop. 30.
ŻULAWSKI J. Benedykt Spinoza. Człowiek i dzieło. 2 tomy—rb. 1.

Do nabycia w Księgarni Polskiej K. Grendyszyńskiego w Petersburgu (ul. Jekateryńska № 2).

CZYTELNIĄ

„Kraj“

Petersburg, 17 (30) maja 1902 roku.

№ 20

T R E Ś C :

MIECZ I ŁOKIEĆ. Powieść z wieku XVII, przez Wiktora Gomulickiego. (DC).
ZOUZDYCH ŁAMÓW. Nieznane wiersze Zygmunta Kraszińskiego. (Z „Bibl. Warsz.“).
ROK 1809. Powieść historyczna, p. Wacława Gąsiorowskiego. (DC).
KOKO. Nowela, p. Guy de Maupassant'a, tłum. Z. Klośnik.
TO I OWO.

MIECZ I ŁOKIEĆ.

POWIEŚĆ Z WIEKU XVII.

PRZEZ

Wiktora Gomulickiego.

II.

Światła i cienie przesuwają się po wyrazistej twarzy hetmana. Rzucala je może migotliwa lampka—prędzej wszakże pochodziły od kotujących się w mózgu myśli.

Duchem stał hetman wysoko, w sferze zupełnego, nadziemskiego spokoju—nad nerwami choremi panować nie zdołał. Unosiły go częściej dalej, niż należało. Kiedyś, w obliczu wojska, cisnął buzdycanem w Kazanowskiego—omal nie uśmiercił magnata. Było to ze wszech miar oplakane; najgorzej odbiło się na zdrowiu hetmańskim.

Ależ-bo trudno już było wytrzymać. Dworska hałastra, otaczająca królewica, zbyt wiele sobie pozwalala. Sama powierzchność strojnych, podrygujących, z kudlatymi włosami, pizmem woniących młodzików, poruszała żółć w starym rycerzu. Cóż dopiero, gdy te fanfarony obejściem się, minami, półsłówkami okazywali lekceważenie jego władzy najwyższej.

Hałastra czuła się bezkarną, mając za sobą syna królewskiego. Władysław pewnieby wybrki młokosów poskromił—choroba trzymała go w łożu, czyniła bezsilnym.

I położenie w obozie trulo hetmana. Najlepiej był świadomy jego niedostatków, zwłaszcza przy wojnie przewlekłej. Łatwo mogło zbrak-

nąć żywności i amunicji. Przytem, któż mógł zareczyć za długą wierność kozaków? Zaporozcy byli, jak wiatr stepowy—trudno było zgadnąć: kiedy i dokąd polecą. Tylko pieniądze mógł być zatrzymać ich na miejscu, ale tej marności zawsze brakło Rzeczypospolitej. Tymczasem na kozactwie stała armja, wspierały się losy całej wyprawy.

Przeczcucie śmierci nie miało dla Chodkiewicza nie strasznego. Ale drżał, żeby nie przyszła nie w porę. Już upatrzył w Lubomirskim swego następcę—wolałby był jednak sam sprawy z turkami uładzić.

Przesuwała mu się niekiedyś przed oczyma uroczą postać Anny-Aloizy—postać dziwna, lotna, podobna do tych majaków, które, zdaje ci się, że już trzymasz w ręce, a one ulatują w dal, albo się w nicostę rozplywają. Takie promienie pięknie złocą puszystość lekkich, wiosennych obłoczków—czarnych, jesiennych chmurzynek one nie przebijają...

Mroki na czole hetmańskim coraz bardziej gęstniały, z oczu coraz posępniejsze, jakby gromniczne buchało światło. Zerwał się nagle, postąpił kilka kroków w głąb namiotu, gdzie błyszczał w półcieniu ołtarzyk połowy.

Ukląkł na porzuconej tam skórze wilczej—oczy do nieba wznosił—modlił się...

Długo trwała modlitwa. Nie przeszkadzano w niej hetmanowi. Ktoś kilkakrotnie zaglądał do namiotu—sposprzegłszy starca na kłęczkach, cofał się z pośpiechem.

Nagle oczy modlącego się stanęły słupem. Powyżej ołtarza, w ciemnym zagłębieniu dojrzał głowę Zółkiewskiego. Głowa unosiła się w powietrzu krwawa, śmiertelną sinością powleczone; z jej oczu, patrzących z bolesną wymówką, płynęły łzy...

Krótki, przenikliwy krzyk wydarł się z piersi Chodkiewicza. Starzec wznosił w górę obie ręce, na usta wystąpiła mu piana—z wykrzywioną twarzą, z drgającymi członkami upadł na ziemię.

W teje chwili weszli do namiotu dwaj ludzie: ksiądz i lekarz.

Ksiądz wziął się zaraz do modlitwy. Lekarz podsunął choremu pod głowę zwinięty kobierzec i z miejsca go nie ruszał.

Była to chroniczna choroba hetmana: kaduk. Straszny jej napadami przyplacał każdą głębszą zgryzotę, każdy gwałtowniejszy wybuch gniewu. Pod Chocimem napady potwarzały się częściej, bo i cierpienia częściej i srożej dojmowały.

Burliwy dzień życia hetmańskiego nie rozpogodził się nawet pod wiecór.

Gdy napad minął, ksiądz z lekarzem przenieśli chorego na łożo—sami siedli opodal, cicho rozmawiając.

—Odpoczynku mu trzeba—mówił ksiądz.—Dość już naturalnie w służbie Rzeczypospolitej. Nie młodzik; miejsce jego nie w namiocie, jeno przy ciepłym kominie, przy dzbanie piwa z grzankami...

Lekarz uczynił głową i ręką znak przeczający.

—Co mówisz, reverende!—zżymnął się.—Chciałbyś pewnie sokoly po kurnikach trzymać, ognistemi bachmatami mierzwę wozić. Jemu nie pod przysłone leżać, jeno w pole lecieć, szablą karków pogańskich macać. Posoka turecka—oto remedium na niemoc hetmańska. Zaraz jutro pchnę go na turka. Gdy wyjdzie z niego cholera, ozdrowieje.

Noc płynęła, oni z miejsc nie wstawali, czuwając nad chorem. Hetman spał twardo, z oczyma szklącymi się pod niedomkniętą powieką. Przez sen mrucał słowa to gniewne, to błagalne.

W tym samym czasie, w innej stronie obozu, przepędzał noc bezsennie człowiek, nie mający z pozoru żadnej do tego przyczyny.

Był to lisowczyk.

Towarzysze jego, z wyjątkiem zaciągniętych na straż nocną, oddawna już chrapali. Za dnia byli w ogniu, a to na sen środek najdzielniejszy. Pomogła k'temu i gorzalka, której Wołosza dostarczała w obfitości.

Ten jeden przewracał się niespokojnie na pokrytej wojłkiem ziemi,

przyczem kłął półgłosem, po polsku i po rusku, księżyc, przez płótno namiotu przeglądający.

Już kilka nocy bezsenne spędził. Niepokój wewnętrzny przemógł znużenie. Junak knuł plany tajemne, wyteżał myśl ku celowi, od którego cała jego przyszłość zawisała.

Niedawno jeszcze wesół, hulający bez pamięci, niedbały o jutro, we wszystkim rozpasany, od kilku dni zmienił się, sposepniał—w sobie się zataił.

Stało się to z chwila, gdy do obozu przybył królewic z wojskiem koronnym.

Dwie wówczas niespodzianki spotkały junaka. Pierwszą był widok pięknego oddziału rajtarii, którą własnym sumptem wystawił i przyprowadził towarzysz jego chłopięctwa, niegdyś drub, a co najdziwniejsze, człek zgoła nie rycerski, bo—warszawski mieszczanek. Drugą stanowią list, przywieziony ze stolicy przez któregoś z rotmistrzów, a pochodzący od ojca junakowego.

W liście te były słowa:

«Uwielbiam cię, miły panie synu, że imćpan Melchior Drewno, Hanusiów ojciec, srodze zachorzał i już się pewnikiem Kostusi nie wywinie. Medycy piszą mu termin ostatni za niedziel osiem, *ad maximum* za dziesięć. Wszystko rzucić, a do Warszawy bieżać, nie mieszczając. Póki jeszcze żyw, trzeba sprawę uładzić i koniec dać jej fortunny. *Post fata* pana oćca, opiekę nad dziewczką weźmie jego rodzony imćpan Łuka — o którym wiesz, jako nam jest krzyw — ba, nawet całe *inimicus*. Ani momentu nie mitrzyć; zabieraj koń swój (zdobyć także) i wszystko, czem cię Mars z Fortuną w wyprawach twych zbogacił. Wiemci, jako o sobie pamiętać umiesz, a przy podziale łupów na ubocz nie idziesz. Więc kamyczków klejnotnych co najwięcej; więc rzędziki grzechne, co u bachmatów tureckich nie nowina; więc złote sygnety, zapinki, trzęsida, których w tureckich namiociech, a w pierw u węgrów i innych nacyj *multum* nałowić musiałeś; więc naraztę czerwieńce, bodajby pogańskie — w sakwy statecznie kładz a wiąż, i pod strażą pacholikową, dniem i nocą przez góry i jary, po szczęście swoje ruszaj. A niech to będzie z wolą pana hetmanową — przed którym udaj: jako ociec twój *moriturus*. Z czem cię Panu Bogu polecam. J. N. Zboiński, ręką swą.

A sakwy miej nabite, bo wystąpić trzeba *honeste* — memu zasie mieszkowi boki haniebnie zapadły».

Lisowczyk miał nad czem łamać głowę...

I klejnoty, i złotogłowy, i rzędy turkusami sadzone, i trzosik wresz-

cie z dukatami niedawno jeszcze posiadał. Okazyj do ładowania sakw nie brakło. Straceńcy rzucali się w bój jak sepy, rwali jak kruki—naksztalt srok byli lakomi na błyskotki. Ten nie zawsze bywał pierwszy do boju, za to w rabunku nikomu ubiedz się nie dał.

I byłby z pewnością skarb swój powiózł w całości do Warszawy, gdyby nie to, że pomiędzy obozem a zamkiem chocimskim był parów, że w tym parowie osiadła kupa przekupniów, handlujących najpocześniejszymi dla żołnierza towarami, i że najzwyczajniej z tej kupy miał wino moldawskie wielkiej cnoty, gorzałkę mocną, jak ogień, i dwie córki na schwał urodziwe, oraz że w jego baraku o każdej porze szła gra w karty lub kości...

Wszystko to sprawiło, że łupy, zamiast do Warszawy, pojechały do owego handlarza, którego dla włosów rudyh nazywano Szafranem.

Ten Szafran uchodzić chciał za włoszyna—był naprawdę żyd farbowany. O dziewczkach, co u niego wino wojakom nalewały i inne usługi czyniły, trudno było rzec, czy są jego córki, siostry lub tylko współpracownicy. Udawał wszakże ojca, wielce o ich cnotę dbałego. Gdy który z junaków w tym kierunku wykroczył, nigdy mu tego plazem nie puszczał: zawsze ów śmiałość musiał winę swą okupywać gotowizną lub fantem.

Z ilości fantów, złożonych przez Zboińskiego, można było łatwo wyrozumieć ogrom jego wykroczeń.

Pismo ojcowskie zastało junaka w położeniu prawie Hiobowem. I on sam i koń jego mogli byli śmiało powiedzieć:—To tylko nasze, co na nas.

Lisowczyk, przepijając u Szafrana ostatni klejnot, mówił sobie:

— Fraszka! Dość jeszcze onych w namiocie sultana i jego baszów.

Ale czasu nie było na świeże obłowy. Zanim-by rycerz zdążył nowe trupy obdrzeć, Drewno mógł umrzeć, a z nim przepadłaby cała fortuna.

Konrad, który w stanie zwyczajnym był wściekły, teraz, gdy go wściekłość prawdziwa objęła, stał się spokojny. Chodził «jak sum», milczący, ponury, czarne plany przeważał, czarne plany knował.

Jednego wieczora do parowu poszedł, z samym Szafranem zasiadł do kości.

— O co gramy?—spytał tamten, przezierając wzrokiem bazylijskowym puste kieszenie lisowczyka.

— O wszystko moje, które jest u ciebie.

Szafran roześmiał się od ucha do

— Jak jest, to już jest. O cóż tu kości rzucić?

— O to, że jeśli wygram, wszystko do mnie powróci.

Żyd zmrużył oczy.

— A jak ja wygram?

— Zapłacę ci tyle, ile to wszystko warte.

— No, to warte dużo...

— Zapłacę ci dużo.

Szafran mieszał kostki w kubku, nie myśląc ich rzucić.

— Zaczynamy... Cóż to? Czyżbyś nie polegał na słowie szlachetkiem?

Zwrócił się do dziewczyny, która siedziała w pobliżu, jednym okiem i uchem uczestnicząc w tej scenie, drugie zaś oko i ucho wysyłając przez okno do nowych gości, zsiadających z koni przed budą.

— Ot, twoja Zofka za mnie zaręczy...

Zofka roześmiała się, pokazała figę — z zalotnym spojrzaniem wybiegła do przybyszów.

Lisowczyk posłał za nią przekleństwo.

— Salka pocziwsza... Gdy jej niedawno sznur pereł dawał, przysięgła, że będzie zawżły przyjaciółka moja. Salki jestem pewien. Hej! gdzie Salka?... Salka! Salka!

Ale Salka nie słyszała nawet wołania, siedząc przy innym stole, między dwoma towarzyszami, którzy pijanym głosem ryczeli śpiewkę żołnierską.

Żyd potrząsał kostkami — uśmiechał się, milczał...

Konrad spokojny, bo wściekły, wyciągnął z zanadru list ojcowski, oddał czystą połowę, na stole, przed sobą, papier rozłożył. Następnie sięgnął po pióro, leżące na półce i — odwinął lewy rękaw swego kaftana.

Po chwili, w prawej jego ręce błysnął nóż. Szkliste ostrze dotknęło nagiego ramienia — z małej ranki trysnęła krew...

Handlarz nie przerywał zabawy z kubkiem. Na junaka patrzył ciekawie, lecz bez zdziwienia. Widował rzeczy dziwniejsze, a z krwią tyleż pewnie był znajomy, co z gorzałką.

Tamten pióro we krwi umoczył, do pisania się zabrał. Zabazgrał całą ćwiartkę; u dołu podpis zamazany położył. Skończywszy, zalał ranę okowitą i szmatą płócienną owiazał. Wreszcie zdjął z palca sygnet (cynowy, bo złoty był u Szafrana w zastawie) i nad świecą zapaloną okopciwszy, przy podpisie odcisnął.

DCN

NIEZNANE WIERSZE ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO.

(1840.)

I.

Znów wraca wiosna...

Znów wraca wiosna — przeszłe wraca życie
I dawna radość — i dawna podnieta!
Patrz! w śnie pamięci, razem, po błękitcie
Znów płynięm w stronę Molo di Gaëta!

Rankiem schodzimy w cytrynne ogrody
I przechadzając się nad morza tonią,
Róż i cyprysów upojeni wonią,
Dziękuję Bogu za świat ten urody!

Każda nam chwila dobra i szczęśliwa!
Milczenie nawet nam pieśnią, co śpiewa.
Z skał zstępujemy na wodne lazury
I z barki naszej znów patrzym na góry!

I patrząc, pijem z przestrzeni puharu
Złotem powietrzem gór błękitnych zdrowie,
Słońca promieniami wieńczeni na głowie,
Pierś poim w świetle i falach nektaru.

W wieczór wracamy pod rozkwitłe gaje,
Po nich błyszczące w rój wiją się muszki,
Jakby róż śpiących uwolnione duszki...
Na zmierzchem niebie Mars i Wenus wstaje.

Mars krwawą zbroją błyska i czerwieni
I z giernkiem-gwiazdką sunie się w przestrzeni,
Aż księżyc wejździe i czarem spojżenia
Świat dnia przeblędni w świat złoty marzenia!

Ty, patrząc w górę, pytasz się żalownie:
„Duch nasz na miarę bezmiaru czy wzrośnie?”
„Czy będziem kiedy, my smutni, wiedzieli,
„Jacy mieszkają po gwiazdach anieli?”

Skra ciekawości czoło twoje płonie —
Wspinasz się wzrokiem w eterowe tonie...
I drżysz i pragniesz — to ufna... namiętna,
To znów w zwiątpieniu trwóg pełna i smętna.

A ja cię pieśnią kołyszę nadziei!
Ja ci zwiastuję lot Ducha przepływny,
Przez ciąg postępnych wszechświata kolei...
I świat nareszcie wieczny — Boży — inny.

O, pojmiesz kiedyś i obaczysz okiem,
Jak wieczność płynie tych fal-gwiazd potokiem.
Z słońca na słońce, coraz wyżej, trzeba
Tym, co umarli, wdziierać się do nieba!

Bóg, co nas stworzył, stworzył nas na Bogi!
I stopom naszym poddał mleczne drogi...
Duch, co nam dzisiaj już tu w piersiach gości
Nie duchem ziemi, lecz nieskończoności!

* * *
I przez te wschody świata djamentowe
Wstępować będziem na Królestwo nowe...

II.

O życia ranku.

O życia ranku, o wiosen jutrzence,
Pod takim brzegiem i na takim morzu,
Jam Ciebie ujrzal w błękitów przestworzu
I obwiodł Ciebie w włoskich kwiatów wieńce!

I strach mię chwycił, gdy Ci rzucał róże,
A z niemi myśli, natchnienia i pieśni...
Gdym kładł me serce za stóp Twych podnóże,
Jam drzał wśród szczęścia: czy się szczęście nie
sni?

Tys przy mnie była, a jam ciągle marzył,
Że ty złudzeniem, co odleci wkrótce...
I z westchnieniami przed Tobą-m się skarżył,
Żeś Anioł nikły na mej lotnej łódce.

Bo w słońca blasku lśniła Twoja postać,
Nie jak codzienne i trwałe postaci,
Lecz jak duch, który tu nie zdoła zostać,
Bo nie ma tutaj ni siostr, ani braci...

I długo dziwną mamioną żalobą,
Chociaż przy Tobie, jam się nie czuł z Tobą!
Długo tęskniłem gdzieś dalej — do Ciebie,
Bom zawsze myślał, żeś Ty tylko w niebie!

Na każdej fali i na każdej skale,
Na każdym miejscu i w każdej godzinie
Wieczniem powtarzał: „Ach, to szczęście minie...
„Przeplynie Anioł, jak płyną te fale!

„I na tem morzu odejdziesz ta mara,
„I wśród tych wichrów pryśnie mi jej wiara,
„I śmierć — niestałość, albo los zabierze
„To, co dziś kocham, i w co dzisiaj wierze!”

Lecz ty zostałas na łódce milcząca,
Nie wzięła burza Ciebie w niebo nagle —
Dotąd w promieniach widomego słońca
Ty rudel trzymasz, ja rozpuszczam żagle —

I tak płyniemy na wieki... bez końca!

III.

Fragment.

Rok mój, rok szczęścia, czego mi umiera?
Czemu go wieczność z rąk moich wydziera,
Czoło mu wieńcząc umarłych pokojem?
Jam go tak kochał! — on był dobrem mojem...

A teraz Anioł ten zdejmie koronę,
Skrzydła nad twarzą zamknie, jak zasłonę
I zstąpi w trumnę — ot! bije godzina...
Inna się zorza tam na niebie wszczyzna.

Inny się Anioł ludzkim oczom zjawi...
A ja nie patrzę, ja tylko przeklinam —
Bo ten dzień nowy bez Ciebie zaczynam,
I serce moje krwią wspomnień się krwawi...

(Biblioteka Warsz.)

— Ja mam tłómaczyć się przed tymi, którzy może tej ręce zawdzięczają, że miast w pruskich antykamerach zebrać łaski landratów, mogą się sami rządzić!... Ze sług znów wyszli na panów?!... Mości pułkowniku... a jużby mi nie dziwno nawet było, gdyby się tu zjawiał u mnie jaki faworyt, paniczek, co razem z metresa dostal instrument na pułkownika!... Ale ty, stary towarzysz!... A nadto... śmiałeś mi wypomnieć Hohenlinden... Weronę!...

— Jenerale!... Spelnilem rozkaz! Wybrano mnie podobno umyślnie! Wdzięchen im jestem, bo inny, nie rozumiejąc ukutej intrygi, mógłby... zlecenie uczynić bardziej drażniacem!... Żołnierzem jestem... rozkaz!...

— Więc na to mi przyszło! Chal... Dobrze powiedziales, rozkazów słuchać trzeba samemu, aby potem mieć prawo, by je słuchali inni!...

Jenerał klasnął na pokojowca i kazał sobie podawać wielki mundur jeneralski, przypasał szpadę, przypiął krzyże, wdział stosowany kapelus z pióropuszem i czekał, poglądając niecierpliwie ku drzwiom.

— Jenerale!... Na co opóźniać przybycie, na co dawać czas tym, którzy radziby każdy twój krok opacznie wytłómaczyć?...

— Więc może ty masz rozkaz od prowadzenia mnie?...

— Nie, jenerale! Takiego rozkazu bym nie przyjął!... Jeżeli tu jestem, to jedynie, aby ci dać dowód, że cię opuścić nie chcę!... Że chcę być przy tobie!...

— Dziękuję ci! Późno już!... Gdzieś rada się odbywa?

— Na zamku, obok sali sejmowej!...

— Trudno!... Poczekać muszą!...

Za oknami rozległ się miarowy krok maszerującego wojska.. Dąbrowski powstał z miejsca i podszedł do okna.

— Są moje zuchy!... Ruszajmy więc!... Kiedy rada daje rozkaz... trzeba się stawić ze stosowną paradą!...

Dąbrowski nacisnął mocniej kapelus i wyszedł przed podjazd. Dwie kompanje piechoty stały w pogotowiu. Rozległa się krótka komenda:

— Baa... czność!... Prezentuj — broń!...

— Jak się macie, smyki!?... rzucił rażno jenerał.

Żołnierze odpowiedzieli okrzykiem pełnym zapalu.

— Kto dowodzi?...
— Z prawa starszeństwa kapitan trzeciej kompanji, drugiego bataljonu, piątego pułku, Osipowski.
— A druga kompanja czyja?
— Lagowskiego, z drugiego pułku.
— Trzonowe zęby dwóch pułków! Wybornie! Ostre ładunki macie?
— Według rozkazu, jenerale!
— Słuchajcie, chłopcy! Ja potrzebuję dziś waszej eskorty... Saperlot, nie jeden był ze mną pod Gdańskiem. Tam co innego, a tu czasem trzeba!... Osipowski! Udasz się waszmość ze mną! Zaciągać będziesz wartę tam, gdzie się zatrzymam. Pół plutonu z porucznikiem za mną w krok!

— Według rozkazu!...
— Lutek! Żeby mi tu żywa dusza nie weszła, ani wyszła!

Dąbrowski wskoczył na konia. Godebski stał bezradny, nie wiedząc sam, co ze sobą czynić. Jenerał spostrzegł zaambarasowanie pułkownika.

— No, panie Cyprjanie! Deklarowałeś się!... Wędruj na piechotę! Konia pod ręką nie mam drugiego... Kapitanie, pozwól pułkownikowi na prawem skrzydle! Toć zaszczyt takiego oficera mieć w szeregu!...

Godebski stanął obok Osipowskiego. Żołnierze powitali go szmerem zadowolenia.

Dąbrowski spał konia ostrogami, zatoczył nim raz i drugi przed szeregi, wreszcie skinął palaszem. Bębny zawarczały przeciągle, a potem uderzyły w takt marsza. Trebacze tego tylko czekali, obejrżeli się po sobie i zagrali Dąbrowskiego tak, jak go tylko Dąbrowskiemu grać umiano.

Dźwięki znanego marsza o tak spóźnionej porze zbudziły Warszawę z przedwieczornej drzemki. Lud zewsząd wylegał na ulicę; wiedzianno, kogo te dźwięki zapowiadają: że to oddział z dywizji pana Henryka. A cóż dopiero, kiedy oczom tłumów ukazał się ukończony jenerał, w wielkim, kapiącym od złota mundurze, o twarzy jasnej, uśmiechniętej, a pełnej hartu i mękości.

— Wiwat Dąbrowski! Niech żyje! — huknęły tłumy.

Jenerał wojskowym ukłonem odpowiedział na powitanie, a gdy rozgorączkowany lud jął z kolei okrzyki wznosić na cześć żołnierzy, Dąbrowski zdarł konia i zawołał swym stalowym głosem:

— Słyszcie, smyki! Na podziękowanie... prezentuj broń!

Bagnety błysnęły wśród świateł, bijących z okien domów i rozwartych drzwi sklepów. Lud jeszcze gorętszemi okrzykami odpowiedział na zaszczyt, który go spotkał, stłoczył się tak silnie około oddziału wojska, że ten ledwie posuwać się zdo-

łał. Śmielsi z ludu podsuwali się do jenerała, byle go dotknąć, byle kraj czapraka do ust przycisnąć. Matki unosiły dzieci na rękach do góry. Starcy oczy łzami zaskle przysłaniały, a znakiem krzyża witali milownego.

— On nasz! — Krew z krwi! — Z nim i za nim wszędzie! — Za jego przewodem!

Lud kołysał się, parł falą za pióropuszem, aż wreszcie dźwiękami marsza rozmarzony, odpowiedział pieśni. Pieśń, z początku cicha, nieśmiało wtórująca trębaczom, rosła, potężniała, brzmiała coraz pełniej, płynęła i wiarą w przyszłość, i ufnością odmłodzonych sił, i fantazją, i tęsknicą legionów, które każdą zwrotkę pieśni tylekroć razy własną krwią skropiły.

Pieśń wstrząsała murami Warszawy, odzywała się echem w izdebkach, w dworach witaly ją rozognione twarze, w pałacach chmurne oblicza, bo tam nazywać ją chcieli jeszcze pieśnią jenerała, tam zgryźliwie odzywano się o niej, tam pytano często, iżali Dąbrowskiemu nie śnia się bonapartowe koleje?

I szła ta pieśń, szła radosna, harda tym, od którego się poczęła, aż dosięgła sali zamkowej, gdzie za wielkim stołem zasiadała rada wojenna.

Prezydował książę Józef, mając po prawej ręce gubernatora, pana de Sonier, a po lewej jenerała Zajączka. Obok tych dopiero usadowili się dookoła: Fiszer, szef sztabu głównego, Pelletier, dowódca artylerji, Sokolnicki, pierwszy po Fiszerze kandydat na dywizję, a dalej Biegański, Hauke, Niemojewski, Hebdowski, Woczyński, Kamieniecki, Grabowski, Izidor Krasieński i Różniecki. Za nimi pułkownicy: Rautenstrauch, pozujący na polskiego Murata, Prebendowski i Tyszkiewicz, Malachowski i Staś Potocki, a wreszcie Bontemps, Siemski, Antoni Górski i Żółtowski.

W głębi gromadka adiutantów, między którymi przeważały karmazynowe mundury ordynansów księcia, czekała na rozkazy.

Milczenie zalegało salę. Świece, osadzone w wielkich dwuramiennych lichtarzach, skwierczały hałaśliwie. Pan de Sonier opowiadał półszepem księciu jakąś plotkę paryżką i chichotał cicho. Książę chwiał obojętnie głową, usiłując się uśmiechać. Na przeciwnym końcu stołu Rautenstrauch ze Stasiem Potockim rozmawiali z zajęciem, przyglądając się miniaturze, którą pierwszy odebrał był Hebdowskiemu. Zajączek próbował był zagadać do Fiszera, lecz ten, pochylony nad rozłożoną przed nim mapą, zbył go milczeniem. Pozostali członkowie rady nie starali się nawet rozpraszać ciszy.

Z głowami lekko pochylonemi, ze ściągniętymi brwiami, poglądali niepokojnie ku drzwiom. Niekiedy z za munduru wychylała się złota cebula, a naciśnięty dzwonek wybijał kwadrans więcej...

Zajączek raz i drugi odchrząknął niecierpliwie — wreszcie odezwał się sucho:

— Możeby... posłać dowiedzieć się?... Pułkownik Godebski powinien już być z powrotem.

— Kto wie, czy zastał jenerała! — wtrącił pojednawczo Pelletier.

— Trzeba czekać! — zawyrokował książę.

I znów cisza zaległa. Pan de Sonier szukał był właśnie nowego przedmiotu do rozmowy, gdy z po za okien wpadł do sali lekki odgłos bębnow, a wślad za nim dalekie echo pieśni.

Poniatowski zagryzł wargi. Zebrałi spojrzeli po sobie pytającym wzrokiem. Tymczasem pieśń brzmiała coraz silniej... uderzeniom bębnow zaczęły odpowiadać szyby zamkowe. Zajączek nie mógł znieść dłużej tej pieśni.

— Oddział dywizji... jenerała Dąbrowskiego o tej porze!

— Czy miał zkąd nadciągnąć? — rzekł cicho Poniatowski do Fiszera.

— Nie, wasza książęca mość!

— Zkąd więc tak hałaśliwie się zachowują!

— Zwykła swywola oficerów pana Dąbrowskiego! — dorzucił Zajączek. — Przy lada przechodzie urządzają takie marsze tryumfalne.

— Lud to lubi! — zauważył pan de Sonier.

— *Mais c'est trop!* — odrzekł Poniatowski.

Jakby na potwierdzenie tych słów, pieśń, wydostawszy się już na plac przed zamkiem, zatrzęsała murami. Zajączek zaczął się niecierpliwie.

— Ależ to... tłum musi iść!... Coś zakrawa na manifestację!... Już to porządek w mieście wiele pozostawia do życzenia!

Książę odwrócił głowę ku stojącym w głębi adiutantom i skinął. Skrzynecki zbliżył się do Poniatowskiego.

— Zobacz, proszę... poruczniku... co za zbiegowisko. A... zapytaj, kto prowadzi oddział.

Skrzynecki oddalił się pośpiesznie. Książę Józef zaś odwrócił się do jenerała Fiszera i ozwał się cicho:

— Przypomnij mi, proszę... trzeba będzie w rozkazie dziennym wydać w tej mierze instrukcję...

Fiszer pochylił głowę i znów powrócił do rozpatrywania mapy. We drzwiach tymczasem ukazał się Skrzynecki.

— Cóż, poruczniku?... — zapytał książę, hamując zniecierpliwienie.

— Jenerał Dąbrowski z dwiema

kompanjami piechoty nadciąga pod Zamek... Tłum ludu idzie za nim.

— Więc... oczywiście pułkownik Godebski musiał go nie znaleźć, nie przypuszczając zapewne, że jenerał parade... wieczorną odprawia...

— Wasza książęca mość... pułkownik Godebski idzie w pierwszym szeregu!...

Poniatowski powstał z miejsca.

— Mości panowie! Słyszeliście? Nadto śmiało!

— Pozwolę sobie dodać, że to jest jawne wyzwanie, rzucone radzie! — podchwycił porywczo Zajączek.

— *Toujour le même!* — wtrącił pan de Sonier, któremu Hauke przetłómaczył był raport Skrzyneckiego.

— Jenerał dywizji Henryk Dąbrowski! — rozległ się w tej chwili donośny głos oficera służbowego.

— Prosić! — rzekł sucho książę. — Pułkownik Żółtowski zechce rozpocząć protokół... a pan, panie jenerale Różniecki, odczytasz oświadczenie Rady stanul!

Poniatowski osunął się ociężałe na fotel. Nastąpiła krótka chwila oczekiwania. Drzwi otworzyły się na ścieżaj. Wszedł Dąbrowski z głową podniesioną dumnie, tuż za nim ukazał się pułkownik Godebski, a dalej Osipowski z pół plutonem żołnierzy.

Rada wojenna jakby oniemiała ze zdumienia. Dąbrowski postąpił krok naprzód, rozejrzał się dokoła i zapytał spokojnie:

— Wzywaliście mnie, panowie!... Jestem!... Słucham!... Niechże się dowiem, czemu przypisać, że rada wojenna zebrała się tak niespodziewanie... i aż rozkazem szukać mnie raczyła?... Jestem!

Poniatowski głowę podniósł.

— Panie jenerale! — rzekł z naciśnięciem. — Zanim przyjdzie nam dać ci poznać przyczynę naszego zebrańia i... tego niespodziewanego, jak słusznie się wyraziłeś, rozkazu... wytłómacz nam, co znaczy... że tu, na posiedzenie rady, przybywasz... z eskortą?... Co te karabiny znaczą?... Co ta warta!...

— Za oczywistą obrazę ją poczytuje! — wtrącił porywczo Zajączek. — Mości panowie, za warunek stawiam usunięcie eskorty!... To groźba!...

— Imć pan Zajączek się myli — eskorta jest tylko obroną tego, komu służy! Odebrawszy rozkaz, uznałem za właściwe stawić się tak, jak mi przynależy z rangi!...

— Wątpię, żeby ktokolwiek z obecnych przystał na święte waszmości! — syknął przez zęby Zajączek.

Oczy zebranych zwróciły się na pana de Sonier. Lecz gubernator zdawał się być w tej chwili zajętem wyłącznie złotym galonem swego prawego rękawa. Poniatowski bębnił palcami po stole, Fiszer na chwilę nie odrywał się od mapy.

— Głosujmy zatem! — rzekł po namyśle książę Józef. — Przedewszystkiem... należy rozstrzygnąć, czy... jenerał Dąbrowski... może być badanym... czy eskorta jego nie jest uchybieniem!... Więc... pułkowniku, Górski!...

— Jest! — odpowiedział zapytany.

— Pułkownik Prebendowski?

— Nie!

Głosowanie szło powoli. Zdania wazyły się. Zajączek zaciskał pięście. Dąbrowski wsparł się na głowni palasza i poglądał ironicznie.

Gdy przyszła kolej na Sokolnickiego, wstał, brwi ściągnął i ozwał się niespodziewanie:

— Jąbym suponował do rzeczy przystąpić... boć przed nami nie winowajca, ale przedewszystkiem jednym towarzyszem, drugim... wódcz i zwierzchnik, a trzecim wzór niedościgniony!... Nie głosuję!...

— Ani ja! — uciął Fiszer i znów zatopił się w swej mapie.

Zajączkowi skry z oczu trysnęły.

— Tu nie pora na wypominanie, kto, jakie i czy położył zasługi, kto komu czem wypada! Imć pan jenerał Dąbrowski wezwany został do tłómaczenia... przeto niestosowne jest, by tu nam przed stołem... pluton wyprowadzał!...

— Dla mnie to kwestja drugorzędna! — zauważył nagle pan de Sonier.

— I blaha! — podtrzymał Pelletier.

— W takim razie — rzekł z wybuchem Zajączek — ja odchodzę... i sądzę, że mości panowie, którzy jednego ze mną byli zdania, uczynią toż samo!...

Dąbrowski targnął się i postąpił naprzód.

— Hola! Ani kroku ztąd!

— Co?!... Gwałt?! — zawołał Zajączek, porywając za szpadę.

Dąbrowski obrócił się do żołnierzy:

— Nabijaj broń!...

— Jenerale! — zgromił pan de Sonier.

— Do broni, panowie! — zachęcał Różniecki.

DCN

GUY DE MAUPASSANT.

K O K O.

W całej okolicy nazywano realność Lucasów «Folwarkiem». Nie umiano powiedzieć dlaczego. Włoszanie z pewnością przypisywali temu słowu «folwark» znaczenie bogactwa i okazałości, gdyż realność ta była rzeczywiście największą i najlepiej zagospodarowaną w okolicy.

Obszerny dziedziniec, otoczony pięciu rzędami wspaniałych drzew, chroniących delikatne jablonie od gwałtownych wia-

trów, obejmował długie szopy, kryte dachówką, na zboże i paszę, ładne chlewy pobudowane z kamienia, stajnie na trzydzieści koni i dom mieszkalny z czerwonej cegły, podobny do zameczku.

Obora była porządnie utrzymana; psy-stróż siedziały na łańcuchach w budach, stado drobiu chodziło w wysokiej trawie.

Codziennie o dwunastej w południe, piętnaście osób, gospodarstwo, służba mężka i żeńska, zasiadało do długiego stołu w kuchni, gdzie dymila się zupa z wielkiej fajansowej wazy w niebieskie kwiaty.

Konie, krowy, świni i owce były tłuste, starannie utrzymane i czyste; gospodarz Lucas, słusznego wzrostu człowiek z zaokrąglonym brzuchem, obchodził trzy razy dziennie całe gospodarstwo, czuwał nad wszystkim i myślał o wszystkim.

W głębi stajni trzymano z litości bardzo starego konia, którego gospodyni postanowiła żywić aż do jego naturalnej śmierci, bo wychowała go, doglądała zawsze i przywoził jej na myśl przyjemne wspomnienia.

Piętnastoletni wyrostek, Izidor Duval, poprostu nazywany Zydorem, miał obowiązek obsługiwanie tego inwalida: podczas zimy dawał mu przeznaczoną dla niego miarkę owsa i paszę, w lecie zaś musiał go cztery razy dziennie przeprowadzać z miejsca na miejsce na pastwisko, gdzie go na pewien czas przywiązywano na sznurze do białego w ziemię kolka.

Zwierzę, prawie sparaliżowane, podnosiło z trudnością swoje ociężałe nogi, zgrubiałe w kolanach i spuchnięte w pięcinach. Jego biała sierść, nigdy już nie czyszczona, sprawiała raczej wrażenie kłaków, a długie bardzo rzęsy nadawały jego oczom niezwykle smutny wyraz.

Kiedy go Zydor prowadził na trawę, formalnie ciągnąc go musiał, tak dalece zwierzę szło powoli. I chłopiec, zgięty w kablak, zziębnięty, kłął i burzył się, że tę starą szkapę jego powierzono pieczy.

Ludzie z folwarku, widząc tę złość wyrostka na Koka, bawili się nią, wspominali ciągle o koniu Zydora, ażeby tem więcej rozdroczyć chłopaka. Jego również drwili sobie z niego. Nazywano go we wsi Koko-Zydor.

Chłopiec się wściekał i budziło się w nim pragnienie zemsty nad koniem. Był to chudy dzieciak na wysokich nogach, zawsze brudny, z głową okrytą rudymi, gęstymi, najeżonymi włosami. Wydawał się głupekowatym, wysławiał się z trudnością, jękał się.

Pojąć tego nie mógł, że trzymano Koka, oburzało go trwonienie mienia na bezużyteczne zwierzę. Wydawało mu się niesprawiedliwością karnić je, kiedy już nie pracowało, wydawało mu się oburzającym marnotrawstwem owsa, owsa, który tak drogo kosztował, dla tej sparaliżowanej szkapę. I często też, wbrew rozkazom gospodarza Lucasa, umował koniowi obroku, wsypując mu do żłobu tylko połowę przeznaczonych porcji, żałował mu nawet słomy i siana. I wzrastała w nim nienawiść, nienawiść prostego chłopca, chłopca skrytego, okrutnego, brutalnego.

Z nastaniem lata musiał Zydor biegać na pastwisko, aby ruszyć Koka z miej-

scą. Daleko mu było. Wyrostek z każdym rankiem stawał się wścieklejszym. Plekroć przemyczał się przez zboża, ludzie pracujący w polu żartowali sobie z niego, wołając:

— Zydor, a klaniaj się tam od nas Kokowi!

Nie odpowiadał wcale, ale rozmyślnie wylamywał pręt z plotu i, kiedy już przeprowadził konia o parę kroków dalej od zdeptanego i spalonego miejsca i zabił w ziemię kęklę, do którego przyczepiony był sznur, trzymający na uwięzi Koka, zabierał się do smagania go prętem po nogach. Biedne zwierzę szarpało się, rzucało, kręciło się w koło na końcu swego sznura, jakby w klatce zamknięte. A chłopiec smagał je z coraz większą zaciętością, rozwyrzony, z zębami zacisniętymi ze złości.

Następnie odchodził powoli, nie oglądając się wcale, podczas gdy koń patrzył na oddalającego się swoim starym wzrokiem, wyczerpany, z zapadniętymi bokami. I biała swąją, koścista głowę zniżał dopiero wtedy ku trawie, kiedy już zobaczył znikającą w dali niebieską błzę wyrostka.

Noce były ciepłe, Koko więc sypiał teraz na dworze, tam, nad potokiem, pod drzewami. Zydor i nocną porą sam go także doglądał.

Niegodziwy chłopiec bawił się z nim w inny jeszcze sposób. Siadał o dziesięć kroków od niego, na pagórku i siedział tam pół godziny, rzucając od czasu do czasu kamyczkami na konia, który stał przed swoim nieprzyjacielem spętany, i nieustannie spoglądając na niego, nie śmiał się paść w jego obecności.

Jedną myśl tkwiła ciągle w umyśle wyrostka: «Poco żywić tego konia, kiedy nic nie robi?» Zdawało mu się, że ta nędzna szkapą okradła inne z jedzenia, kradła mienie ludzkie, kradła dobro Boże, okradła nawet jego, jego, Zydora, który pracował.

I powoli, codziennie, zmniejszał mu chłopiec obwód pastwiska przy zwykłym zabijaniu w ziemię kolka od sznura.

Zwierzę było głodne—chudło, nikło. Zbyt słabe, aby zerwać swoje pęta, wyciągało głowę ku wysokiej, polyskującej trawie, tak bliższej, wonnej, a której nie mogło osiągnąć.

Ale pewnego poranka przyszła Zydorowi nowa myśl do głowy: nie ruszać więcej Koka. Dostyc już miał tego dalekiego chodzenia do starego szkieletu.

Przyszła jednak, chcąc się zemsta nasycić. Zwierzę spoglądało na niego przestraszona. Nie bil go tego dnia. Chodził dookoła z rękami w kieszeniach. Udawał nawet, że mu zmienia miejsce, ale zabił kół w tej samej dziurze, i oddalił się, uszczęśliwiony swoim pomysłem.

Koń, widząc go odchodzącego, zarżał; ale chłopiec uciekał, pozostawiając go samego, zupełnie samego na jego miejscu, bez żądźla trawy w pobliżu.

Zgłodniały, spoglądał chciwie na soczystą zieleni, której dotykał się prawie nozdrzami. Ukląkł, wyciągając szyję, wydłużając swoje wielkie, zaślinione wargi. Naprawdę. Codziennie wyczerpywało się stare zwierzę w bezskutecznych, strasznych wysiłkach. Pożerał je głód, głód o tyle okropniejszy, że dookoła siebie widziało taką obfitość ożywej zieleni.

Zydor wcale się tego dnia nie poka-

zał. Wałęsał się po lesie, przeschukując gniazda.

Zjawił się nazajutrz. Koko, wyczerpany, położył się na ziemi. Spozreglany chłopca, wstał, spodziewając się, że go nareszcie na inne przeprowadzi miejsce.

Ale chłopiec nie schylił się nawet po młotek, porzucony w trawie. Zbliżył się, popatrzył na zwierzę, rzucił na nie grudką ziemi, która się rozsyłała po białej sierści, i odszedł pogwizdując.

Koń stał tak długo, dopóki go z oczu nie stracił; później, czując, że jego usiłowania w dostaniu się do trawy na nic się nie zdadzą, rozciągnął się znowu na ziemi i zamknął oczy.

Nazajutrz Zydor nie przyszedł. Kiedy się następnego dnia zbliżył do rozciągniętego Koka, zobaczył, że nieżyje.

I stał nad nim, zadowolony ze swego dzieła i równocześnie zdziwiony, że to się już skończyło. Trącał go, podnosił jego nogi i w końcu siadł na nim, z oczami, utkwionymi w trawę, nie myśląc o niczem.

Wrócił na folwark, nie powiedział jednak nic o wypadku, bo chciał jeszcze trochę powaleśać się w czasie, kiedy zwykle przeprowadzał konia na świeży kawałek pastwiska.

Nazajutrz poszedł się przyjrzeć. Na jego widok wleciały w górę kruki. Niezliczona ilość much chodziła po trupie i brzęczała dokoła.

Wróciwszy, powiedział, co się stało. Koń był tak stary, że nikt się nie zdziwił. Gospodarz polecił dwóm parobkom: — Biercie rydło, wykopiecie dół tam, gdzie leży.

I ludzie zakopali zwierzę w tem samym miejscu, gdzie zginęło z głodu.

I rosła trawa bujna, zielona, gęsta, na ziemi, biednym zwierzęciem użyźnionej.

Tłóm. Z. Kłosiński.

TO I OWO.

Alfonso XIII nie jest jedynym królem-dzieckiem w dziejach Hiszpanji. Ferdynand III Kastyjski, Filip IV i Ludwik I wstąpili na tron, jak on, w 16 roku życia. Filip V stał się królem, mając lat 18. a Piotr Okrutny, mając lat 15. Henryk III, syn jego Jan II, Karol II i w końcu Izabela II, babka obecnego króla, byli koronowani w 14 roku życia. Cofając się w przeszłość dalszą, znajdujemy Jakóba II Aragońskiego, który został królem, mając lat 7; Alfonsa V, urodzonego r. 995, a panującego już w r. 999, jako dziecko 4-letnie, Alfons IX, urodzony r. 1155, jest już królem w r. 1158, a Alfons XI, urodzony r. 1310, wstępuje na tron we dwa lata później, r. 1312. Wobec nich król obecny jest już człowiekiem dorosłym.

Prof. Alfred Rotler wywodzi, że główną cechą obecnego stroju kobiecego jest kłamliwość. Widzimy na ubraniu kobiecym guziczki, które nie służą wcale do zapinania; węzły i sznury, nie nie wiążące; wstawki, które nie są wstawione; koronki, frendzle i rozmaite „zakochnienia“, które nie są żadnym zakończeniem; kwiaty z płótna; szpilki i grzebyki z celulozy, naśladowującej sztykret i masę perłową; fałszywe kieszone, fałszywe kołnierze i t. d. Wszystko fałszywe, podrabiane, kłamane.

Rodaktor i wydawca

Erazm Piłtz

ALFRED GRODZKI

33, Senatorska, w Warszawie

wyprzedawszy całkowicie zeszlóroczny zapas żniwiarek, poleca na nadchodzący sezon świeżo z Ameryki otrzymane Ulepszone Żniwiarki

Daisy Mc Cormicka,

które są owocem kilkoletniego praktycznego studjowania warunków sprzętu w naszym kraju, przez corocznie do nas umyślnie w tym celu delegowanych specjalistów z Ameryki.

Nowe żniwiarki Daisy Mc Cormicka

są znacznie wzmocnione, a zarazem uproszczone, w porównaniu z dawniejszemi, a przytem pracują tak lekko, jak żadna inna żniwiarka. Szczególniejsza uwaga zwrócona została przy budowie tych nowych żniwiarek na poszczególne części mechanizmu, najprędzej podlegające zużyciu, jak targańce, sztangi nożowe i t. p., które zostały znacznie wzmocnione i wyrabiane są z najlepszego gatunku stali, na jaki dzisiejszy przemysł metalurgiczny w Ameryce zdobyć się jest w stanie.

Znane ze swej doskonałości

KOSIARKI STALOWE № 4

oraz ŻNIWIARKI-KOSIARKI Mc CORMICKA

najnowszego typu, nadeszły również z Ameryki.

Ceny części zapasowych

do MASZYN ŻNIWNYCH Mc CORMICKA

zostały na nadchodzący sezon (1352)

znacznie niższe

Szczegółowe katalogi i opisy wysyła na żądanie Reprezentant

ALFRED GRODZKI, w Warszawie.

Z CHWILI. — Jakże się panu powodzi na tegorocznych wycieczkach? — Owszem; dziękuję panu, wiedzę mi się doskonale. Jeszcze wcale w tym roku nie zacząłem grać. (Kurj. Świąt.)

Całkowite urządzenia cegielni

i maszyny do wszelkiego rodzaju wyrobów z gliny.

Łamacze

Tłocznie

i młynki do rozdrabniania i mielenia kruszców, kamieni i t. d. do wyrobu cegły z piasku i wapna, piasku i cementu, żużli i innych materiałów; tłocznie uniwersalne do wszelkich artykułów budowlanych.

Maszyny

różnych

systemów

do wyrobu z piasku i cementu dachówek równoległobocznych i podłużnych z pojedynczymi i podwójnymi żłobkami, płyt na chodniki, kolorowych, mozaikowych gładkich i wypukłych (relief) na posadzki, formy żelazne do fabrykacji rur i innych przedmiotów kanałizacyjnych, stopni schodowych etc.

Tłocznie do brykietowania

ceglin, węgli brunatnych; urządzenia do przetwarzania najlepszych odpadków węgla

kamiennego na wysokowartościowy opałowy materiał, p. n. «Alisorbid».

Maszyny parowe, motory naftowe, gazowe, motory połączone dynamo-maszynami do oświetlenia elektrycznego, przyrządy do wytw. gazu dla motorów.

Rekonstrukcje

nieprawidłowo funkcyjnych urządzeń fabryk wyrob. ceramicznych i cementowych.

Licencje

na pat. suszarnie opalane.

(1354)

BIURO TECHNICZNE:

A. Sikorski i K. Kurcewski.

Oddział maszyn i fabrykacji, w Warszawie, Krucza 2.

NAŁĘCZÓW

6 godz. od Warszawy, (6 połączeń).

Stacja od Lublina, a wiorst od stacji kolei Nadwiśla.

źródło szczytów żelazistej do picia i do kąpieli. Zakład leczniczy cały rok otwarty.

Hydroterapia. Kąpiele błotne, gazowe, igliwiowe, elektryczne.

Elektroterapia. Masaż. Gimnastyka. Kумыs. Własna kuchnia dietetyczna. Seisy nadzór lekarski. Powiększona ilość mieszkań w zakładzie. Obszerny park, spacer i wycieczki. Lawn-tenis, bilard, kregle, wioślowanie. Czytelnia i biblioteka. Obok Zakładu przeszło 40 umeblow. willi. Pensjonaty prywatne. Hotel. Utrzym. całodzienne w internacie zakład. wraz z leczeniem od 4 rb. dziennie. Przy skromniejszych wymag. i na willach taniej. W sezonie letnim, oprócz dyrektora i jego pomocnika, konsultanci i asystenci. Prospekt gratis i franco. (1366)

KWESTJA BUDOWLANA W WARSZAWIE. — Jakże wam się przedstawia w roku bieżącym ruch budowlany, panie Bauchszmere?

— Nie można narzekać: amatorowie budowy są, cegły niebrak, majstrów mularskich po same uszy. Tylko gotówki i kredytu niema. (Mocha)

L'HOMME D'HONNEUR. — Podobno dostafes w twarz podczas wyborów do rady miejskiej. Czemuż nie skarżysz do sądu? — Bo moje wybory zostaną jeszcze unieważnione, a wtedy i moje wykroczenie nie będzie się liczyć. (Djabel)

GRAND PRIX
PARYŻ 1900.

NOWA
Centryfuga „Perfect“

przewyższa o wiele wszystkie inne

Centryfugi do mleka,

jest bezsprzecznie

Najlepszą Centryfugą

nowego stulecia.

Największa i najlepiej urządzona fabryka centryfug na świecie.

Towarzystwo Akcyjne

BURMEISTER & WAIN.

Kopenhaga, Danja.

Reprezentant

(1343)

Okolo 150 l-ych nagród.
Dostawcy Dworu Jego Cesar-
skiej Mości.

Alfred Grodzki w Warszawie.

K. WASILEWSKI

Warszawa, Miodowa 16,

jako wyłączny przedstawiciel największej w Ameryce fabryki maszyn żniwnych

Deering Harvester Co

poleca na nadchodzący sezon:

Żniwiarko-wiązarki, żniwiarki, kosiarki i grabie konne, w kraju od lat trzech najwięcej rozpowszechnione, znane ze swej znakomitej konstrukcji, wyrabiane z najlepszego gatunku stali i w wielu częściach ulepszone i wzmocnione.

Okolo 150 świadectw otrzymanych od pp. Rolników ze wszystkich guberni Królestwa Polskiego, ogłoszonych przenie drukiem—a znajdują się między nimi i takie, które z dwu i trzyletniego działania maszyn żniwnych Deeringowskich zdają relację—są wymownym dowodem, iż tak jak wszędzie zagranicą, i u nas maszyny Deeringowskie zajęły przo-downicze stanowisko w pośród wszystkich innych systemów.

Ceny części, najprędzej zużyciu podlegających, jak sztangi nożowych i nożyków, na rok bieżący

znacznie zostały niższe.

Ze względu, iż zapasy maszyn żniwnych Deeringa, jak to trzy lata z rzędu miało miejsce, i w tym roku prawdopodobnie przed żniwami będą wyczerpane, możliwie wczesne zlecenia są pożądane.

Szczegółowe opisy i katalogi wraz ze świadectwami na każde żądanie odwrotną pocztą przesyła się bezpłatnie. (1357)

NAJLEPSZY STYL. Budowniczy. W jakim stylu mam panu budować ten dom? — Najlepiej wolałbym... na kredyt. (Kolec)

WIECZNA WARTOŚĆ.



Złoty pierścionek, masywny 56 próby, meżki lub damski, z prawdziwym parzystym brylantem «VICTORIA», niezmieniony nie różni od drogiego brylantów, kosztujących 100 rb., cena razem z przesyłką pocztową tylko 6 rb. 25 kop., 2 sat. 12 rb. Para koleżyków z bryl. «VICTORIA» 6 rb. Wysyła za za-liczeniem pocztowym bez zaliczki. Dom handlowy GOLD-WASSERA, Warszawa, ul. Długa 47. (1346)

— Znaczna liczba dziękczynnych listów i odezw od inteligentnej publiczności. —

